

# Dwa bieguny



ELIZA ORZESZKOWA

## Dwa bieguny

— „Jestem z rodu aniołów; czy chcesz stać się do mnie podobnym?”

— „Widzę twoją moc i piękność; ale wskazujesz mi rzeczy, przewyższające moje siły, chociaż nie przewyższające mojego pojęcia”.

(Byron, Kain)

### I

Utrzymujesz tedy, kochanku, że człowiek, który przed chwilą ztąd odszedł, jest dzikim... jak powiedziałeś? Buszmanem? a tak, buszmanem, bo miał na sobie surdut, przypominający epokę pradziadowską i głośno przyznał się, że jak żyje nie był na żadnym raucie, nie jadł ostrzyg i nie tańczył kotyljona. No, istotnie, na rautach nie bywać, smaku mięczaków nie znać i nie posiadać o kotyljonie nocyj najlżejszych, to jest coś nadzwyczajnie dziwnego, coś, co najzupełniej dowodzi, że człowiek ten jest dzikim, a zmusza do zastanawiania się nad tem, jakim sposobem wplątał się on pośród nas ucywilizowanych, tak doskonale ucywilizowanych, że nie mówiąc już o surdutach, rautach, kotyljonach i mięczakach, znamy się wybornie na chińszczyźnie, japońszczyźnie, kokotach, flircie, na kamieniach żółciowych, starej porcelanie, sporcie, wincie, katarach wszelkich rodzajów, pesymizmie, *fin de siècle'u* i teorii gremjalnego samobójstwa ludzkości. Tak, tak; jakim sposobem ta naiwność i pierwotność zdołała wplątać się pomiędzy naszą zawikłaność i subtelność?

Jednak, czy wiesz, kochanku, przychodzi mi do głowy wątpliwość pewna, ta mianowicie, czy człowiek, którego tak trafnie nazwałeś buszmanem, nie pochodzi wypadkiem — z puszczy. Bo widzisz, jeżeli pochodzi z puszczy... to, kto wie? czy nie posiada pewnego specjalnego gatunku cywilizacji, że tak powiem, puszczonej, i, czy nie należałoby, ot tak, dla ciekawości, przypatrzeć się mu zblizka? Bywa niekiedy, że puszcze przysyłają wielkim miastom egzemplarze ludzkie bardzo zabawne, po których jednak przemknęciu, czujemy woń żywicy i tęsknotę ku mlecznym drogom. Żywica zaś, jak wiesz zapewne, leczy i rozszerza płuca, a mleczne drogi, to wedle poetów szlaki nadziei, rozciągnięte nad ciemnym przestworzem, dlatego, aby ludzie nie wierzyli w wieczne trwanie ciemności i mieli odwagę żyć do rana... Otóż i wpadłem w liryzm! Zawsze mi się to przytrafia, ilekroć przypomnę sobie tę kobietę... Ach, była to także buszmana! Ale, czy czujesz zapach sosnowego boru, mięty, macierzanki, pola świeżo wruszonego plugiem? Czy nie zdaje ci się, że w ciemnym przestworzu szlak drżącej światłości pomyka kędyś, wysoko daleko?

Było to dość niedawno i bardzo dawno temu, bo czas jest rzeczą zupełnie względną i dwadzieścia kilka lat nie wystarcza, aby w zwykłym porządku rzeczy zaprowadzić młodzieńca do grobu, ale zupełnie wystarcza, aby mu dać uczuć jego bliskość i konieczność; gdy zaś raz to uczucie w nas powstanie, Boże wielki! ileż rzeczy przedstawia się nam we wcale innym, aniżeli przedtem oświeceniu. Nie uwierzysz, kochanku, jakie dziwolągi wyprawia przed oczyma ludzkiemi światło z doświadczeń życia i z bliskości grobu bijące. Sprowadza ono w dziedzinie idei, zarówno jak ludzkości, przewroty szczególne: królowny przemienia na pokojówki, kopciuszki na księżniczki.

Było to tedy przed dwudziestu kilku laty. Stryj twój, który w tej chwili z siwiejącą czupryną i ocieziałą figurą, opowiadać ci zaczyna tę historję, był podówczas młodzieńcem, od lat kilku wyemancypowanym z pod feruły szkolnej i wszelkiej innej, a w szkole życia bynajmniej nie nowicjuszem. *Oh, loin de là!* Miałem już za sobą kilka lat egzer-cycji w sztuce uprzyjemniania życia sobie i innym; a tak, nietylko sobie, ale i innym

także, bo przyjemność podzielona, jest dopiero prawdziwą przyjemnością. Spodziewam się, że w obecnej powierzchowności mojej spostrzegasz jeszcze ślady tego, że byłem przystojnym, *bélas*, ślady tylko, ale nie wyobrazisz sobie jaką niezmierną wagę, w pewnym okresie życia, mają dla nas wszelkie ślady! Taką wagę one mają, że niekiedy oddalibyśmy resztę życia za to, aby były nieco innymi. Byłem także doskonale ucywilizowanym, co nie pozwalało mi zagrzebywać się na wsi i budziło we mnie cały rząd potrzeb nieprzeparty, którym zadośćuczynić mógł tylko kilkumiesięczny co roku pobyt w wielkim mieście. Część pozostałych miesięcy upływała mi w ładnym majątku, którego byłem wyłącznym i niezależnym posiadaczem, a część w podróżach, bo wiesz sam, że podróżowanie należy do cech niejako pierwotnych i potrzeb zupełnie nieprzeparty człowieka kompletnie ucywilizowanego.

Miałem przyjaciół i towarzyszy z umysłami i charakterami rozmaitemi, niemniej ze stron wielu do siebie wzajem i do mnie podobnych, co zresztą jest naturalnem pomiędzy ludźmi jednostajnego pochodzenia, urodzenia i wychowania. Mogę ci zaręczyć, że wszyscy razem nie stanowiliśmy kupy łotrów, ani głupców, owszem, wcale nieźli i roztropni, a już najpewniej bardzo przyjemni byli z nas chłopcy. Serca nasze nie były zbyt twardo opancerzonymi przeciw cierpieniom współbraci, nad którymi umieliśmy się litować najczęściej wprawdzie w sposób bierny, czasem jednak i czynny, bo sięgnięcie do kieszeni po portmonetkę nie jest przecież czem innym jak tylko czynem, a w głowach naszych mieściło się sporo oświaty, zdobytej na ławach szkolnych i uniwersyteckich, zacerpniętej też z kilku literatur, których byliśmy, jak na amatorów, znawcami dość biegłymi. Nie należy też wyobrażać sobie, abyśmy dni i noce trawili na uciechach do dziedziny zoologii należących. Bywało tam niekiedy to i owo w tym rodzaju, lecz zawsze pozostawiało w nas niesmak i niezadowolenie z samych siebie. Na ogół, zwierzęce instynkty przytłumiał w nas pewien gatunek wrodzonego może idealizmu, a daleko więcej i pewniej smak dobry, przez estetyczne otoczenie i artystyczne zamięłowania wykształcony. Kiedy się jest znawcą i miłośnikiem pięknych obrazów, niechętnie czyni się z samego siebie obraz szpetny. Zналиśmy się na obrazach, poezji, powieściach, odrobineczkę nawet na architekturze, ale pierwsze miejsce w upodobaniach naszych tego rzędu zajmowała muzyka. Przepadaliliśmy też poprostu za scenicznymi przedstawicielkami tej sztuki i sztuk jej pokrewnych, co przyznaj, że ze względu na pierwotne źródło, należy do najszlachetniejszych odmian erotyzmu. Czytywaliśmy dzienniki i z nich przedewszystkiem czerpaliśmy wiadomości i wyobrażenia o bieżących pojęciach filozoficznych, społecznych, naukowych, tak, że i pod tym względem nikt sprawiedliwy obskurantyzmu zarzuciłby nam nie mógł, owszem, byliśmy bardzo zdolni do poważnej, albo, wedle okoliczności, dowcipnej rozmowy o takich np. ideach, jak modna podówczas i roznamiętniająca umysły darwinowska teoria ewolucji gatunków, emancypacja kobiet i t. p. Szczególniej na kanwie tej ostatniej haftowaliśmy z przyjemnością różne esy i floresy. Była to prawdziwa arena popisów dla dowcipu, który wytwornymi drwinami z tej idei towarzystwo bawił i dla wspaniałomyślności, pod której natchnieniem z rycerską galanterją ofiarowywaliśmy się spełnić życzenia płci słabej i pięknej. Co do pojęć i dążeń już nie ogólnoludzkich, ale własne społeczeństwo na celu mających, wiedzieliśmy bardzo dobrze, iż jesteśmy pokoleniem, które na drogę życia wstępuje w dniu feralnym, i zasmucało to nas niewątpliwie, lecz aby ta feralność specjalnie na nas wpływać miała, aby wynikała z niej dla nas potrzeba, czy powinność jakiej metamorfozy, to nam poprostu do głowy nie przychodziło. Byliśmy takimi, jakimi we wszystkich ucywilizowanych krajach byli młodzieńcy takiego, jak nasze, urodzenia i wychowania, i gdyby ktokolwiek powiedział nam, że innymi być powinniśmy, albo możemy, rozśmieszyłby nas serdecznie. Wolelibyśmy zapewne, aby pogoda była jaśniejszą, byliśmy nawet zdolni dokonać dla poprawienia się pogody niejednej ciężkiej albo i bohaterskiej ofiary, gdyby entuzjazm nasz został w tym kierunku rozbudzony... bo nie pozwalał tobie i nikomu wątpić o tem, że posiadaliśmy w sobie z krwią ojców odziedziczoną zdolność do świętego i na bohaterskie ofiary umięjącego zdobywać się entuzjazmu. Ale entuzjazmy mają to do siebie, że potrzebują być rozbudzaniem, że zaś naszego nic w chwili owej nie rozbudzało, więc drzemał, a myśmy nie potrzebowali nawet rezygnować się na to, o czem normalnie przez długie dni i tygodnie zapominaliśmy najzupełniej. Cóż? młodość, dostatek, natura ludzka, wielkie miasto, doskonale ucywilizowanie i t. d. i t. d., wszystko to złożyło się na uczynienie z nas grupy chłopców miłych,

oświeconych, dość moralnych, zupełnie estetycznych, którzy u początku dnia feralnego, ani myśląc o wpatrywaniu się w jego głębie, przepędzali czas bardzo wesoło i przyjemnie.

Ach, mój kochany, gdy młodość przeminie, ze wszystkich przyjemności, któremi nas ona w połączeniu z dostatkiem i oświatą obdarzała, tą, którą człowiek dość moralny i zupełnie estetyczny wspomina najczulej, najtęskniej, jest flirt. Byłem zapałym wielbicielem i praktykantem tej odmiany erotyzmu, której z żadnego punktu nic zarzucić niepodobna, bo zawiera w sobie zarówno pierwiastki piękna, jak niewinności i użyteczności. Sam wiesz bardzo dobrze czym jest flirt, ale jako starszy doświadczeniem, mogę do wiedzy twojej dorzucić parę okruchów. Przedewszystkiem, flirt jest dla zebrań towarzyskich tem, czym są trufle dla sosów, wanilja dla kremów. Bez niego, przerobiłyby się one na posiedzenia pedantów, dyskutujących z błękitnymi pończochami o pokładach antydiluwialnych i monetach bitych za czasów króla Assurdababela. Poprostu, przechodzi to moje pojęcie, w jaki sposób przyjemni panowie i pełne wdzięku panie przestawałyby z sobą mogli, gdyby nie było flirtu. Następnie, ma on tę dobrą stronę, że nietylko nie szerzy w świecie pożarów miłości, ale owszem, przez rozdrabnianie jej na dawki minimalne, dąży do zupełnego znihilizowania jej wpływów na organizmy ludzkie. A nie jestże to widocznym awantażem dla świata, jeśli z powierzchni jego znikają stopniowo gminne gruchania turkawek i niebezpieczne płomienie wulkanów? Nakoniec, flirt to uczy zastosowywania jednej z najważniejszych reguł cywilizacji, którą jest, że wszystko czynić można, byleby czynić pięknie, i wytwarza znaczną sumę rozkoszy, oczyszczonej z najdrobniejszych atomów odpowiedzialności; bo, jeśli w pewnej ilości wypadków napaja duchy pierwiastkami wartości wątpliwej, ciała natomiast zawsze i całkowicie niewinnymi pozostawia — a o to tylko idzie!

W porze, o której mówimy, w kółku towarzyskim, do którego należałem, mistrzynią flirtu, prawdziwie poświęconą jego kapłanką była kuzynka moja, Idalja, w której domu spotkałem tę dziką...

Był to u kuzynki Idalji, albo poprostu, jak od dzieciństwa ją nazywałem, u Idalki, *jours fixe*, mniej więcej podobny do wszystkich przeszłych i terażniejszych *jours fix'ów*, ale bardzo ładny. Jeszcze jedna mała dygresja. Te *jours fix'y* są rzeczą niezmiernie pożyteczną i przyjemną, zwłaszcza jeżeli odbywają się u kobiety pod każdym względem uzdolnionej do zadania, którego trudności bynajmniej lekceważyć nie należy, bo wymaga ono wielu odpowiednich przymiotów umysłu i charakteru, jak np. dowcipu, żywej wyobraźni, nieustrudzonej pracowitości, heroicznego znoszenia cierpień fizycznych i moralnych, które z *jours fix'ami* nieszczęśliwie zbiegać się mogą i t. d. i. t. d. Jeżeli gospodyni domu w dostatecznej dozie przymioty te posiadają, ich *jours fix'y* mogą być nadzwyczaj użytecznymi, bo w pewien zasób zaproszeń na nie zaopatrzony, nie potrzebujesz suszyć sobie głowy nad sposobami zabicia czasu, ani zabijać go w sposób benedyktyński lub zoologiczny, co przedstawia dwie ostateczności, których, jak wszelkich ostateczności, człowiek pewnej sfery towarzyskiej i pewnej skali cywilizacyjnej uniknąć woli. Tutaj, trochę muzyki, trochę deklamacji, trochę flirtu, czasem *une petite sauterie*, czasem niedługi występ *d'un grand*, albo *d'une grande artiste*, przeważnie zaś rozmowa, taka rozmowa, która by w najmniejszym stopniu umysłów nie nużyła, w najpoważniejszych nawet fazach swoich nie przestawała być lekką, ozdobną i broń Boże, nie przerywała się ani na trzy minuty. To ostatnie jest bardzo ważnem. Sekunda przerwania się rozmowy i ogólnego milczenia, to nic jeszcze, minuta, to gruba przykreść dla gospodyni, ambaras dla gości, ale trzy minuty, to już cios, o którym ona z rumieńcem wstydu, a oni z sarkastycznymi uśmiechami długo wspominać będą. Trzeba koniecznie mówić, mówić, mówić, ze wszystkich wątków przecięć nić rozmowy gładziutką, błyszczącą, czepiającą się wszystkiego co na niebie i ziemi istnieje, lecz do niczego nie przyczepiającą się ani silnie, ani długo. Zresztą, ubrania pań i panów powinny być zupełnie takimi, jakimi, wedle panującej mody, być powinny, i jeżeli moda dyktuje podawanie wierzchy zimnej, trzeba podawać zimną, jeżeli gorącą, to gorącą, jeżeli *petit four'ów*, to *petit four'y*, a jeżeli kanapek to kanapki. I wszystko. Zda się, bagatela, jednak, mój kochany, jest to praca, mnóstwo sił zużywająca, ale w tym wypadku pewniej, niż w każdym innym twierdzić można, że są to siły zużywane dobrze.

Spóźniłem się nieco, umyślnie dlatego, aby oczekiwaniem podręczyć trochę Idalkę, z którą od kilku tygodni zawzięcie flirtowałem. Zналиśmy się od dzieciństwa i łączyła nas zawsze tylko poczciwa przyjaźń, ale wtedy właśnie, niespodziewanie, uczulem dla niej

coś takiego... jakże to powiedzieć? No, coś takiego... że gdybyśmy byli jaskiniowcami, z ochotą porwałbym ją razy parę w objęcia i z równą ochotą zwróciłbym prawnemu posiadaczowi... który zresztą od paru tygodni był nieobecny, oddając się kędyś łowieckim trudom i uciechom. Że jednak odeszliśmy od jaskiniowców na odległość nieskończoną, więc czyn powyższy rozdrobniłem na okruszyny tak minimalne i wytworne, że pomimo wszystko, co działo się w naszych słowach, spojrzeniach, nerwach, wyobraźni, oboje mieliśmy prawo wysoko nosić przed światem czoła niewinne.

Salon, jak salon, opisywać ci go nie będę, bo najprzód, masz podobne u swojej matki, siostry, przyjaciółki, kuzynki etc., a następnie, weź do ręki pierwszą lepszą powieść francuską, a znajdziesz w niej takie opisy salonów, którym proste słowa moje dorównać nie zdołają. Wiele światła i kwiatów, trochę złocen i malowideł, tu i owdzie draperje z ciężkich materyj, meble, mebelki, parawaniki, ekrany, albumy, figurynki, *que sais-je?* fraszki i fatalaszki, ale ładne i stanowiące gustowną całość, dokoła zaś lampy, na chińskim postumencie osadzonej, *rond*, złożone ze dwudziestu może osób, siedzących na fotelach, pufach, taburetach, a pośrodku Idalka, cała w wilczych głowach, na czarodziejskim kołowrotku przedzająca nić rozmowy. Pytasz się: jakto w wilczych głowach? A no tak, że zimy owej modne były materje, których tło jaskrawe usiane było głowami wilczemi. Na tle pąsowem, wilcze głowy, jak żywe, zęby szczerzą, zda się uszami strzygą, a ślepiami świecą. Wchodząc do salonu, pomyślałem: wilcze głowy! wszystko dobrze! jest w nastroju sentymentalnym i ubierając się myślała o mnie! Właśnie więc dlatego, iż miałem dowód, że myślała o mnie, z wyrafinowanym chłodem dotknąłem, przy powitaniu, białych jej paluszków i niezmiernie obojętne spojrzenie przesunąłem po jej drobnej, różowej twarzy, ocienionej lasem złotych loczków. Wyraz niezadowolenia, który przemknął w błękitnych jej źrenicach, sprawił mi przyjemność. Jej kokieterja była obrażoną, moja próżność zadowolona. Odszedłem nieco na stronę i z kilku przyjaciółmi, prawie pośrodku salonu stanawszy, zacząłem lustrować zebrane dokoła lampy towarzystwo. Wszyscy znajomi. Józio z ręką zarzuconą na poręcz fantazyjnego krzeselka i pani Oktawja, siedząca na pufie, toczą wieczną swoją dyskusję nad zagadnieniem: dlaczego mężczyźni oświadczają się kobietom, nie zaś kobiety mężczyznom; Stefan, tak żywo i dowcipnie, jak tylko on umie, opowiada paniom Helenie i Marji treść nowej i głośnej powieści francuskiej; Leon, Karol, panna Zofja i jeszcze ktoś czwarty spierają się o to: który taniec jest przyjemniejszym, walc czy kontredans, i o to jeszcze, czy *lansier* rychło wyjdzie z użycia, albo nierychło; dalej odosobniona nieco para, dobrze mi zresztą znana, półgłosem rozmawia po angielsku; Idalka króluje nad dziesięciu przynajmniej osobami, którym opowiada wrażenia, dziś na wystawie sztuk pięknych doznane, przyczem wyplata o malarstwie i rzeźbie najpociesniejsze brednie, byleby rozmowę ożywić i innych do mówienia wyzwać. Sama wie o tem, że wygaduje rzeczy niestworzone, ale inni jej zaprzeczają, ktoś utrzymuje, że ona jest paradoksalną, co jej się bardzo podoba, zawiązuje się lekka, lecz żywa dyskusja, rozmowa nie przerywa się ani na sekundę, a jej właśnie tego tylko potrzeba. Pomimo ożywienia, z którym prawi o obrazach i statuach swoje paradoksy — czuje się zaniepokojoną tem, że ja usunąłem się na stronę i pozornie wcale na nią uwagi nie zwracam, a ilekroć szybkie jak błyskawica spojrzenie rzuca w moją stronę, zawsze w oczach jej przeleci iskra i na piersi silniej zadrzają wilcze głowy. Ani na sekundę przecież nie wypuszcza z paluszków czarodziejskiej nici i przedzie ją nawet coraz żwawiej, coraz świetniej, z malarstwa i rzeźby na poezję, jak motyl z róży na różę przelatując. Zresztą, u początku wieczoru nikt jeszcze nie miał czasu znudzić się i wszyscy bawią się bardzo dobrze; oczy pobłyskują, usta uśmiechają się albo i śmieją, dowcipne słowa jak świetne rakiety przelatują w rozgrzewającej się coraz atmosferze, daleko cichszy sentyment kiedy niekiedy przepłynie po zadumanych na chwilkę źrenicach, lub zadręga w szczególnej intonacji głosu, w rozmowę stale po polsku prowadzoną, niby muchy w pajęczynie, wpadają słowa francuskie, od odosobnionej nieco pary zalatują też niekiedy i angielskie, Józio, dla pani Heleny i dla kilku pań innych poprawną włoszczyzną deklamuje strofę Petrarke... Ja, z szapoklakiem pod ramieniem, stojąc ciągle z paru przyjaciółmi na stronie i prowadząc z nimi półgłosną rozmowę, bawię się wybornie widocznem dla mnie, ale tylko dla mnie podrażnieniem Idalki, które zaczyna wyrastać w gniew. Jaka to będzie za parę godzin zgoda! Jaka to będzie boska zgoda!

Wtem, pomiędzy wilczemi głowami i złotą fryzurą Idalki, a suknią w liljowe dja-gonale i koronkowym motylem uskrzydającym włosy pani Oktawji, spostrzegłem jakiś punkt ciemny, który dotąd za próżnię brać musiałem, bom go wcale nie zauważył, a który okazał się — młodą kobietą. Nic dziwnego, że jej odrazu nie zauważył, bo była tak zaćmioną przez swoje sąsiadki, jak lampka przez słońce. Siedziała przytem na krzeselku, tuż do ściany i do rogu kanapy przysuniętem, w roli tak zupełnie biernej, że możnaby ją poczytać za ornament salonu nieżyjący i przeniesiony z innego świata i wieku. Była tak absolutnie do otaczających niepodobną, że to właśnie przykuło do niej moją uwagę. Młoda, to pewno, lat 23 lub 24 najwięcej; czy ładna? Prędy tak, niż nie, bo chociaż całość doskonałą nie jest, ale szczegóły są piękne, i gdyby je odpowiednie ubranie i jakiegokolwiek ożywienie podnosiło, mogłyby ją uczynić bardzo powabną. Ładny typ wysmukłej szatynki z cerą białą i bez rumieńców, z czołem niskim a szerokim, z dużymi oczyma, z bardzo pięknie wykrojonemi i zabarwionemi usty. Ale była zupełnie nieubraną, tak dalece nieubraną, że nie mogłem narazie zdać sobie sprawy, do jakiej sfery towarzyskiej należeć może. Zimy owej panowała moda bardzo krótkich staników u sukien, jasnych ich barw i ciasnego spętania około nóg i bioder. Koafiury znowu składały się powszechnie z misternych koków z tyłu głowy, a lasu i nawet, jeżeli podobna, puszczy loczków u wierzchu jej i z przodu. U niej ani śladu tego wszystkiego. Ciemno-kasztanowate włosy, jak u pensjonarki gładko uczesane, jednym, grubym warkoczem zwijały się wysoko u wierzchu czaszki, zlewając się w ciemną całość ze stanikiem czarnym, gładkim, tak długim, jak mu sam Pan Bóg być przykazał, aż do kłębów sięgającym, wtedy gdy u innych długość jego kończyła się wcale niewiele poniżej ramion. Zresztą białe rąbek kołnierzyka, spięty jakąś dużą broszą, białe rąbki mankietów u rąk, spokojnie na kolanach splecionych. Usta jej, płonące poprostu barwą koralu, zamykała pieczęć doskonałego milczenia, a oczy duże, z pod niskiego i szerokiego czoła, wodziły po obecnych spojrzenie zamyślane, uważne, chwilami głęboko, ale to głęboko zadziwione. To zadziwienie było pierwszą rzeczą, która w wyrazie jej twarzy uderzyła mię i razem ze szczególniejszym ubiorem rozśmieszyła. Ot ta, to już zupełnie i aż nadto oryginalna! Zkąd Idalka zdobyła sobie tego dziwoląga? Kto to taki być może? Pochylony ku stojącemu obok mnie Stasiowi i oczami wskazując nieznajomą, szepnąłem:

— Czy nie wiesz, kto to?

Równie pocichu odpowiedział:

— Jakaś panna Seweryna, nazwiska nie pamiętam...

— Guwernantka?

— Nie, herytjera.

— Cnoty prababek?

— I pięknych dóbr także... gdzieś tam...

— E, więc kwakierka?

— Może.

— Zkąd Idalka ją wypisała?

— Z puszczy.

Zaśmieliśmy się, a w tejsze chwili na twarzy nieznajomej, wciąż z natężoną uwagą słuchającej otaczających rozmów, odmalowało się takie już zdziwienie, iż zdawać się mogło, że oczom i uszom swoim nie dowierza, że zaraz uszczypnie się za ramię, aby nabyć przeświadczenie o tem, czy spi, albo czuwa.

— Czego ona tak dziwi się? — szepnąłem do Stasia.

— Ehe! Żeby cię kto tak przeniósł nagle z pośród ludzi pomiędzy żubry?... pomyśl tylko!

Zaśmieliśmy się znowu.

W tej chwili do salonu wchodzili goście nowi: Broniek Widzki, wcale utalentowany poeta, będący zarazem redaktorem „Poranku” i bardzo miłym, wesołym chłopcem, z Adamem Ilskim, którego malarska sława dotąd przetrwała, a który był wtedy dobrze już podtatusiałym grubasem i od nas wszystkich cięższym wiwerem. Było to w guście Idalki zbierać u siebie *entre autres* pisarzy i artystów. Pozowała trochę na panią Tallien i zdawało się jej, że po równie burzliwej chwili, w równie krótkim staniku, obowiązkiem jej jest zaszczerpać na gruncie swojskim epokę i ducha francuzkiego dyrektorjatu. Zresztą Widzki i Ilski należeli zupełnie do naszego towarzystwa: stosunki swoje z muzami

zamykali w *sacro-sanctum* swoich serc i pracowni, a na scenie świata byli ludźmi przyzwoitymi, zupełnie takimi, jak wszyscy. W tej samej chwili roznoszono herbatę; Idalka, zajęta puszczaniem nowoprzybyłych gości na fale toczącej się rozmowy, zapomniała wiadać o przedstawieniu ich pannie Sewerynie, a może przedstawienie to za niepotrzebne uważała, bo bywają czasem w towarzystwach takie intruzy, albo efemerydy, z którymi nikt się nie liczy i którym nikt nikogo nie przedstawia. Herytjera wprawdzie intruzem być nie może, o ile to jeszcze prawda, że ta jest herytjerą, ale efemerydą zostanie dla nas najpewniej, bo pomiędzy ludźmi czuje się tak zdepeizowaną, że wnet zapragnie coprędzej wrócić do żubrów... Pani Marja poetę ku sobie przywoływała.

— Panie Widzki, musi mi pan koniecznie opowiedzieć o wczorajszym raucie... Umieram z żalu, że na nim być nie mogłam...

Zaledwie nazwisko poety i redaktora wyszło z różowych ustek jednej z najprzyjemniejszych przyjaciółek Idalki, gdy wypadkiem spojrzawszy na nieznajomą, ujrzałem na twarzy jej wyraz nowy i bardziej jeszcze od poprzedniego osobliwy. Przedtem dziwiła się, aż do osłupienia; teraz, coś ją ucieszyło, aż do wniebowzięcia. Była tak wzruszoną, że koralowe wargi jej drgnęły, a z oczu trysnęły snopy światła. *Ma foi!* wydała mi się w tej chwili zupełnie ładną. Puściłem wzrok w kierunku jej spojrzenia i przedstawiłem sobie, spostrzegłem, że przedmiotem, który obudził w niej to zachwycenie, to pełne ciekawości i czci wzruszenie — był nasz poczciwy, różowy, okrągły — Broniek Widzki! Ten karmelek — i te utkwione w niego oczy kobiece, zachwycone i wielbiące! Spostrzeżeniem swoim podzieliłam się ze Stasiem.

— Mój drogi — rzekł — ci poeci... zdaleka...

— Zwłaszcza dla mieszkank — puszczyl... Gdyby go zobaczyła u Stępka...

— Albo za kulisami...

— Olimpu...

Zaśmieliśmy się, lecz jednocześnie nieznajoma powstała i zbyt pospiesznym ruchem filiżankę z herbatą na stole stawiając, ku Idalce przychylna, dość głośno, abyśmy usłyszeć mogli, wymówiła:

— Moja Idalko, przedstaw mię panu Widzkiemu!

Tym razem, jakby ściany salonu spadły na nas ze Stasiem i na wszystkich, którzy szczególniejsze to odezwanie się usłyszeli. Ta dama żądała, aby ją temu mężczyźnie przedstawiono! *C'était renversant!* Kilka osób uśmiechnęło się, pani Oktawja, wielka śmieszka, zaśmiała się nawet dość głośno, czegobym jej w żadnej innej okoliczności nie pochwalił, ale co tym razem przebaczyłem tem łatwiej, że sam zwyczajko wprawdzie, lecz nie bez trudu, ze śmiechem walczyłem. Po twarzy Idalki przeleciał figlarny esik, ale była wytrawną gospodynią domu, więc natychmiast i najnaturalniej w świecie przemówiła:

— Pan Bronisław Widzki, panna Seweryna Zdrojowska, moja krewna.

Broniek z gracją porwał się z krzeselka, złożył przed nieznajomą ukłon i orzuciwszy ją niezmiernie pobieżnym spojrzeniem, wrócił do rozmowy z panią Marją o raucie, a w szczególności o zagranicznej artystce, która go śpiewem swym uświetniła. Na kobietę, której przedstawiony został, nie zwrócił uwagi żadnej, zapewne, jak ja przed chwilą, wziąć ją musiał za guwernantkę. Ale dla mnie nazwisko jej i pokrewieństwo z Idalką, było promieniem światła. Wiedziałem coś o Zdrojowskich. Była to rodzina majątna, zamieszkała w głębokim prowincjonalnym zakątku, i o której zasłyszałem był coś ciekawego, nie pamiętałem dokładnie co... jakąś historję posępną, choć snadź pospolitą, skorom jej nie pamiętałem. Panna Seweryna była tedy krewną, nietylko Idalki, lecz i moją, może daleką, zawsze przecież krewną. Nic dziwnego, często się nie zna dalekich krewnych, w odległych stronach zamieszkałych. Ale, oto, co znaczy głos krwi! Nie daremnie obserwowałem ją z takim zajęciem i pomimo, że śmiałem się z niej ze Stasiem, wydawała mi się zajmującą. Głos krwi! Teraz uwierzyłem, że może być herytjerą, bo nawet coraz wyraźniej przypominałem sobie coś zasłyszanego o jedynym jej bracie, młodym chłopcu, który zgasł kędyś... Nagle, szczególną grą wyobraźni, ujrzałem płomyk, który z przestworza spadł na rozłóg twardego śniegu i zgasł... Wiedziałem już dokładnie, co stało się z jej bratem. Spojrzałem na nią znowu. Patrzyła ciągle na Widzkiego i łatwo było dostrzedz, że chciwem uchem chwytając każdy wyraz z ust jego wychodzący. Czego ona chciała, czego spodziewała się od tego autora ładnych wierszyków? Pewnie wymarzyła sobie w swojej puszczy ideał poety, wieszca, poświęconego kapłana muz, i dziwno jej teraz, że on z turkusowemi oczami

niewinnego pacholęcia i miękkimi gestami pulchniejącego smakosza, przyjemnie zresztą i zręcznie drwi z kwestji emancypacji kobiecej, której, w nawiasie mówiąc, redagowany przez niego „Poranek” jest wymownym poplecznikiem. Ale jakże można tego nie rozumieć? Redaguje się dziennik w takim a takim kierunku dlatego, aby zgrupować dokoła niego prenumeratorów z tym właśnie kierunkiem myślenia, a może zresztą i dlatego po części, że się jest naprawdę tak przekonany, ale nie do tego znowu stopnia i nie z tą siłą przekonany, aby dla przekonania wyrzec się paru dowcipów i zainteresowania kilku pań. Broniek był dowcipnym, znał to do siebie i ani myślał wyrzekać się tego towarzyskiego awantazu. „Poranek” swoją drogą, a przyjemność i zdobycze towarzyskie swoją. Ta kwakierka nie rozumie tego i ma coraz bardziej pozór kobiety dzikiej. Broniek cytuje komedię Fredry *Gwałtu co się dzieje* i przekomicznie pokazuje gestami, jak będzie kołysał dziecię i na drutach pończochę robił i jak jednocześnie małżonka jego bronić będzie przed sądem Rinalda, w którym naostatku zakocha się dlatego, że ma on włosy jak krucze pióra, oczy jak żuźle.

— I bary Atlasa... — dodaje gruby Ilski — którego dowcip jest znacznie od Bronkowego mniej poprawny.

— Panie Ilski! — z wyrzutem wykrzykują panie — a na dźwięk tego nazwiska panna Seweryna szeroko rozwarła i znowu promieniami nalane oczy w sławnego malarza wlepia. *Eh, ma foi!* szkoda tych oczu dla tego niewątpliwego artysty, który jednak połowę talentu swego utopił w kuflach piwa... Niech te śliczne, dzikie oczy, na mnie trochę popatrzą...

Zbliżyłem się do Idalki i poprosiłem, aby przedstawiła mi pannę Zdrojowskiej, czego ona dokonała z udaniem roztargnieniem, niby pochłonięta rozmową o demoralizującym wpływie, wywieranym na Francję przez chwalebnie podówczas panującego nad krajem tym Napoleona III. W gruncie rzeczy, wszelkie na świecie wpływy moralizujące i demoralizujące obchodziły ją tyle, co przeszłoroczne lato, ale podtrzymywała rozmowę wszystkimi narzędziami, jakie pod rękę popadały, to jedno, a mówiąc o polityce, której nie cierpiałem, chciała mi dokuczyć, to drugie. Nie osiągnęła celu. Owszem, jak prawdziwy amator lubowałem się mistrzostwem, z jakim w ciągu godziny potrafiła umieścić rozmowę na piętnastym przynajmniej z kolei punkcie. Ale ta rozmaitość była już dla mnie monotonią, tak się z nią ciągle spotykałem. Usiadłem przy pannie Zdrojowskiej. To przynajmniej coś nowego. W czasie prezentacji, skłoniła mi się lekko i tak jak przed chwilą Widzki na nią, spojrzała na mnie bardzo pobieżnie. Tknęło mnie to; przecież, jak on ją za guwernantkę, ona mnie za frotera wziąć nie mogła. Postanowiłem być przyjemnym, ale nie wiedziałem narazie, jaka rozmowa przystępna być mogła dla tej pierwotnej inteligencji i obyczajowości. Musiała to być chyba rozmowa także bardzo pierwotna, a że w puszczech pokrewieństwa cenią się wysoko, powiedziałem, że mam zaszczyt i szczęście być jej krewnym. Na chwileczkę zwróciła ku mnie oczy i ze słabym uśmiechem, który wnet zniknął, odpowiedziała że istotnie przypomina sobie moje nazwisko, wspomiane w jej domu, jako należące do krewnych dalekich i daleko mieszkających. I po wszystkim. Patrzyła znowu na Widzkiego, aż w chwili właśnie gdy on wbił się na apogeum dowcipu i całe towarzystwo pociągnął na szczyt wesołości, jej brwi ściągnęły się powoli nad opadającymi w dół powiekami i twarz przybrała wyraz smutnego zamyślenia. Głosem, nad wszelki wyraz melodyjnym, zapytałem, jak dawno miasto nasze obecnością swoją uszczęśliwia. Odpowiedziała z roztargnieniem, że od dni paru i znowu całą duszę pogrążyła w badaniu duszy zgromadzonego towarzystwa. Do rozmawiania ze mną w nadzwyczaj małym stopniu usposobioną się okazywała, nie wiedziałem jednak napewno, czy dlatego, że rozmowy wogóle nie praktykuje, czy dlatego, że pochłaniały ją ze szczętem uczucia i myśli jej tylko wiadome. Chcąc nie chcąc tedy, ograniczyłem się na roli obserwatora i po chwili milczącego podziwiania jej antydiluwjalnej, czarnej sukni, z dość drogiej materji, i jej dużej broszy z włoskiej mozaiki, w staroświeckiej oprawie, przyznać musiałem, że w tym stroju, z harmonijnymi kształtami kibici i doskonałym spokojem postawy, przypominała potroszę portrety młodych dam z innej epoki. Gdyby wszystkie nasze panie w ten sposób poubierały się i w milczącej kontemplacji pozamykały, świat przemieniłby się w okropność, ale pomiędzy innymi ta jedna, taka, zaciekaiała. Daleko przecież słabszy odemnie obserwator bez trudności zauważyć mógłby, że portretowy spokój jej był zupełnie powierzchownym. W gruncie rzeczy coś kipiało w tej głowie obciążonej grubym



warkoczem i w tej piersi ociągniętej gładkim stanikiem. Raz jeszcze spróbowałem, czy jest zdolną do przydłuższego nieco mówienia.

— Jak podoba się pani nasze miasto?

— Mury czy ludzie? — wzajemnie zapytała.

— Jedno i drugie.

— Pierwsze znam oddawna, drugich teraz poznaję i — nie rozumiem.

— Czy w stronach pani panują o nas biednych tak błędne wyobrażenia?

Po raz pierwszy dłużej nieco popatrzyła na mnie i zcicha odpowiedziała:

— W moich stronach panują różne wyobrażenia... ale ja wyobrażałam sobie towarzystwo tutejsze wcale... innym.

Zarumieniła się i patrząc wciąż na mnie wielkimi, zadziwionymi oczami, dodała:

— Dlaczego pan mówi: „o nas biednych?” Wszyscy tu są tak weseli, że jakiegokolwiek biedy domyślać się nawet niepodobna!

Staś i Leon, którzy przed chwilą obok mnie usiedli, wmieszali się do rozmowy.

— Mędracy utrzymują — wtrącił pierwszy — że dobry humor bywa oznaką dobrego charakteru.

— Pani nie jest zwolenniczką wesołości? — zapytał, drugi.

— Owszem — odpowiedziała i po chwili wahania dokończyła — tylko nie przypuszczałam, aby tu było jej tyle.

Mówiła poprawnie; w sposobie wymawiania wyrazów miała trochę śpiewnego akcentu swojej prowincji i wiele słodyczy. Było w niej przytem uderzające połączenie zmieszania i śmiałości, skromności i nie wiedzieć z kąd dobywającego się blasku. Kilka osób: pań i panów przybliżyło się lub obróciło ku nam. Osoba przybyła ze stron odległych, majątna, młoda, zaciekawia zawsze, tem więcej, jeżeli jest dziwolągiem. Niewidzialny drut telegraficzny, wszystkim już teraz zakomunikował wiadomość, że ten dziwoląg posiada kędyś piękne dobra. Któraś z pań rzuciła pytanie, czy dobra te daleko ztąd położone? Doba podróży, najprzód końmi, potem koleją. Ach, końmi! Więc to nawet nie przy kolei! O, Boże, jakież zakął!

— Jakże pani dobrze zrobiła, że przyjechała do nas zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, rozrywki!

— Pani Idalja zaznajomi panią ze wszystkimi urokami naszej Syreny...

— Będziemy usiłowali wszyscy pokazać nasze miasto ze stron jego najlepszych...

— Zaopatrzyć panią w jak największy zasób tej wesołości, którą pani była łaskawą w nas zauważyć.

— Czy pani długo tu zabawi?

— Zdaje się, że tej zimy mieć będziemy znośniejszą niż zwykle operę...

— Karnawał zapowiada się świetnie...

— Dziś już ośmielam się prosić panią o pierwszy kontredans, na pierwszej zabawie tańczącej, w której będę miał zaszczyt brać udział razem z panią...

Byliśmy bardzo uprzejmi. Rzecz to zresztą wiadoma, że nikt nie potrafi być więcej od nas uprzejmym i gościnnym. Panna Zdrojowska była naszym gościem i znaliśmy dobrze obowiązki swoje względem tej osoby, która do naszej sfery należała — pomimo idyllicznego warkocza i antydyluwjalnej sukni. Ją ta nasza uprzejmość i gościnność nie rozrzewniała wprawdzie, ale widocznie ujmowała. Z uprzejmym uśmiechem dobrze wychowanej kobiety wysłuchiwała wszystkich zaproszeń i oświadczeń, poczem, znacznie już z towarzystwem wielu naraz osób oswojona, trochę jednak rumieniąc się, rzekła:

— Miałam interesy w tem mieście do załatwienia, ale najważniejszą przyczyną, która mię sprowadziła do tego ogniska naszej oświaty i zbiorowej pracy, była wielka potrzeba zaczerpnięcia w niem światła, wiadomości, wskazówek. Okolica moja, przez ostatnie wypadki ogołoconą została z ludzi, u których mogłabym znaleźć moralną pomoc i radę...

Słowa te wypowiedziała z naturalnością nadzwyczajną, ale w nas obudziły one żartobliwość, niezbyt złośliwą zresztą, owszem, bardzo miłą. Pierwszy Widzki dał jej ujście, ze swego stanowiska redaktorskiego, w sposób grzeczny i poważny zapytując:

— Łaskawa pani ma zamiar pisać do druku?

Parę osób uśmiechnęło się nieznacznie. Staś za plecami memi szepnął:

— Może idzie o kolonistów do wytrzebienia puszczy...

Ale ona zdawała się uszczęśliwioną tem, że Widzki bezpośrednio zwracał się do niej i z pośpiechem odpowiadała:

— O, nie! Nigdy nie myślałam o pisaniu do druku i zadanie moje jest wcale innym. Przed trzema laty miałam nieszczęście stracić brata... wkrótce potem ojca... i stałam się jedyną właścicielką znacznego majątku, z którego pragnęłabym zrobić jak najlepszy użytek, tem bardziej... że uważam go nie za własność, lecz za depozyt...

Ciekawości, zadziwienia, nawet zgorszenia, których wyrazy przemknęły po twarzach obecnych, albo i trwale na nich osiadły, opowiedzieć niepodobna. Miała znaczny majątek! Chciała z niego zrobić jak najlepszy użytek! Uważała go za depozyt! Jakże można odzywać się z czemś podobnym! Idalka próbowała wprowadzić rozmowę na tor inny, ale towarzystwo nie pozwoliło pozbawić siebie zabawy oryginalnej. Osobę, tak w świecie nową, doprowadzić do publicznych zwierzeń, wzniciło ambicję wielu naraz umysłów. Józio, syn sławnego prawnika i... który wraz ze mną uczęszczał był, co prawda niezbyt często, na prawny wydział uniwersytetu, z uroczystą prawie powagą zapytał:

— Pani nie posiada dobrze uregulowanego prawa własności?

Panna Zdrojowska, widząc poważne usposobienie obecnych, ożywiła się znacznie.

— Owszem, posiadam je jak najlepiej uregulowane pod względem prawnym — odpowiedziała.

— Więc zkadże myśl o depozycie?

— Bo posiadaczem tego majątku byłby brat mój, gdyby żył...

— Ale ponieważ umarł... — z melancholijnem rozpostarciem rąk zauważył Widzki.

— Więc powinnam obrócić go na jak największą korzyść tego, co on kochał...

Było to już tak górne, że poprostu zamieniło nas w głąby. Takeśmy się zadziwili, że zapomnieliśmy o żartowaniu. Panie, za wachlarzami, trochę uśmiechały się, trochę zaczynały szeptać pomiędzy sobą, ale panna Zdrojowska stanęła widać na takim gruncie i znalazła się pod takim wpływem, wobec których nieśmiałość jej znikła i pozostała tylko chęć wypowiedzenia najdroższych uczuć i myśli. Nie rumieniła się już, owszem, trochę pobladła i z płomieniem w oczach rzekła:

— Tak marzyłam, tak pragnęłam znaleźć się tu, poznać tych, którzy społeczeństwu naszemu przewodniczą, usłyszeć ich zdania, zaczerpnąć od nich światła, wskazówek...

Kilku z pomiędzy nas ukloniło się głęboko.

— Pani! czem tylko słabe siły nasze służyć mogą!

— Jakich mianowicie światła i wskazówek?

Cała w promieniach i płomieniach, nerwowym ruchem ręki mnąc faldę sukni i, jak mi się zdawało, drżąc nieco, mówić zaczęła:

— Idzie mi o to, czy w pojmowaniu zadania nie popełniam błędu. Zdaje mi się, że dla tych, którzy mają szczęście posiadać ziemię i żyć pośród ludu, nic nie ma ważniejszego nad udoskonalanie ziemi i ludu. Praca około roli dla podniesienia jej produktywności i około dusz ludzkich dla ich uszlachetnienia... to są zarysy główne... ale szczegóły, sposoby...

— Szczytne uczucia! — zadeklarowało parę głosów męskich, a jeden kobiecy zauważył:

— Ależ te rzeczy muszą być strasznie trudne i — nudne!

Widzki zaś łagodnie i współczująco wtrącił:

— Czy nie za wielki ciężar dla sił niewieścich?

Podniosła na niego trochę przenikliwie, a trochę smutne oczy.

— „Poranek” inaczej o siłach niewieścich utrzymuje — zicha wymówiła.

Widzki zmieszał się nieco.

— Pani łaskawa — zaczął — teoria... a praktyka... rzeczy różne...

Po raz pierwszy na niego i wogóle po raz pierwszy podniosła głowę i spojrzała trochę z wysoka.

— Spostrzegać zacznym, że tak bywa...

Zdawało mi się, że w tej chwili spostrzegać też zaczynała w rozmowie ładnie utajoną podszewkę żartu, ale spostrzeżenia tego nie była jeszcze pewną.

— A jabym tu miał do zarzucenia — z wielką zewnętrzną powagą zaczął Józio — że takie pojmowanie życia jest zbyt surowem... zbyt oddalone od źródeł i wzorów cywilizacji, aby przez kogokolwiek, bez ostatecznej konieczności, akceptowane być mogło.

Zelektryzowało to ją znowu tak bardzo, że o spostrzeżeniu, czy podejrzeniu swoim zupełnie zapomniała.

— A mnie się zdawało — zaczęła — pewną nawet byłam, że w takich okolicznościach wszyscy surowo pojmujemy życie, że tu szczególnie, w ognisku naszej oświaty, naszych dążeń i ideałów, takie pojęcie o życiu jest panującym, wskazywanym... Zresztą, nie wiem doprawdy, czy wogóle podobna być szczęśliwym, nie mając jakiegoś celu, zadania, szczególnie tak naturalnego i koniecznego...

Istotnie, to co mówiła wydawało się jej tak naturalnym i koniecznym, jak samo mówienie o tem i zajmowanie tem — wszystkich wogóle, a przewodników społeczeństwa w szczególności. Zresztą w zasadzie, wszyscy byliśmy tego samego, co ona, zdania, tylko nie doświadczaliśmy palącej ochoty stosowania go do siebie i razila nas ogromnie forma, w której wypowiedzianem zostało. Ilski szczególnie z szeroko otwartymi i wlepionymi w nią oczyma, wyglądał przekomicznie.

— O cóż więc właściwie łaskawej pani idzie? — ze szczerem zdziwieniem zapytał.

— Pragnęłam usłyszeć zdanie ludzi, społeczeństwu przewodniczących, o obowiązkach, które w tej chwili najważniejszymi są dla posiadaczy większych własności ziemskich... i o tem także, jakimi sposobami te obowiązki najlepiej spełnić można...

Nastąpiła chwila milczenia ogólnego, kilka osób porozumiewało się spojrzeniami, wszyscy przybrali postawy i miny poważne. Uznawano, że w tem, co panna Zdrojowska powiedziała, materji do żartów nie ma, ale zarazem uczuwano ogromną ochotę do żartowania... Na katedrze, na ambonie, w książce zresztą, to bardzo dobre, ale w towarzystwie jest poprostu śmiesznem. Jednak, z drugiej strony, otrzymana godność przewodników społeczeństwa, obowiązywała i nikt nie chciał okazać przed tą kobietą, bądź co bądź, młodą i bogatą, że mu zbyt wielki zaszczyt wyrządziła. Widzki pierwszy przerwał uciążliwie dla wszystkich milczenie.

— Jeżeli idzie o podniesienie kultury rolnej — rzekł — posiadamy parę pism specjalnych, których tytułami i adresami bardzo chętnie służyć pani będę.

— A jeżeli o oświatę ludową — wtrącił Józio — wątpię, czy na tej drodze cokolwiek da się zrobić; lud nasz jest tak pierwotnym, że trudno pomiędzy nim a nami znaleźć jakikolwiek punkt... kojarzący...

— Mnie się zdaje — pierwsza z kobiet ozwała się pani Marja — że bardzo ważnym zadaniem dla ludzi mieszkających na wsi, jest ożywianie tam życia towarzyskiego, które znajduje się teraz w wielkim upadku...

— Zupełnie słusznie — prawie z zapalem potwierdził Leon — przyozdobić dom dziełami sztuki, otworzyć go dla sąsiadów, uczynić z niego przybytek dobrego smaku i uszlachetniających wrażeń...

— Mówisz tak, jak gdybyś był adwokatem pana Adama Ilskiego i chciał mu zapewnić sprzedaż paru obrazów...

Był to pierwszy żart, który innym tamę otworzył.

— Przedewszystkiem — śmiejąc się zawołała Idalka — nie trzeba robić z siebie mniszki!

— Broń Boże! bo po pierwsze jest to anachronizmem, a powtóre samobójstwem...

— Według mnie, kobieta piękna i wykształcona jest zjawiskiem tak cudownem i dobroczynnem, że przez samo już istnienie swe na ziemi spełnia zadanie najwspanialsze...

— A jeżeli idzie o bezpośrednie służenie ogółowi, droga tu jasno wytknięta: rodzina, macierzyństwo!

— Uszczęśliwienie jednego z synów społeczeństwa...

— Wychowanie dla społeczeństwa nowych filarów...

Stefan, zdecydowany pesymista, utrzymywał, że nie warto wykreślać sobie żadnych dróg i zadań, bo wszystkie do niczego nie prowadzą. Ludzkość z natury swojej jest oporną udoskonaleniu i najrozumniej czyni ten, kto niczemu nie ufa i niczego nie spodziewa się od siebie i świata. Leon zapytał pannę Zdrojowską, czy zna dzieło Degeranda, o doskonaleniu się moralnem, które matka jego bardzo chwali i pilnie czytuje.

Jedna z pań z przejęciem rzekła:

— Gdybym była na miejscu pani, wypuściłabym majątek w dzierżawę i przeniosłabym się do dużego miasta. Tu jest daleko więcej, niż na wsi pola dla działalności kobiety majątnej i inteligentnej. Można by założyć czytelnię dla kobiet...

— Aby te, które już istnieją, zbankrutowały — zaśmiał się Widzki.

— Więc coś innego... naprzykład... pismo dla kobiet...

— W imię „Poranku” protestuję...

— Ale temu może pan nie zaprzeczy, że kobieta majątna i inteligentna, samem już przebywaniem w dużem mieście i roztaczaniem wpływami towarzyskimi i estetycznymi spełnić może ważne i dobroczynne dla społeczeństwa...

— Zadanie! Zgadamy się, zgadzamy się na to najzupełniej i wszyscy! Nieprawdaż?

— Nie wszyscy — ozwał się trochę z za moich pleców Staś. Ja protestuję. Nie dolewa się do naczyń pełnych. Miasto posiada znakomitą sumę wpływów towarzyskich i estetycznych. Roztaczać je należy tam gdzie jest ich zbyt mało... na pustyniach i w puszczech!...

Niechże kto wytłómaczy dlaczego, w ciągu całej rozmowy, nietylko ani razu nie odezwałem się, ale brała mię przeciw odzywającym się złość coraz większa. W całej rozciągłości rozumiałem niewłaściwość znajdowania się panny Zdrojowskiej, a jednak wszystko, czem jej odpowiadano, wydało mi się płaskim i niegustownem, aż wspomniana przez Stasia puszcza, zupełnie już wytrąciła mię z równowagi, może dlatego, że zauważyłem wywołany przez nią rumieniec i błysk oczu panny Zdrojowskiej. Zrazu z rodzajem śmiesznego uszanowania słuchała zdań swoich pomazańców, lecz wkrótce upewniła się o trafności przelotnego zrazu spostrzeżenia. Spuściła powieki, znieruchomiła, zupełnie umilkła. Była naiwną, ale nie była głupią. Uczuła, że jest przedmiotem tego, co się nazywa: wyprowadzeniem w pole, i w odezwaniu się Stasia zrozumiała aluzję do siebie. Oburzyło mię to... Na honor! jest się potomkiem rycerzy, albo się nim nie jest! To wszystko zadaleko już poszło.

— Panowie — odezwałem się — powtarzam, panowie, prosząc najuprzejmiej, aby panie raczyły nie brać do siebie tego, co powiem, bo o paniach, tak jak o umarłych, mówi się dobrze, albo nic się wcale nie mówi. Więc, panowie, zdaje mi się, że uczynilibyśmy lepiej, gdybyśmy zamiast suszyć głowy nad zagadnieniami przez pannę Zdrojowską podniesionemi, otwarcie wyznali, że zaszła omyłka w adresie, że jesteśmy paczką ludzi w bardzo miłe przymioty niewątpliwie zaopatrzonych, lecz których myśli i upodobania rozwinęły się w kierunku wcale odmiennym. Pewno w tem nie ma nic złego, bo przecież każdemu wolno jest żyć podług wrodzonych upodobań i zdolności, a jeżeli jest co złego, daję przykład i ze szczerością, która mnie samego rozrzewnia, pierwszy biję się w piersi: moja wina! moja wina! moja wina!

Mówiąc to usiłowałem zachować ton swobodny, ale czulem sam, że przebijało się w nim dla mnie samego niepojęte rozdrażnienie. Nie wiedzieć za co i dlaczego, byłem zły na obecne towarzystwo i na samego siebie, gniołem też w dłoni rękawiczkę, mszcząc się na tej dunce, za doznawane nieokreślone, lecz przykre wrażenie. Nagle, podniósłszy powieki, spotkałem się wzrokiem z *dwoma* gwiazdami, z dwiema szafirowemi gwiazdami, które wpatrywały się we mnie dziwnie przezroczyście, głębokim spojrzeniem. Nigdy w świecie młoda kobieta, zwłaszcza panna, nie patrzy tak długo i przenikliwie w twarz młodego i mało znanego mężczyzny. Było to do najwyższego stopnia rażącym; jednak obok człowieka, który czuł całą nieprzyzwoitość i śmieszność jej zachowania się, znalazł się we mnie jakiś inny człowiek, który nizko pochylając się przed nią, zapytał:

— Czy otrzymam absolucję?

Odwróciła oczy i przecząco wstrząsnęła głową.

— O nie! — rzekła zcicha.

Zupełnie dzika! — pomyślałem i powstawszy zbliżyłem się do Józia i Bronka, którzy z mego wyznania winy wcale niezadowoleni, z niejaką nawet obrazą utrzymywali, że przeciwnie, przedmioty podniesione przez pannę Zdrojowską, jako to: zwiększanie produktywności roli, oświecanie ludu, potrzeba dla każdego życia jakiegoś określonego celu i zadania, są im gruntownie i ze wszech stron znanemi, że zajmują się nimi bardzo pilnie, tylko, że niepodobna rzeczy takich w towarzyskiej rozmowie wyczerpywać i znówu na rzecz każdą zapatrywać się można z punktów najróżniejszych. Przyłączyły się do nich osoby inne, rozmowa obracać się zaczęła około różnych teoryj pojmowania życia i jego zadań, jako to: pracy organicznej, utilitaryzmu, oportunisty, pesymizmu i t. d. Mnóstwo *izmów* z ust do ust przelatywało i można powiedzieć, że wiedza miała w nas w tej chwili przedstawicieli świetnych i wymownych. Istotnie, wiedzieliśmy ogromną masę rzeczy i umieliśmy o nich mówić zachwycająco. Zadawałniało nas to najzupełniej,

z wyjątkiem Stefana, który od czasu pewnego, pod wpływem przyczyn w połowie majątkowej, a w połowie uczuciowej natury, stał się w kółku naszym stałym poplecznikiem pesymizmu. Teraz także wymownie utrzymywał, że ani kochać, ani działać, ani złudzeń jakichkolwiek żywić nie warto, że ze wszystkich genjuszów świata tylko Horacjusz i Hartmann spojrzeli w oczy samej prawdzie i że człowiek, który nie życzy sobie być, według wyrażenia Renana, „igraszką wielkiego oszustwa”, powinien, albo „chwycić dziś”, o jutrze nie myśląc, jak doradza Horacjusz, albo, stosownie do rady Hartmanna, w łeb sobie palnąć. Rozpaczliwa teoria ta obudzała żarliwą opozycję u tych z pomiędzy nas, którzy w całokształcie życia swego nie mieli bardzo wyraźnych przyczyn do trosk i zmartwień; dyskusja zdobna w terminy naukowe i filozoficzne, w cytaty z nieskończonej liczby autorów poczerpnięte, ożywiła się i biegła ku punktowi, na którym znalazłby się może jakiś poważny jej rezultat, ale do którego dobieść nie pozwoliła jej Idalka. Dla jej gustu, dla reguł dobrego prowadzenia salonu, tej powagi i tego grzęźnięcia na jednym mniej więcej przedmiocie rozmowy, było już nadto. Piękny fajerwerk, przez tę dziką zapalony, trwał zadługo i groził roznieceniem rzetelnego ognia. Trzeba to było przerwać i wieczór urozmaicić, że zaś wypadkiem żaden *grand* ani nawet *petit artiste* nie znajdował się w towarzystwie, Idalka sama przed fortepianem zasiadła, mnie do pomocy w przewracaniu nut przyzywając.

Przed fortepianem piękna blondynka, wilczemi głowami od stóp do głowy orzucona, w świetle dwóch snopów świateł, na pulpicie umieszczonych, grająca jakąś wielką i trudną kompozycję muzyczną, a nieco za nią, ja, w roli wiernego adjutanta, w nuty zapatrzony i od czasu do czasu karty ich przewracający; pośrodku salonu, dokoła stołu z lampą, w chiński postument wprawioną i z albumami, na fotelach, krzesłach, pufach, w nieładzie porozsuwanych, panie w jasnych i spętanych sukniach, z krótkimi stanikami, i panowie, w doskonale poprawnych strojach, nieco naprzód albo w tył pochyleni, ku fortepianowi twarzami obrócenii, uważni, poprawni, czasem tylko pod ręką szybkim ruchem do ust podniesioną, ukrywający niedostrzegalne ziewnięcie. Większość obecnych szczerze lubowała się muzyką i słuchała jej z uszanowaniem, najprzód z powodu prawdziwego zamiłowania w tej sztuce i, mniej więcej, dobrego jej znawstwa, a potem dlatego, że gra Idalki była jednym z najstaranniej wykończonych i najpowabniejszych szczegółów jej toalety. Jakim sposobem muzyka może być szczegółem toalety? Bardzo prostym. Tylko chłopki, albo wogóle kobiety niższego rzędu dbają jedynie o ubiór ciała, składający się z sukni, czepeczka i tym podobnych rzeczy natury materialnej; kobieta wyższa, kobieta inteligentna, której przeznaczeniem jest żyć i kwitnąć w anturażu wyższym i inteligentnym, od dzieciństwa i przez całe życie robi toaletę, że tak powiem, duchową, w której, jeżeli symbolicznie rzecz tę przedstawić sobie zechcemy, liczne wiadomości o literaturze i sztukach są, dajmy na to, suknią, znajomość obcych języków — kokardami, gra na fortepianie, śpiew, rysowanie i t. d. — mniej lub więcej kosztowną biżuterją. Od tej zaś drugiej toalety, częstokroć więcej, niż od tamtej, fizycznej, zależy stopień błyszczania kobiety w świecie. Idalka błyszczała muzyką jak brylantową broszą i dlatego najwięcej, trochę też z rzetelnego zamiłowania pracowała nad nią i w samotności i pod kierunkiem mistrzów, udzielających jej wiecznych lekcji. Że zaś była istotą nerwową i zdenerwowaną gra jej posiadała pewną kapryśną nerwowość i siłę, która, obok znakomitej techniki, czyniła ją oryginalną i zajmującą. To też, gdy ramieniem oparty o poręcz jej krzesła, tuż przy niej, dla lepszego widzenia nut, pochylony, słuchałem wychodzących z pod jej palców tonów namiętnych i bardzo zblizka patrzyłem na śliczne ręce, po klawiszach biegające, ogarnęła mię znowu, przez parę godzin ostygła, a teraz nieprzewyciężona ochota do flirtowania. Jak więc tam było, to było — i nie pamiętam już dokładnie i opowiadać nie warto, bo każdy człowiek dobrego towarzystwa wie o tem bardzo dobrze, ale tonami muzycznymi, słowy urywanymi, kiedy niekiedy spojrzzeniami, nawet rękawami naszych ubrań flirtowaliśmy oboje zawzięcie i z przyjemnością. Jednak, zwykłym porządkiem rzeczy ziemskich, kompozycja przez Idalkę wykonywana, końca swego dobiegła, a po ostatnich jej akordach rozległy się w salonie podziękowania liczne i opinie najpochlebniejsze o wartości kompozycji i grze wirtuozki, która pozostała jeszcze przez parę minut przy fortepianie, przeciw zwyczajowi swemu i powszechnemu, milcząca. Przez te dwie minuty powstał i dojrzał w niej zamiar, który też natychmiast skutecznie, powstając i uprzejmie, nawet serdecznie prosząc pannę Zdrojowską o zaśpiewanie. Miała dobre serce i krewną swą, jak

dowiedziałem się o tem później, od dzieciństwa znała i lubiła. Pragnęła więc wrażenie sprawione przez nią naprawić, a przytem wieczór jakąś nowością urozmaicić.

— Sliczny ma głos i bardzo ładnie śpiewa — szepnęła do mnie i paru innych osób.

Dzika, usłyszawszy zwrócone do niej wezwanie, zwyczajem dzikich zmieszała się zrazu, chciała, jak się zdawało, odmówić, gdy nagle, wesoła widocznie myśl strzeliła jej do głowy, bo na mgnienie oka cała twarz jej stanęła w uśmiechu, który błysnął w oczach, przemknął nietylko po ustach, ale po wszystkich rysach i bardzo szybko zniknął. Wstała i przeszła przez salon w fałdach czarnej sukni, z węzłem warkocza nad głową, więcej jeszcze niż przedtem podobna do portretu młodej damy z innej epoki. Pomysł Idalki okazał się świetnym, nowość obudziła zaciekawienie żywe, wszyscy z pełną skupienia powagą obrócili się ku fortepianowi, po salonie rozległo się najprzód parę akordów, potem pasaż wprawną ręką wykonany i jak grad pereł czysty, potem jeszcze kilka akordów coraz smętniejszych, wolniejących, cichszych... Preludjum obiecywało wiele, do uważnego słuchania usposabiało, aż stopiło się w całość z pięknym, rozległym, głębokim głosem, który na nutę niezmiernie przewlekłą i monotonna śpiewać zaczął następujące słowa:

Du-u-u, du-u-u,  
Kozioł brodaty,

Du-u-u, du-u-u,  
Sprzedał drzwi chaty,

Du-u-u, du-u-u,  
Kupił koskę.

Du-u-u, du-u-u,  
Na co koska?

Du-u-u, du-u-u,  
Sianko kosić,

Du-u-u, du-u-u,  
Na co sianko?

Du-u-u, du-u-u,  
Krówki karmić.

Du-u-u, du-u-u,  
Na co krówki?

Du-u-u, du-u-u,  
Mleczko doić.

Du-u-u, du-u-u,  
Na co mleczko?

Du-u-u, du-u-u,  
Pastuszki poić...

I tak dalej, i tak dalej, łańcuchem, który przedłużał się, zda się, w nieskończoność, wciąż do poprzedzających dodając ogniwo nowe i najniespodziewańsze, jako to: górę, złote ziarna, koguta, morze, trzcinę, panienki i t. p. Mój kochany, były tam nawet i — świneczki!

Z jakimi uczuciami i minami słuchaliśmy tego śpiewu, co działo się z Idalką, jakimi były własne wrażenia moje, tego żaden język opowiedzieć nie jest w możności. Potem już,

mówiła mi Idalka, że doświadczała takiego uczucia, jakby sufit walił się na nią; innych ogarniał gniew, śmiech, albo to specjalne uczucie, którego doświadczamy stając się niespodziewanie świadkami — skandalu. Słuchaliśmy przecież, bo cóż? Kobiety, i do tego herytjery, niepodobna było wziąć za rękę i od fortepianu odprowadzić; przytem, cóż ona winna temu? Każdy śpiewa jak umie i wina tu tylko Idalki, która musiała mieć o jej śpiewaniu wiadomość bardzo pośrednią i fałszywą. Zresztą, na domiar kłopotu naszego czuć było w tem śpiewaniu głos i piękny i umiejętny, chyba więc repertuar był taki pożałowania godzien. No, ale wszystko kończy się na świecie i ten łańcuch niesłychanej długości skończył się także. Znowu kilka akordów dość skomplikowanych, kilka przeczystych pasży, kilka nut *de crescendo*, aż do najsubtelniejszej wycieniowanego *pianissimo* spływających i panna Zdrojowska, w rześmym świetle dwóch umieszczonych na pulpicie kandelabrow, z krzesła powstała.

Powstała ruchem żywym i swobodnym, obróciła ku obecnym twarz rozblęsną nie jednym już, ale mnóstwem uśmiezków i w kształcie komentarza rzekła:

— Jest to kołysanka ludowa z moich okolic. Kiedy byłam dzieckiem, kochana niania moja, Bohusia, usypiała mię nią — w puszczy!

Zadziwiająco to słowa wyrzekłszy, wykonała szybki, zgrabny, niziutki dyg i właściwym sobie krokiem, cichym i równym, do buduaru Idalki wybiegłszy, w głębi mieszkania zniknęła.

W puszczy! Wyraz ten w jej ustach był dla mnie promieniem światła. Więc umyślnie to zrobiła! Nam, nam, takie du-du zaśpiewać! Nam zaśpiewać o kozle brodatym! Ach, odważna, złośliwa dziewczyna, jakże ona z nas zadrwiła! Zemściła się za żarty, które rozumiała, za „puszczę”, którą pewno w ciągu wieczora dosłyszała nieraz. Było mi tak, jak gdybym kieliszek mocnego trunku wypił: w piersi i głowie uczulem gorąco, oczy, które osłupiałemi być musiały, wlepiłem w buduar, w którym ona zniknęła, i doświadczałem szalonej ochoty biedz za nią, zapytywać, przepraszać, patrzeć w jej szafirowe gwiazdy, takie przed chwilą rozweselone i figlarne. Nic a nic przecież z tego wszystkiego nie zrobiłem; nie wypadło. Po kwadransie też zapał mój ostygł i tylko z pewną niecierpliwością pomyślałem parę razy: „dlaczego ona nie wraca?” Nie wróciła już wcale do salonu, w którym, przez wzgląd na widoczną zmartwioną gospodynię domu, nikt o niej żadnej wzmianki nie robił. Przy wieczery, którą zimy owej podawano gorącą i obfitą, nudziłem się solennie, a potem, korzystając z chwili, w której przed rozejściem się goście i gospodyni mówili sobie z największem ożywieniem najmilsze rzeczy, wszedłem do buduaru i przez wąziutką szczelinę drzwi niezupełnie zamkniętych zajrzałem do pokoiku, będącego miejscem hodowania się i wzrastania nowego filaru, którym Idalka społeczeństwo obdarzyła. Czyniąc to, nie dopuszczałem się nadużycia żadnego; byłem blizkim krewnym Idalki, jej przyjacielem z lat dziecinnych i w domu jej posiadałem wszystkie godziwe swobody. W pokoiku, do którego zajrzałem, przy świetle lampy zasłoną przyćmionej, filarek w łóżeczku, jak różowe cacko wyglądającym, spał, a pod ścianą, na kanapce, panna Zdrojowska oddawała się poufalej rozmowie — z jego boną. Była to młoda Szwajcarka, ani ładna, ani mądra, wogóle jakiegoś sobie mizerne *rien du tout*. Nikomu też nigdy nie przyszło na myśl rozmawiać z nią lub okazywać jej względy wyższe nad ukłon, zdaleka oddany i o ile podobna najmniej wyraźny. Ta dzika, obok niej siedząc, z przychylną uwagą słuchała jakiegoś jej przyciszonego opowiadania. Opuściła więc towarzystwo nasze dlatego, aby słuchać zwierzeń tej córy szwajcarskiego oberżysty. Bardzo słusznie. Są osoby, dla których, pomimo trafu rządzącego urodzeniem i majątkiem, garderoba daleko stosowniejszą bywa niż salon. Dziwna tylko rzecz, dlaczego dogadzając wrodzonym upodobaniom swoim, panna Zdrojowska wydawała się smutną. Ani śladu tego rozweselenia, z którym po odśpiewaniu swego du-du, wybiegła była z salonu. Ręce trzymała nieruchomo na sukni splecione, a twarz jej, w przyćmionem świetle lampy, pomimo uprzejmego uśmiechu, z jakim słuchała swojej mizernej towarzyszy i przemawiała do niej, okrywał wyraz zamyślenia i smutku. Cichutko od drzwi odszedłem. Że też Idalka miała odwagę i ochotę pokazywać światu tę osobliwość! Niechby ją była lepiej na cały wieczór pozostawiła ze swoim filarkiem i jego boną! Ze schodów mieszkania schodziliśmy dość gromadnie, głośno i wesoło rozmawiając. W bramie domu przez głowę przemknęło mi pytanie: czego ona taka smutna? Józio i Widzki zaproponowali pójść na koniak i czarną kawę. Naturalnie, *jours fix'y* nie ciągną się nigdy do późna. Było niewiele po północy,

pora do spania zupełnie jeszcze niemożliwa. W gabinecie restauracyjnym znajdował się fortepian. Przy koniaku i czarnej kawie gwarzyliśmy w najlepsze, gdy Staś zasiadł przed fortepianem i spróbował kilku akordów, zaśpiewał:

Du-u-u, du-u-u,  
Kozioł brodaty,

Du-u-u, du-u-u,  
Sprzedał drzwi chaty,

Du-u-u, du-u-u...

Dalej słów nie pamiętał. Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

— Nieoceniona! — zrywając się od fortepianu, zawołał Staś — jak ona ukloniła się przed Bronkiem, jak na niego patrzyła... ona, na honor, wyobraża sobie, że to arcykapłan!

— Nas wszystkich potrochu za pomazańców wzięła! Kulą w płot... — zaśmiał się Józio.

— A toaleta? a?

— A depozyt?...

— I zadanie życia...

— Otóż to, gdzie gnieźdzą się krocie!

— I wdzięki!

— Z wdzięków nie żartuj. Wcale nieszpeta. Jaka ona była milutka, kiedy odśpiewawszy swoje du-du, dławiąc się od śmiechu, robiła nam ten dyg taki niziutki...

— Było to zupełnie tak, jak gdyby powiedziała: jesteście kpy i bywajcie zdrowi!

— *Voilà une baba, comme il n'y a pas d'autre!*

— Jak to jednak majątek czyni zuchwałymi nawet — dzikich!

— Warto byłoby zająć się jej ucywilizowaniem...

— Choćby dla heritazu...

— Nie; dla pięknych oczu i zgrabnej figurki.

— Żeby się to przyzwoicie ubrało, mogłoby być wcale czemś!

— Wiecie co, spróbujmy wielkiego dzieła wzbogacenia cywilizacji o jedną więcej jednostkę...

— Weźmy to sobie za zadanie życia...

— Bez którego nikt wogóle szczęśliwym być nie może...

— Ale jakimi sposobami?

Zacząli wymyślać sposoby, którymiby mogli ucywilizować córę puszczy, jak stale pannę Zdrojowską nazywał Staś. Proponowano obwiezienie jej po miejscowych magazynach mód, zaprowadzenie na kilka bibek, wprowadzenie do kilku salonów, zachęcenie do czytania książek pewnego rzędu, na koniec, zawrót jej głowy — miłością, naturalnie, jak tylko być może najwięcej idylliczną i prababkową...

Z początku trochę się mieszałem do rozmowy, potem umilkłem i zacząłem uczuwać złość na tych chłopców, którzy wyśmiewali moją krewną. Mnie samemu wydawała się ona bardzo śmieszna, źle wychowaną, wcale nie wychowaną, dziką; ale była moją krewną i nie powinienem był pozwalać na to, aby w moich oczach obchodzono się z nią w ten sposób. Złość mię brała coraz większa; wściekle kręciłem w palcach gałki z okruch chleba na stole rozrzuconych, aż na koniec wyprostowałem się i bardzo zimno, zupełnie na sposób angielski rzekłem:

— Muszę oznajmić wam, moi drodzy, że panna Zdrojowska jest moją krewną, że dotknęły ją nieszczęścia rodzinne, które budzą całe moje współczucie, że... *enfin...* *pour cent raisons et autres* zabraniam wam wszelkich z niej żartów i wogóle wszystkiego, coby jej na jakikolwiek sposób ubliżyć mogło, a ktokolwiek z was, pomimo tego ostrzeżenia, na coś podobnego sobie pozwoli, będzie miał ze mną do czynienia. *Ainsi soit-il*. Dobranoc.

To rzekłszy i tak obowiązkowo familijnego dopełniwszy, wziąłem klak i gabinet restauracyjny opuściłem.



## II

Nazajutrz, przez dzień cały, życie wydawało mi się ciężkim krzyżem i z kolei łachmanem, wszelkiej wartości pozbawionym. Zdarzało mi się to nieraz już i przedtem... Powiadasz, kochany synowcze, że zdarza się i tobie... Zdarza się nam wszystkim, których świat, powierzchownie sądzący, za szczęśliwych poczytuje. Bo widzisz, wesołość i przyjemne przepędzanie czasu, to rzecz jedna, a szczęście zupełnie druga. Ja i towarzysze moi byliśmy weseli i nierzadko przepędzaliśmy czas bardzo przyjemnie, ale gdyby ktokolwiek powiedział nam, że jesteśmy szczęśliwi, zaprzeczylibyśmy temu najszczerzej i najenergiczniej, poczem długo i głęboko rozmyślalibyśmy, lub rozprawiali o zagadnieniu: czym jest szczęście? Szukalibyśmy jego określeń w książkach poetów i filozofów, aż ostatecznie przyszlibyśmy do przekonania, że albo szczęścia nie ma wcale na świecie, albo jest ono bańką mydlaną, która przez parę sekund udaje tęczę. Tak dalece nie mieliśmy w sobie uczucia szczęścia. Wyrażam się w liczbie mnogiej, ponieważ było to cechą niejako gatunkową, właściwą nam wszystkim w mierze większej, albo mniejszej, z racją określoną mniej, albo więcej, często wcale nieokreśloną. Wprawdzie niektórzy z pomiędzy nas doświadczali pozytywnych nieprzyjemności z powodu stosunków rodzinnych, albo długów, albo sentymentów nietrafnie, czy niewygodnie ulokowanych. Inni upędzali się nadaremnie za wymarzoną, a nieznanym ideałem kobiety i miłości. Ale byli i tacy, którzy doświadczanego często niezadowolenia z życia żadnej z tych przyczyn przypisać nie mogli i ani sobie, ani komukolwiek nie potrafiliby powiedzieć napewno: czego właściwie chcą? Należałem do tych ostatnich. Żadna rujnująca pasja nie wytrącała mi z równowagi finansowej, żadna katastrofa nie zmiażdżyła serca, żaden *bacillus* tuberkuliczny albo inny w organizmie moim nie obrał sobie siedliska. Miałem znaczne dochody, które z niezmiernie małym współpracownictwem moim wydobywał mi z majątku uczciwy i biegły w zawodzie swoim rządca; zdrowie, oprócz podrażnionych nieco nerwów, dopisywało mi wybornie, życie, które wiodłem, było pełnem różnorodnych źródeł uciechy i używania, jednak bywały dni i tygodnie, w których oddawałem się milej robocie lepienia babek z piasku i zatykania niemi próżni, przez którą nalatywał mi do duszy wiatr melancholji. Materiałów do tej roboty używałem najrozmaitszych. Były to rozszerzane i do niepodobieństwa prawie pomnażane stosunki towarzyskie, blizkie i na wzajemności usług oparte stosunki z najświetniejszymi przedstawicielkami choreografii i hypodromji... stosunki z przedstawicielkami najpiękniejszego wykwit cywilizacji salonowej, najróżniejszego rodzaju sporty, żarliwe uprawianie muzyki fortepianowej, zaczytywanie się w poematach, aż do wyuczania się ich na pamięć... nawet... cóż powiesz? branie różnych lekcji, jako to: gimnastyki, fechtunku, gry na instrumentach najniepopularniejszych, języków najmniej rozpowszechnionych... w owej to właśnie porze nauczyłem się był piąte przez dziesiąte po hiszpańsku i zamierzałem przystąpić do uczenia się po turecku, marząc o podróży na wschód, jako o jednej z nieulepionych jeszcze nigdy babek z piasku. I nie mogę nawet powiedzieć, aby te próby nie były uwieńczone bardzo pięknym często powodzeniem. Owszem, dzięki im spędzałem znowu przyjemnie i wesoło dni, tygodnie, nawet miesiące, i temu tylko zapobiedz nie mogłem na sposób żaden, aby babki z piasku nie rozsypywały się rychlej, lub później, zazwyczaj dość rychło. Poczem znowu w czar życia sączyły się krople rozczarowania... aż do popadnięcia pod rękę nowej garści lepkiego piasku, albo nowej słomki z rozmydloną wodą. Skutkiem najbliższym usposobienia takiego było to, że okoliczność wszelka, natury choćby w najmniejszym stopniu nieprzyjemnej lub niedogodnej, stawała się tem trąceniem lekkim samo przez się, które niemniej wtrąca w przepaść rozpacz. Bo i naturalnie. Łatwo jest ludziom, którym życie włożyło w duszę cudowny kwiat szczęścia, znosić drobne, złe humory tego życia dobrodzieja; ale kto takiego kwiatu nie posiada, temu przysługuje prawo żądania, aby przynajmniej nie kaleczyły go żadne ciernie. Jeżeli całem dobrem mojem jest łożo z fiołków, niechże mi przynajmniej nie kładą w nie żadnej pokrzywy!

To jedno, a potem — nieustanne przebywanie na parniasie szczególnie wstrętnymi czyni wszelkie padoly.

Kto ustawicznie i wyłącznie ma do czynienia z inteligencją, elegancją, dowcipem, muzyką, poezją i tym podobnymi ptakami rajskimi, temu sadzić na głowę wróbla, albo kłaść w rękę żabę, jest największą pod słońcem niesprawiedliwością. Nie trzeba było

odrazu umieszczać mię pośród rajszych ptaków, albo trzeba mi już dać pokój z wróblami i żabami. Ale nie, życie jest takim, że gdybyś nie wiedzieć jak otrząsł skrzydła z jego nikczemnej gliny, zawsze ci jej kawałek spaść na nie musi. W świecie moralnym, zarówno jak w fizycznym, siła ciężenia jest w działaniu swoim nieprzewyciężoną. Kamień jak najwyżej podrzucony, musi upaść na ziemię; duch najwyżej wzbijający się w sferę poezji życia, musi upadać w jego prozę. Wielka proza życia, jako to: interesy majątkowe, rozmowy o nich z ludźmi innych niż moje horyzontów, rachunki, procesy, zetknięcia się z warstwami ludzkości mniej lub więcej gminnymi, budziły we mnie wstręt i nudę, które przewyciężałem z konieczności i z uczuciem słusznego buntu.

Jeżeli jeszcze te przykrości zaskakiwały mię w porze różowej, traktowałem je lekko i znośłem łatwo, ale jeżeli, w szarej przerabiał ją na zupełnie czarną.

Wtedy gnębiły mię cisnące się do myśli zapytania: po co żyję? Jakim będzie ciąg dalszy życia?

Takim był właśnie dzień, który nastąpił po pierwszym zapoznaniu się mojem z tą dziką. Zaraz już, po obudzeniu, rozgniewał mię mój lokaj, podając mi zamiast kawy, której żądałem, czekoladę; zaledwie zaś omyłka ta naprawioną została, zjawił się — kto? rządca majątku mego, z obszernym sprawozdaniem o jakiejś świeżo powstałej sprawie serwitutowej i z żądaniem, abym tą sprawą zajął się pilnie i bezzwłocznie, bo jeżeli ją zaniedbam, z pastwiskiem, rujnowanem przez chłopów, będzie źle! Do diabła chłopie, serwituty, pastwiska! Powiedziałbym też: i rządca! ale szanowałem tego człowieka za sumienne pełnienie swego zawodu i swoich obowiązków.

W każdym człowieku wysoko poważalem sumienne pełnienie obowiązków, a w tym wyżej jeszcze poważać je musiałem, ponieważ dla mnie samego było korzystnem. Tylko, że nudził on mię okropnie. Ale nie byłem znowu niedołągą i w razie potrzeby bardzo dobrze umiałem przewyciężyć i nudę i lenistwo; że zaś tym razem zachodziła potrzeba, którą także dobrze rozumiałem, więc, razem ze swoim dobroczyńcą i katem, pół dnia strawiłem na rozpatrywaniu mapy majątku, na rozczytywaniu się w aktach urzędowych i na rozmowie z adwokatem, od którego wróciłem żółty od melancholji. Przy śniadaniu, które jadłem sam jeden, w mojej, ładnej salce jadalnej z dębowymi sprzętami i tuzinem zdobiących ściany talerzy z rzadkich fajansów, zgryźliwie myślałem, że stanowczo lokaja Wincentego odprawić muszę, bo nie dość cicho drzwi za sobą zamyka. Od trzech lat jest już u mnie, przez cały ten czas uczę go ciągle, uczę, uczę cichego zamykania drzwi i nauczyć nie mogę. Czasem już zamknie je dobrze, a czasem, traf! jak palnie, cała bateria elektryczna w nerwy mi uderza i podskakuję na krześle. W porach dobrych nie zwracam na to uwagi, albo nawet i śmieję się z tego, ale w złych sprawia mi to prawdziwe udręczenie. Przytem, ma on, gdy mówi, jakiś grymas w ustach zupełnie nieładny i którego widok sprawia mi przykrość wprost dlatego, że jest nieładnym. Już kilka razy chciałem był go odprawić za te drzwi i za ten grymas, bo nic innego do zarzucenia mu nie miałem, ale biedak to był, liczną rodziną obarczony, niezbyt młody, zdejmował mię żal nad nim i nie odprawiałem. Wtedy jednak, przy tem śniadaniu, gdy parę razy drzwi nie dość cicho zamknął, pomyślałem, że stanowczo odprawię. Może mu dam w kształcie zapomogi całoroczną pensję, może mu syna u jakiego rzemieślnika ulokuję, ale odprawię i nowoprzyjmovanego dobrze wyegzaminuję, czy drzwi cicho zamyka i czy w powierzchowności nie ma czegoś przykrego dla oka. Co robić po śniadaniu? Nad zagadnieniem tem rozmyślałem czas jakiś, przechadzając się po saloniku i ważąc w głowie różne pomysły, które z niesmakiem odrzucałem. Ani iść dokądkolwiek, ani grać, ani poezji, ani filozofji, ani gazet. Wszystko nudne i do niczego ochoty nie ma. Stan ten przejdzie niezawodnie dziś, jutro, za parę godzin, za parę tygodni, ale dopóki trwa jest niewysłowienie ciężkim. Jedynym przeciw niemu sposobem jest zabić czas jego trwania haszyszem, mającym najszlachetniejszą pod słońcem postać — książki.

Jest bowiem na świecie książka-chleb, książka-skrzydło, książka-wino, książka-haszysz... Wziąłem z biblioteczki powieść Pawła Fevala — niestety, mój drogi, jestem z tych, za których młodości bardzo czytano Pawła Fevala — i leżąc na otomanie, paląc cygaro, czytając jakieś *Belles des jours'y*, czy *Belles des nuits'y*, szczęśliwie zabiłem godzin parę, gdy nadeszło kilku przyjaciół. Nie osobliwie rad im byłem w tej chwili, bo rozmawiać leniłem się tak samo jak iść dokądkolwiek, grać, albo czytać coś innego jak *Belles des jours'y*. Zaczęliśmy jednak gawędzić i wkrótce odkryłem, że Józio i Leon znajdowali się w humorze

bardzo podobnym do mojego. Jak mnie sprawa serwitutowa, tak im inne okoliczności jakieś życie zatruły. Szczególniej Józio był bardzo kwaśny i bardzo prędko sprowadził rozmowę na fałszywe podstawy i złe uregulowanie stosunków rodzinnych. Wiedziałem dobrze co to znaczy i z kąd pochodzi. Papa — mecenas za zbyt wielkie wydatki wygderał. Leona znowu napadały od czasu do czasu parokszmy erotycznych marzeń i tęsknot, które mu wszystkie na ziemi kobiety, wobec wymarzonego ideału, na murzynki przerabiała. Malował je wtedy tak na czarno, że nie pozostawała im nawet białosc zębów, którą błyszczą murzynki. Powiedziałem mu to śmiejąc się; odpowiedział, że istotnie u chłopka tylko znaleźć można zęby białe i — własne, w naszej zaś sferze kobiety mają sztuczne zęby, włosy i — duszę. Zawiązała się pomiędzy nami najprzód o rodzinie, potem o kobietach, potem w ogólności o ludziach i życiu rozmowa dość ożywiona i napełniona nutami zupełnie minorowymi. Mielśmy wiele rzeczy do zarzucenia pierwszej i drugim, cytowaliśmy przykłady z życia ujemnie o nich świadczące i nieprzychylnie im zdania wielu autorów.

Józio dość długo mówił o dziełach Lubock'a i Wallace'a, opisujących pochodzenie i historyczne ewolucje ustaw rodzinnych, a przede wszystkim praw ojcowskich; Leon przytoczył parę zgryźliwych aforyzmów Szoppenhauera o kobietach i kilka ustępów z molierowskiej komedji *L'école des femmes*, czy coś podobnego. Byliśmy wogóle zgryźliwi i krytykowaliśmy wszystko, cokolwiek na myśl nam przychodziło. Dym naszych cygar był mniej gryzącym od tego pieprzyku, niewiadomego dla nas samych pochodzenia, którym tajemne pokłady dusz naszych zaprawione były.

Rozmowa ożywiała się i z kolei ustawała; wtedy siedzieliśmy zasępieni na fotelach najczystszej stylu Ludwika XV i chmurnymi oczyma wodziliśmy po ścianach ozdobionych akwarelami i rysunkami zupełnie godnymi widzenia, ale których widok wcale nas nie pocieszał.

Po jednej z takich pauz Józio wyraził życzenie założenia wielkiego dziennika politycznego.

— Obudziłoby to we mnie interes do życia, przywróciłoby mu urok — rzekł.

Wiedziałem dawno, że ten dziennik był konikiem, na którego wsiadał, ilekroć życie wydawało mu się żółciem.

Uczuwał w sobie zdolności publicystyczne, posiadał je rzeczywiście i nawet, *par çì, par là*, pisywał do gazet.

Gdyby miał swoją gazetę, pisałby systematycznie i z zapalem. Projektowi temu nic właściwie na przeszkodzie nie stawało, bo papa mecenas, człek niezmiernie ceniący pracę, literaturę, dobro społeczne i t. d., nietylko nie odmawiał funduszków na to potrzebnych, ale rad byłby, kosztem choćby największym, wkupić syna do pracy, literatury, zasługi publicznej i t. d. Ale Józio był jak fajerwerk: zapalał się i gasł. Dziś zakładał swój dziennik, jutro go już nie zakładał, bo interes i urok życia znalazł gdzieindziej. Lękał się przytem, jak sam powiadał, niewoli. Wiedział, że taka robota, to wóz, który codzień ciągnąć trzeba, a cóż będzie, jeżeli którego dnia zabraknie ochoty do ciągnięcia? Wówczas niewola, albo znaczne straty materialne i moralne.

Ja go przytem chwiałem w postanowieniu, dowodząc, że nie politycznego dziennika nam potrzeba, ale takiego, któryby, zajmując się wyłącznie literaturą i sztukami pięknymi, kształcił smak estetyczny publiczności naszej, w stanie prawie barbarzyńskim pożątej. Do stworzenia i prowadzenia takiego dziennika sam należałbym chętnie, bo najprzód, o pierwszorzędnej potrzebie jego byłem szczerze przekonany, a potem, ilekroć rozmawialiśmy o tym przedmiocie, oczami duszy widziałem szufladę biórka, w której spoczywał pewien przed rokiem przeszło rozpoczęty przekład bajronowskiego *Kaina*. W takim dzienniku, o jakim mówiłem, wydrukowałbym ten swój przekład i byłoby mi to najpewniej bodźcem do dalszej pracy w tym kierunku.

Leon znowu był innego zdania. Utrzymywał on, że pieniądze wydawane na zakładanie dzienników, są pieniędzmi wyrzuconymi przez okno, bo tych szpargałów drukowanych jest już liczba zbyt duża, a czego naprawdę nie ma — to świątyni sztuki. Wstydem powinno być dla społeczeństwa, że jego dzieła sztuki wałęsać się muszą po wynajmowanych domach, nie posiadając przybytku własnego i odpowiednio urządzonego. Leon marzył kolosalnie, pragnąc w jednym gmachu umieścić malarstwo, rzeźbę, muzykę, dramaty i teorie estetyczne. Takie sale dla obrazów i rzeźb, takie dla koncertów, takie dla teatrów amatorskich, takie jeszcze dla odczytów, wyłącznie estetyce poświęconych.

Gdyby naprawdę zabierano się do wznoszenia takiego gmachu, on nietylko pieniąd-  
mi, ale osobistą pracą przyczyniałby się do tego dzieła, odżyłby, odrodził się, odmłodził.

Mówiąc o tem, zerwał się z fotela i od zapalu szybko chodzić zaczął po saloniku.

Szkoda, że nie było pomiędzy nami Stasia, który znowu nosił się od dość dawna z ma-  
rzeniem o takim gmachu, w którym, ze wszelkimi wymysłami, zmieściłby się mogły sale  
gymnastyczne, fechtunkowe i maneż dla konnej jazdy. Ale i we trzech sprzeczailiśmy się  
dobrą godzinę o to, co najpotrzebniejsze i najpilniejsze, a potem spokojniej już rozbiera-  
liśmy kwestję wielkich kosztów i ogromnych trudów, do wszystkich trzech przedsięwzięć  
przywiązanych.

Koszta jak koszta, byliśmy pewni, że poniesienie ich sprawiłoby nam rozkosz, jakkol-  
wiek dla mnie i dla Leona względną, bo nie mając tak jak Józio papy bardzo bogatego  
i który nie przestawał jeszcze stawać się coraz bogatszym, posiadaliśmy akurat tyle docho-  
dów, ile ich skromne potrzeby nasze wymagały, a wszelka z nich ujma na cel nieosobisty,  
byłaby dla nas ofiarą ciężką. Ale ta ofiara była rzeczą podrzędną wobec konieczności za-  
przęgnięcia się do wozu. Ta to właściwie konieczność paraliżowała nasze najlepsze chęci  
i myśl o niej była chińskim murem, wznoszącym się pomiędzy nami a początkiem wy-  
konania naszych pragnień i zamiarów.

Że też to człowiek zawsze, w najszlachetniejszych nawet dążeniach swoich, musi ude-  
rzać się głową o ścianę! Może ta ściana wznosić się na zewnątrz niego, lub w nim samym,  
wszystko jedno: jest zawsze czemś, co przeszkadza i boli. Mogę sobie gorzko wyrzucać, że  
jestem takim, nie innym; nie zaradzi to temu, że jestem takim, a tylko doleje mi do duszy  
jedną więcej kroplę goryczy. Po cóż więc w człowieku te sprzeczności potrzeb i chęci,  
a raczej ta ich wszechstronność, która wszechstronnego zadowolenia żadną miarą osią-  
gnąć nie może? Pragnę tego i tamtego; jeżeli zachowam to, tamtego nie otrzymam; jeżeli  
tamto posiędę, to utracę. Są ludzie — Staś na przykład, ten najszczerzej z nas wszystkich  
wesoły Staś, którzy nie mają w sobie takich dysonansów, wszystko biorą ze strony dobrej,  
żyją poprostu z dnia na dzień i ani myślą, że za granicami ich przyjemnego, letniego życia,  
jest życie inne, górne i gorące. Oni nie doświadczają tego braku uczucia szczęścia, które  
niby jest niczem, bo tylko próżnią w jednej stronie duszy położoną, lecz przez którą od  
czasu do czasu wylewa się z duszy cała jej radość. Ale są to natury uboższe, mniejszemi  
zdolnościami serca i głowy obdarzone i takie tylko osiągają spokój i harmonję. Znowu  
więc dysonans. Dlatego, że natura stworzyła cię wyższym duchowo, musisz więcej cier-  
pieć. Dlatego, że nie jesteś grubą gliną, ale subtelną porcelaną, mieści się w tobie alembik  
do warzenia trucizn!

W takich mniej więcej myślach pogrążony, zapomniałem o gościach, którzy również  
zatopieni w dumaniu milczeli, i o cygarze, które zagasło, gdy Józio, powstając i biorąc  
kapelusz, przemówił:

— Dobrze powiedział ów rzemieślnik niemiecki, który całe Niemcy wszecz i wzdłuż  
obszedłszy, powiedział: że Pan Bóg przez sześć dni świat stworzył, to wiadomo, ale widać  
też, że stworzył go naprędce...

— Żeby też choć drogi, któremi człowiek chadzać ma, wyraźniej były narysowanemi!  
— zauważyłem, a Leon dodał:

— Miałbym też do zarzucenia, że zamiast Ewy niepowstała z kości adamowej Mar-  
guérita Gautier... jedyna kobieta w świecie i literaturze, która kochać umiała.

To rzekłszy, zamyślił się znowu, stojąc z kapeluszami w rękę, bo i ja po swój  
machinalnie sięgnąłem.

Nakoniec Józio, z odpowiednim ruchem ręki, rzekł:

— Marne życie!

— Podle życie! — poprawił Leon, a mógłbym zaręczyć, że myślał o milej Mimi  
z choreografji, która przed rokiem dla jednego z naszych nababów puściła go w trąbę,  
i o ślicznej pannie Kierwiczównie, w której już, już kochać się zaczynał, gdy zauważył, że  
ma ona, względnie do szerokości dłoni, nieproporcjonalnie długie palce i to go do niej  
zupełnie rozczarowało.

Jam życiu nie zbłuźnił dlatego tylko, że rozśmieszyły mię ich bluźnierstwa. Więc po-  
stępując ku drzwiom i głosem takim, jakim heroldowie rzymscy wołać musieli: „Kajus  
Flawjusz umar! Kwiryci, idźcie na pogrzeb Kajusa Flawjusza!” — zawołałem:

— Chodźmy na obiad! przyjaciele! trzeba jednak jadać obiady!

Salę restauracyjną mieliśmy już i podówczas bardzo przyzwoicie urządzonej. Jej rześiste oświetlenie, gwar, atmosfera i gorąco prawie piekielne, znacznie nas ożywiły i podnieciły. Siedzieliśmy we trzech przy stoliku, jak w rozpalonym piecu, wdychaliśmy żar połączony z wyziewami gazu, spirytualji, mięsów, sosów i — robiło się nam coraz lepiej.

Było to podniecenie nerwów, nic więcej, ale po doświadczanej przez dzień cały ich depresji, bardzo przyjemne. W dodatku, jakby ku podniesieniu naszego ducha przez samą Opatrzność zesłana, przy pobliskim stoliku zasiadła jakaś rodzina mamutowców, złożona z mamy, papy i dwóch dorosłych córeczek. Dość było raz na nich spojrzeć, aby odgadnąć, że siedlisko ich znajduje się pod stopniem geograficznym od naszego znacznie oddalonym. Te panie miały na głowach kapelusze świeżuteńko w jednym z tutejszych magazynów kupione, ale do twarzy i koafiur dobrane jak najniezwyklej, rozmawiały głośno, rozglądały się po sali i w podziwie nad jej świetnością o jedzeniu zapominały. Papa zapytał raz kelnera czy nie można jakiego lufcika otworzyć, bo taki upał, że aż poty na człowieka wybijają, a drugi raz, trochę nieśmiało, poprosił o wytłómaczenie, co to za takie jedzenie: *vol au vent*? Mieliśmy spektakl i nicowaliśmy sobie pocichu miny, ubiory, zapytania, wykrzykniki mamutowców, gdy Józio, nachylając się do mnie, z przestraszonym wyrazem twarzy szepnął:

— Noże polykają! *Comme j'aime papa!* Noże bez śladu polykają, a widelcami gardzą całkowicie!

Spojrzałem ku nim właśnie w chwili, gdy papa wielki kawał sztuki mięsa, razem z połową noża do ust pakował. Jednocześnie mama i córeczki sos i jarzyny również nożami palantowały. Parsknęliśmy śmiechem, naturalnie pocichu, ale Józio zaraz spoważniał.

— Już nie będę... bo rozgniewasz się znowu...

— Ja? za co?

— A wczoraj?

— To prawda, potwierdził Leon, dałeś nam wczoraj dobrą odprawę...

— Ale bo to rzeczywiście co innego — serjo ciągnął Józio; byliśmy wczoraj rzeczywiście niesprawiedliwi.

— Panna Zdrojowska jest może trochę... oryginalną, ale ma w sobie dużo wdzięku...

— I dźwięku... — wtrącił Leon.

— Mniejsza o dźwięk, ale ze wszech miar nie powinniśmy się byli o niej tak wyrażać i Zdzisław miał rację.

Zdzisław Granowski milczał, bo stała się z nim rzecz szczególna. Od wczorajszego zaśnięcia, przed którym trochę o niej myślałem, panna Zdrojowska ani razu na pamięć mi nie przysła przez dzień cały, zapomniałem był o niej tak zupełnie, jak gdybym nigdy nie wiedział o jej istnieniu. Przypisać to można kłopotom i przykrościom dnia tego. Przytem, kiedy się codzień widuje i poznaje mnóstwo osób... Za to przy pierwszym wymówieniu przez Józia jej nazwiska, przypomniałem ją sobie caluteńką, ale tak caluteńką, że ze wszystkimi szczegółami, od antydiluwjalnej sukni i staroświeckiej broszy mozaikowej, do ust koralowych i oczu szafirowych, uważnie i poważnie we mnie utkwionych. Zobaczyłem ją jak żywą i ucieszyłem się jak dziecko. Zdawać się mogło, że tego tylko brakowało mi do szczęścia, abym ją znał i aby ona znajdowała się w pobliżu. Pomimo wesołego żartowania z mamutowców, czułem się był ciągle zamarzłym. Teraz roztajałem, uczułem nieokreśloną nadzieję i taką ciekawość, jak gdyby kto w myśli po wielekroć pisał mi zapytania:

Kto ona? jaka ona? co to będzie? co z tego będzie?

Może nie uwierysz temu, mój kochany, ale dalibóg nie kłamię, że nawet serce kilka razy silniej mi uderzyło, przy prawie zupełnie bezświadomym myśleniu: coś nowego, coś nowego!

Tymczasem Józio opowiadał, że Staś w południowych godzinach zanosił mojej kuzynce Idalji jakąś przyrzeczoną książkę, czy coś takiego, ale panny Zdrojowskiej nie widział, bo wyszła z domu za interesami.

— Jaki z domu? więc mieszka u Idalki?

— A tak. Zamieszkała była zrazu w hotelu, ale pani Idalja przemocą prawie wzięła ją do siebie, bo pomimo wszystko, bardzo ją lubi...

— Pomimo co? — zapytałem.

— Tak... widzisz... — z zakłopotaniem jąkał Józio, ale nie wytrzymał i zaśmiał się.

— Mój kochany, przepraszam cię, ale chociażby pomimo du-du!

Humor mój stał się tak dobrym, że nietylko nie rozgniewałem się, ale sam zaśmiałem się na to wspomnienie. Bardzo dobre wrażenie sprawiła na mnie wiadomość, że panna Zdrojowska mieszka u Idalki, bardzo dobre...

Ta Idalka jest wogóle kobietą sympatyczną. Pójdę jutro do niej najpewniej.

Przy końcu obiadu byłem tak rozweselony, że rozchmurzyłem do reszty swoich towarzyszy, którzy też zrobili zaraz projekt, aby razem pójść gdziekolwiek, do teatru, resursy, albo do Stefana na partję pikiety. Na to nie przystałem. Nie chciało mi się jakoś tego wszystkiego i wołałem spędzić wieczór w domu.

Poszli więc w swoją stronę, a ja poszedłem w swoją, ale usposobienie moje uległo wkrótce nowej zmianie. Jedną z plag, które dręczyły mię w owej porze, była niezmierną zmienność usposobień. Byle co sprawiło mi uciechę lub zmartwienie, psuło albo poprawiało humor. Często nawet nie mógłbym wcale określić co właściwie przewróciło mi duszę na złą lub na dobrą stronę; jakieś nic, może gra światła w przestrzeni, może o pół stopnia Réaumura opadająca lub podnosząca się temperatura. Uwaga tego nie pochwyciła, ale odbiły w sobie zmysły do najwyższej wrażliwości doprowadzone i refleksem przesłały duszy, która przy najlżejszym dotknięciu gotowa była koziołka przewrócić.

Jakkolwiekby wróciłem do domu już nie wesoły, ani też w złym humorze, ale pod wpływem nieokreślonej tęsknoty. Wołałem o wiele to, niż uprzednie odrętwienie, bo przynajmniej żyłem i czegoś pragnąłem, choć nie umiałbym powiedzieć ani sobie, ani komu, czego. Nic to nie znaczy, że człowiek nie wie napewno z czem tęskni, jednak tęskni i noszenie tej tęsknoty wzdłuż i szerz pokoju, a także zastanawianie się nad możliwymi jej przyczynami, jest sposobem przepędzania czasu nie gorszym od wielu innych, a niekiedy doprowadzającym do następstw zupełnie poważnych. Tego wieczoru naprzykład, po długiej przechadzce wzdłuż i w szerz saloniku, uczulem nieprzewyciężoną ochotę przelania na papier nieokreślonej swojej tęsknoty i napisałem do siostry list długi, który ona, jak wszystkie zresztą listy swego brata, będącego zarazem jej wychowawcą, pieszczochem i ideałem, wziąć musiała za arcydzieło fenomenalnie szlachetnego stylu i serca. Nie zadowolono to wszakże mojej werwy. Do trzeciej godziny po północy pracowałem jeszcze nad przekładem *Kaina*. Nazajutrz w południe byłem już u Idalki. Nie anonsowałem się tu nigdy, nie pytałem nawet czy pani w domu, bo gdy nie była w domu wchodziłem także i czekałem jej powrotu, jeżeli miałem do tego ochotę. Pokrewieński i zażyły stosunek od dzieciństwa. Nieanonsowany wszedłem do salonu, który był zupełnie pusty i natychmiast usłyszałem dochodzące tu głośne i aż zanoszące się śmiechy kobiece. Za buduarum tak jak i salon pustym i za zamkniętymi drzwiami do dalszych pokojów, rozlegały się te śmiechy, niewyraźnymi słowami przeplatane, serdeczne, nieustanne. Było ich tam trzy, tych śmiejących się: jedna Idalka, ale kto drugi i trzeci? I z czego one śmiały się tak szalenie?

Zaledwie miałem czas to pomyśleć, gdy drzwi od dalszych pokojów otworzyły się z gwałtownością nadzwyczajną i do buduaru wbiegła, raczej wpadła panna Zdrojowska, z głośnym i przerywanym od śmiechu wołaniem: „Nie chcę! nie chcę! Za nic! Nie zrobicie ze mnie czupiradła!”

Za nią Idalka, jedną ręką chwytając ją za suknię, a drugą wstrząsając w powietrzu grzebień i wołając: „Musisz! musisz!”, za Idalką bona z rozpostartą w rękach suknię w wilcze głowy, ze śmiechem i krzykiem: „*Essayez, Mademoiselle! Ce n'est que pour essayer! Vous allez voir conime c'est joli!*” Za boną filarek Idalki czteroletni, skaczący, zanoszący się od śmiechu i przeraźliwie wrzeszczący: „Ciupiradło! Ciupiradło! Ciocia Sewelka będzie ciupiradło!” Nagle spostrzegłszy mię stojącego z kapeluszem w ręku pośrodku salonu, najpocieszniej w świecie stłoczyły się z przerażenia we drzwiach, znieruchomiały i onie miały, tylko filarek wydał na mój widok pisk radości, przypadł do mnie z rozpostartymi ramionami i usiłując mną okręcić, w niebogłosy wrzeszczał:

— Ciocia Sewelka psiebrała mamę za siebie, a mama chce ciocię Sewelkę psiebrać za siebie, ale ciocia Sewelka nie pozwala i mówi, że będzie ciupiradło!

Spojrzenia moje i Idalki spotkały się i oboje parsknęliśmy śmiechem. Bo też i wyglądała!

Miała na sobie suknię, zapewne do panny Zdrojowskiej należącą, ciemną, z długim stanikiem, fałdami regularnymi i swobodnymi, do ziemi spadającą, nikielne białe koroneczki u rąk i szyi i włosy gładziuteńko uczesane, z warkoczem u wierzchu głowy zwiniętym.

Zdaje się nic, tylko zmiana ubioru, a z szykownej damy zrobiła się zmkła kurka. Przebrana za ciocię „Sewelkę”, Idalka wyglądała poprostu śmiesznie. Śmiejąc się też, podała mi rękę na powitanie i zaraz trzepać zaczęła.

— Widzisz, Zdzisiu, jakiej niesprawiedliwości ofiarą jestem! Klóciłyśmy się dziś cały ranek z Sewerką o sposób ubierania się, aż napała się ubrać mię po swojemu i gdy już to uczyniła, za nic zgodzić się nie chce, abym ja ją także po swojemu ubrała. Cośmy się nad nią z panną Klarą napracowały, namęczyły... Wysuwa się nam z rąk jak piskorz i jeszcze mówi, że nie da z siebie robić czupiradła! Bądź, Zdzisiu, sędzią naszym! Powiedz, czy my jesteśmy czupiradła? Czy ja jestem czupiradło? Czy kobieta, ubierająca się u Hersego, może być czupiradłem?

W czasie tego potoku słów panna Zdrojowska, przez krótką chwilę zmieszana, znowu śmiać się zaczęła, a ja, przedtem już powitawszy ją głębokim ukłonem, na tłumne zapytania Idalki, z zupełną powagą do niej się zwróciłem:

— Wezwany na sędziego, wyrazić muszę zdanie, że pani popełniła zbrodnię — obrazy majestatu.

— Jakiego majestatu? — zapytała patrząc mi prosto w twarz rozbłyśniami jeszcze do śmiechu oczyma.

— Mody — odpowiedziałem.

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Tego majestatu nie uznaję, najprzód dlatego, że co roku spada z tronu...

— *Le roi est mort, vive le roi!* — przerwałem.

— A potem dlatego, że ludzi ucywilizowanych przerabia na dzikich...

— A to coś zupełnie nowego!

— Jakim sposobem dopełnia tej metamorfozy?

— Takim, że kobieta modnie ubrana jest czasem jak kropla do kropli podobną do zuluski...

— Jezus, Marja! — syknąłem z przerażeniem.

— Ja cię dziś chyba wybiję, Sewerko — zawołała Idalka, wstrząsając białymi piąstkami.

— A ja, w charakterze sędziego, proszę o dowody!

— Zaraz!

Poskoczyła do buduaru. Miała w ruchach żywość młodego dziewczęcia, a ubiór, ten sam co wczoraj, może też i charakter twarzy czyniły ją zawsze podobną do portretu młodej damy z innej epoki.

W mgnieniu oka powróciła, niosąc jedną z wielkich, od pozłot błyszczących ksiązek, które buduar przyozdabiała. Złożyła ciężar ten na stole, przy którym staliśmy wszyscy troje (bona i filarek ze sceny świata usunęli się już w zacisze domowe) i pochyłona nad księgą, karty jej spiesznie przewracać zaczęła.

— Podróż po Afryce — mówiła — są tu pierwowzory... majestatu. Zaraz, zaraz! Oto są... zuluski! Widzisz, Idalko, jakie u nich włosy... z tyłu głowy wydęte, na wierzchu zjeżone... A ta? Czy to ubranie nie spowija jej nóg tak ciasno... ciasno?... Ale jest tu jeszcze jedna ilustracja, najpodobniejsza... zaraz znajdę...

I szukała, znajdowała, pokazywała, czyniąc porównania najzabawniejsze przez to, że istotnie były dość trafne i przez to także, że ona to właśnie, ta dzika, nas do dzikich porównywała. Bawiło to mnie ogromnie, a przytem ile razy spojrzałem na Idalkę, od śmiechu powstrzymać się nie mogłem. W nowej swojej postaci miała pozór jakiś złapany, zmkły, zupełnie nieszczęśliwy.

— Tobie jednak, Idalko — odezwałem się żartobliwie — radziłbym jak najprędzej stać się nanowo... zuluską.

— Dlaczego? — podnosząc z nad książki głowę zapytała panna Zdrojowska.

— Bo w tym samym stroju pani sprawia wrażenie artystyczne, a kuzynka moja zabawne...

— Dlaczego? — powtórzyła.

Zamyśliłem się nad przyczynami tej różnicy, których sam nie rozumiałem, a gdy podniosłem oczy, spotkały się one z oczami panny Zdrojowskiej, która spoważniała i już bez cienia uprzedniej wesołości patrzyła na mnie z taką uwagą, że o mało nie dotknąłem

głowy, aby przekonać się, czy rogi na niej nie wyrosły. Ona dowodzi, że nasze panie robią się czasem podobnymi do dzikich, ale jeżeli to uparte i przenikliwe wpatrywanie się w mało znanych ludzi, nie jest dzikiem, *que le diable m'emporte!* Nagle, z żywym poruszeniem wyciągnęła ku mnie rękę i prędko wymówiła:

— Może Idalka powie znowu, że popełniam niestosowność... ale doprawdy, muszę koniecznie panu podziękować...

Przyjąłem podaną mi rączkę, niebardzo białą, owszem śniadawą, ale długą i giętą, poczułem uścisk jej wyraźnie serdeczny i bez granic zdumiony, z głębokim ukłonem rzekłem:

— Los jest wielkim sprawcą niespodzianek... tę przyjmuję z wdzięcznością, jednak, chciałbym wiedzieć...

— Sewerko! jakże można! Któż okazuje, że wie o takich rzeczach! Boże! Boże! co ta dziewczyna wyrabia! — łamiąc ręce wołała Idalka.

— Moja Idalko, każdy ma prawo być szczerym... własnym kosztem — odparła panna Zdrojowska. Już wiem o tem, że tu za szczerść płacić trzeba, ale ty wiesz także, że się tego nie lękam.

— O Boże! wiem! wiem! — jęczała Idalka.

— Łaskawe panie — przemówiłem — nie mogę powiedzieć, że jestem na niemieckiem kazaniu, bo umiem po niemiecku. Raczcie panie oświecić mię, w jakim języku toczy się rozmowa...

Idalka trochę z gniewem, trochę ze śmiechem, opowiedziała, że wczoraj, ten szaleniak Staś, przyniósłszy jej jakąś książkę, której żądała, od *a* do *z* wypaplał przed nią całą naszą rozmowę w restauracji, a ona znowu, od *a* do *z* powtórzyła ją pannie Zdrojowskiej, w kształcie lekcji, dla pokazania: co to jest nie zachowywać się w świecie tak jak wszyscy.

— I wyobraź sobie, mój drogi, ona zamiast zmartwić się żartami, na które pozwolili sobie ci panowie, była bardzo ucieszona tem, że ty szlachetnie postąpiłeś. Teraz ci jeszcze za szlachetność podziękowała. Masz i graj dalej samodzielnie rolę bohatera, bo ja uciekam, aby się przebrać. W tem ubraniu co chwilę chcę uklonić się samej sobie i zapytać: „Z kim mam przyjemność?”...

Spojrzała jeszcze w zwierciadło i zniknęła za zamkniętymi drzwiami tych pokoiów, w których mieściło się zacisze domowe. Panna Zdrojowska stała z rękami splecionymi i oparłymi o stół, ze spuszczonej oczyma. Zbliżyłem się do niej.

— *L'appetit vient en mangeant* — rzekłem — obdarzony jedną niezashużoną łaską, śmiem prosić o drugą.

Podniosła na mnie wzrok pytający.

— Przecież jesteśmy krewnymi — mówiłem — nie wiem, doprawdy, czy blizkimi, lub dalekimi, ale zanim to na drzewie genealogicznym sprawdzonem zostanie, niechaj mi wolno będzie nazywać panią kuzynką i tenże tytuł z ust pani otrzymywać.

— Owszem, będzie mi to bardzo przyjemnem — uprzejmie odpowiedziała.

— Kuzynka bardzo ceni pokrewieństwa?

— Tak.

— Czy można wiedzieć: dlaczego?

— To bardzo proste. Dają one ludziom pretekst do życzliwego zbliżania się, a na świecie, każdy nawet pretekst do tego dobry.

Usiedliśmy na fotelach obok siebie stojących.

— Znajdujesz więc, kuzynko, że ludzie względem siebie na zbyt wielkich odległościach są umieszczeni?

— Najpewniej — odpowiedziała i oczy jej błysnęły. Znajduję, że większa doza wzajemnej życzliwości wszystkim na świecie wyszłaby na korzyść, ale są wypadki, w których ludzi łączyć powinna nie tylko życzliwość, ale najściślejsza jedność.

Ożywiła się ogromnie i mówiła z takim akcentem przekonania, że mnie ogarnęła ciekawość o czem właściwie mówi.

— Jakie to wypadki? — zapytałem.

Po twarzy jej przeniknął znowu ten wyraz zdziwienia, który głównie zwrócił zawczoraj na nią moją uwagę.

— Nie wiesz, kuzynie?



Uderzyłem się w czoło. Ach, tak! Ale któż na świecie może ciągle pamiętać o takich rzeczach! Pedantka! pomyślałem, a jednocześnie jakiś drugi człowiek pomyślał w mojej głowie: „Marna jednak figura ze mnie!”

— Obawiam się — rzekłem — że sąd twój, kuzynko, wypadnie dla nas ujemnie.

Zmieszała się trochę.

Przekonałem się z popełnionych omyłek, że zupełnie jeszcze nie umiem wydawać trafnych sądów.

Zawahałem się chwilę, a potem, pochylając się nieco i patrząc w szafirowe jej gwiazdy, zcicha wymówiłem:

— Naprzykład: Bronek Widzki...

Jak dość często u niej bywało, brwi jej zsunęły się nieco i utworzyły małą zmarszczkę na młodem czole. Wnet jednak uśmiechnęła się i bardzo swobodnie opowiadać zaczęła, z jakim niepokojem i z jakim podniesieniem ducha oczekiwała spotkania się z ludźmi, noszącymi mniej lub więcej głośnie nazwiska, jak wiele od tego spotkania obiecywała sobie korzyści moralnej i umysłowej, z jaką czcią o nich myślała. Wszystko to doprowadziło ją do tego, że jednego z tych ludzi zobaczywszy, zapomniała o wszystkich względach i zażądała być jeszcze przedstawioną.

— Idalka mówi, że popełniłam herezję towarzyską i sama wiem o tem, ale słuszności temu prawidłu towarzyskiemu nie przyznaję. Cóż z tego, że jestem kobietą? Nie czyni mnie to wyższą od człowieka nademnie wyższego, bez względu na to, czy jest on kobietą albo mężczyzną.

— Są monarchowie — rzekłem — którzy w każdy wielki czwartek zstępują z tronu i omywiają nogi dwunastu poddanym swoim...

Brwi jej zsunęły się znowu.

— Żartujesz, kuzynie — a po sekundzie milczenia dodała — w ogólności wiele osób żartuje tu ze wszystkiego.

— A najwięcej Bronek Widzki! — przekornie rzuciłem.

Trochę zasępiła, nie odpowiedziała.

— Jednak — szepnąłem — ten Bronek, to bardzo dobry chłopak i — zdolny poeta!

— Pierwszemu wierzę chętnie — z żywością odparła — a drugie sama z całego serca przyznaję. Ale... kiedy się zajmuje w społeczeństwie stanowisko przodujące, kiedy się ściąga na siebie oczy i nadzieje ogółu, nie wystarcza być dobrym chłopcem i nawet zdolnym poetą...

To społeczeństwo, ten ogół drażnić mię zaczynały.

— Widzisz, kuzynko — rzekłem — kiedy to tak przyjemnie brać wszystko z zabawnej strony i żartować sobie potrosze ze wszystkiego... Może życie niczego więcej nie warte!

— O, nie! o, nie! — zawołała z wybuchem tak gorącym i szczerym, że z przyjemnością patrzyłem na żywą grę jej rysów i wielki blask oczu.

Ale uspokoiła się prędko i znowu popatrzyła po swojemu: długo i uważnie.

— Zdaje mi się — rzekła zcicha — że ci, którzy tak myślą, muszą być bardzo nie-szczęśliwi...

— A ci — zapytałem — którzy mniemają, że życie warte zachodu, pracy i wszystkiego w tym rodzaju, czy są szczęśliwi?

Zawahała się chwilę, zamyślonemi oczyma patrzyła w przestrzeń, nakoniec odpowiedziała:

— Pod pewnym względem: tak.

Pochylony naprzód, z czołem na dłoni, patrzyłem w twarz jej tak zmienną, jak niebo, na którym chmury zasłaniają, to znowu odsłaniają słońce.

— A smutki?... — mówiłem zwolna... — a błędy? a straty drogich osób?

Pochyliła głowę.

— Straty drogich osób... ach, tak!

Cichy ten wykrzyk wydał mi się mimowolnem westchnieniem serca, które już dużo cierpieć musiało. Zaledwie jednak miałem czas rozrzewnić się tym domysłem, ona podniosła głowę i spokojnie na sukni splatając ręce, z uśmiechem rzekła:

— To prawda; ale jest też w życiu plan jego, który zajmuje, cel, który pociąga, są zasady, na których wesprzeć się można, i obowiązki, których spełnianie pociesza...

Zabiła mię tą nomenklaturą wartości życiowych. Już, już w rozmowie naszej pobrzękiwać zaczynała struna liryczna, już zdawaliśmy się dochodzić do punktu, na którym rozpoczyna się pomiędzy dwojgiem serc zamiana osobistych uczuć i zwierzeń, gdy trafił po społeczeństwie i ogóle nastąpiły: plan i cel życia, zasady, obowiązki! Wyprostowałem się, umilkłem i rozmyślałem: kto to jednak taki? Błękitna pończocha? Nie, bo o książkach nie rozpoczyna i z uczonością się nie popisuje; kandydatka do klasztoru? nie, nie, bo cóżby w takim razie robiły społeczeństwo, ogół, a przytem, oczy i gra rysów w najmniejszym stopniu nie klasztorne. Gąska prowincjonalna? o, nie! Czasem śmiała, aż do zuchwałstwa, i bardzo, bardzo zajmująca. Wprawdzie, czasem też, z jakiegoś zaczarowanego kubka leje człowiekowi na głowę zimną wodę, ale nie jest to taka woda, po jakiej pospolicie pływają gąski! W każdym razie: dzika!

Wtem, zaszeleściło, zapachniało, zaszczebiotało; do salonu wbiegła Idalka w zwykłej już swojej postaci. Tak, to *à la bonne heure!* Szlafroczek koloru *saumon* z długim trenem, z przodu od szyi do stóp fale białych muślinów i koronek, na głowie kok, puszcza loczków i wyglądający z nich złoty sztylecik.

— Winszuję ci, Idalko, tej toalety rannej — rzekłem.

— Rzeczywiście jest bardzo ładna — potwierdziła panna Zdrojowska i we wzroku, jakim patrzyła na ubranie Idalki, dostrzegłem prawdziwie kobiecą ciekawość.

— Więc cóż ci przeszkadza zrobić sobie taką samą — zaśmiała się Idalka i poskoczywszy za ręce ją pochwyciła.

— Chcesz? pojedziemy zaraz do Hersego! Dobrze? Zobaczysz, jakie tam cuda w tym rodzaju! Zachęcisz się i nawrócisz! Zdzisiu, pojedziesz z nami? Tyś jedyny do rady, przy wybieraniu strojów! Pojedziesz, Sewerko? moja droga, pojedź! Takbym pragnęła wystroić cię, w świat wprowadzić, na całą zimę tu zatrzymać...

Pocziwa Idalka naprawdę lubiła tę swoją krewkę, z którą podobno wiele czasu spędziła w dzieciństwie i przed zamążpójściem, całowała ją, prosiła, przymilała się do niej tak, że kamień skruszyłby mogła. Ale panna Zdrojowska, wzajemnie ją całując, odpowiadała:

— Nie mogę, Idalko! jak ciebie kocham, nie mogę! Przecież mówiłam ci, dlaczego...

— At, co ty mi tam mówiłaś!

Obróciła się ku mnie.

— Wyobraź sobie, Zdzisiu, ona mówi, że nie ma za co stroić się...

Ehe! pomyślałem, byłaby herytjerą długów ojcowskich, albo braterskich! Ale Idalka, jakby myśl moją odgadując, ze ślicznymi gestami białych rączek i coraz większym zapalem ciągnęła:

— Ale ty w to ani trochę nie wierz. Ma najmniej dziesięć tysięcy dochodu rocznego, czyściuteńkiego, i będzie miała coraz więcej, bo pan Bohurski doskonale gospodarzy i ona także...

Rozśmieszył mię ten jakiś pan, który tu wpadł jak Piłat w *credo*.

— Moja Idalko — wtrąciłem — miejże zwyczaj przedstawiać towarzystwu osoby, które do salonu swego wprowadzasz...

— E! mniejsza z tem! to taki sobie pan Bohurski, rządca jej majątku...

Panna Zdrojowska, której Idalka do słowa przyjść nie dawała, energicznie wtrąciła teraz:

— Nie jakiś sobie, ale przyjaciel mojego brata...

— Przyjaciel jej brata — powtórzyła Idalka — bo widzisz, Zdzisiu, tam wszystko jest jej brata i majątek także, który jeszcze oprócz do brata... nieżyjącego... należy do ludzi... Przytem, jeszcze jedna przyczyna: ubiera się jak mniszka, z zasady... ale z jakiej, tego ci ja nie powtórzę, bo w mojej głowie takie rzeczy nigdy na długo ulokować się nie mogą, dość, że z zasady. A teraz, proszę was na śniadanie...

Wdzięczny byłem Idalce, że zaprosiła mię na śniadanie, bo chciało mi się bardzo popatrzeć jeszcze trochę na pannę Zdrojowską. Teraz ona wbiegającemu do salonu Arturkowi drogę z rozpostartymi ramionami zabiegła i z nad ziemi uniósłszy malca, który jak z pistoletu w twarz ją całował, do sali jadalnej go poniosła. Obok niej drobnym krokiem biegła Szwajcarka, w oczy jej zaglądając i w najpoufalszy sposób do niej szczebiocząc. Wszystko to odbyło się z zupełnym brakiem troski o to, że w salonie był obecnym młodzieniec pierwszej wody i choć świeżo przybrany kuzyn, jednak obcy. O usprawiedliwianiu się

z zarzutów, uczynionych jej przez Idalkę, ani myślała, cała zajęta, przed zabraniem miejsca przy stole, zawiązywaniem serwetki na szyi Arturka i odpowiadaniem Szwajcarce po francuzku. Bardzo chciałem przysłuchać się, jak mówiła po francuzku, ale nie mogłem, bo przeszkadzała mi Idalka, opowiadająca z wielkim ożywieniem o jakimś cudzoziemcu, który od niedawna w mieście naszym gościł. Był to syn jednego z narodów w naszej strefie geograficznej najmniej znanych: rumuńczyk, dalmatczyk, kroat, czy coś podobnego. Ci, którzy już mieli szczęście go oglądać, cuda o nim opowiadali. Miał być bogatym jak Al-Raszyd, wysoko urodzonym, przez nieszczęścia po świecie pędzanym; słowem, tysiąc nocy i jedna. Ktoś przyrzekł przedstawić go Idalce i cieszyła się tem jak dziecko. Miała wogóle pasję do poznawania cudzoziemców, a im z dalszych i mniej znanych krain który z nich przybywał, tem bardziej rozpałał jej wyobraźnię i ciekawość. Była to pasja pokrewna mojemu zamiłowaniu do wyrobów chińskich, japońskich, lub z bardzo odległej starożytności odgrzebanych. Pochodzenie też jej pasji i mojego zamiłowania było jednostajnym. *Toujours des perdrix*, w każdym wypadku odbiera apetyt, a egzotyzm jest właśnie tym pieprzykiem, który budzi z odrętwiałości podniebienie, kuropatwami przesycone. Mówiła więc o swoim cudzoziemcu żywo i długo, a ja, jednym uchem jej słuchając, dzieliłem czas na drażnienie się z Arturkiem, ładnym i zabawnym na swoim wysokim krzeselku malcem, i nieznaczne przypatrywanie się pannie Zdrojowskiej, która, choć rodaczka, przedstawiała dla mnie w tej chwili przyjemnie drażniący żywioł egzotyizmu.

Zauważyłem, że opowiadania Idalki o rumunie czy dalmatczyku, zajmowały ją w stopniu bardzo umiarkowanym, czasem kilka słów zamieniła ze szwajcarką, zresztą milczała i tylko parę razy zaśmiała się z conceptów, którymi Arturk na moje zaczepki odpowiadał, a ilekroć to się zdarzyło, zawsze z za warg szczerze koralowych błysnęły białe, szczerze swoje zęby. Leon nieściśle się wyraził mówiąc wczoraj, że trzeba zejść do chłopka, aby znaleźć u kobiety zęby białe i własne. Miała wogóle usta, pod względem barwy, rysunku, wyrazu, bez zarzutu, i oprócz oczu, także bardzo pięknych, można było reszty rysów jej nie zauważyć, patrząc na te śliczne usta. Sam spostrzegłem, że z trudnością wzrok od nich odrywam i po raz trzeci podrażniłem Arturka umyślnie dla wywołania ich uśmiechu. Wyciągnąłem rękę i z przed samej buzi usunąłem mu talerzyk z andrutem, pełnym kremu, ale dzieciak ani się skrzywił, tylko najspokojniej łapki na stole składając, przemówił.

— Niech wujasiek zje ten andlutek, bo wujasiek gość...

Ten tak wczesny objaw gościnności i poświęcania dla niej uciech życia rozśmieszył nas wszystkich; ja zaś z wrażeniem rozkoszy estetycznej przyglądałem się pewnemu odłamowi koralu, który rozchyłał się w uśmiechu dziwnie ciepłym i szczerym. Wtem, spostrzegłem bladą-różową lunę, która powoli opływając policzki i czoło panny Zdrojowskiej, dosięgnęła brzegu jej ciemnych włosów, koroną warkocza zwieńczonych, i na całej twarzy pozostała dość długo, coraz różowsza i ognistsza. Oczy jej jednak były spuszczone, spojrzienia nasze nie spotkały się ani razu i pojąć nie mogłem, jakim sposobem spostrzegła, że się w nią wpatrywałem. Byłem też pewny, że daleko więcej odczuła to, niż spostrzegła. Z rodziny czułekowatych! pomyślałem i uczułem dreszczyk wzruszenia.

Idalka, wstając od stołu, powtórzyła wezwanie, abyśmy pojechali z nią do magazynów i do krawca.

Panna Zdrojowska spojrzała na znajdujący się w sali jadalnej zegar.

— Chciałabym ci towarzyszyć, ale wiesz gdzie muszę być za godzinę. Jeżeli pojedę z tobą na tę wędrowkę, która pewnie będzie długą, mogę się spóźnić.

— Szczególna ochota! — z lekkim ziewnięciem wymówiła Idalka — zamiast do magazynów i Hersego, jechać do kapłanów!

— Do kogo? — z zadziwieniem zapytałem.

— Do kapłanów! — powtórzyła — naturalnie, że do kapłanów nauki, idei, działań społecznych i tym podobnych świątyn... Sewerka wczoraj u nich była, powiodło się jej bardzo dobrze i na dziś jeszcze ją zaprosili.

— Moja Idalko — tłumaczyła się panna Zdrojowska — masz taki zabawny sposób przedstawiania rzeczy zupełnie prostych...

Potem obie, każda po swojemu, opowiadały, że panna Zdrojowska zabrała znajomość z kilku ludźmi, działającymi na różnych polach ekonomiki krajowej, bardzo rzeczywiście szanownymi których sam znałem z nazwiska lub widzenia i wysoce — choć zdaleka —

poważałem. Zabrała z nimi znajomość dlatego, że potrzebowała ich rady i wskazówek w dwu przedmiotach, które zajmowały ją ogromnie, a którymi były: podniesienie kultury w jej dobrach i oświecanie ludu. Była więc u jednego znakomitego gospodarza i u jednego znakomitego szerzyciela oświaty ludowej, rozmawiała z nimi długo, otrzymała od nich wiele cennych wskazówek i zaproszenie, aby przybyła znowu dla porozumienia się jeszcze obszerniejszego i szczegółowszego. Zdaje się, że miał to być rodzaj sesji, zgromadzonej w celu obradowania: jakimi sposobami kobieta majątna i pełna najlepszych chęci, oddać może najlepsze usługi ogółowi?

Omyliwszy się zawczoraj na nas biednych, panna Zdrojowska trafiła jednak do takich, którzy naprawdę życzenia jej spełnić mogli, i była tem ucieszoną.

Cóż dziwnego? Przecież do wielkiego miasta przyjeżdżała umyślnie i tylko — po światła. Była teraz na drodze do swego ideału. Boże zlituj się! co za ideał dla młodej panny — z takimi koralowymi ustami! Jednak i to było prawdą, że z zajęciem słuchałem, gdy siedząc na kanapce, z rękami po swojemu na sukni splecionymi, opowiadała o swoich dużych lasach, graniczących z wielką puszcza, a do tego czasu najsromotniej zaniedbanych, bo pozbawionych gospodarstwa leśnego, które ona teraz, z pomocą swego rządcy (przyjaciela swego brata), zaprowadzać zaczyna. Zapatrywała się na te lasy z dwu punktów: jako na własność krajową, której zmarnowanie byłoby okradzeniem ogółu i jako — na ozdobę ziemi. Piękne bo były te lasy, wśród których, jak w gnieździe zielonym w lecie, a alabastrowym w zimie, krył się jej dom rodzinny! Czuć było, że je kochała! Kiedy zaczęła przedstawiać ich głębie i perspektywy, ich tajemnicze ścieżki, gęsto zarosłe wzgórze, czombrem i wrzosem okryte doliny, ich zapachy, śpiewy, szmery, szumy głośne i ciche bezbrzeżne, zasluchaliśmy się oboje z Idalką w to, co mówiła — jak w kawałek poematu. Ale po lasach przyszyły łąki, które koniecznie trzeba było osuszyć, chcąc podnieść ilość i wartość inwentarza, a przez to dochód z majątku zwiększyć i sąsiadom, zwłaszcza chłopom, dać dowód, że ta mianowicie zmiana w uprawie, dla której żywią oni przesądne uprzedzenie, jest dla gospodarstw bardzo korzystną.

Nad brzegi tych łąk przyprowadzony, uczulem, że stygnę, sztywnieję, a Idalka bez ceremonii ziewać zaczęła i z książką w ręku wyciągając się na kanapce, zawołała.

— Sewerko, śpiewaj!

Panna Zdrojowska rzuciła na mnie szybkie, ukośne spojrzenie. Domyśliłem się, co jej przyszło na pamięć — i pochylony nieco, w twarz jej patrząc, zanuciłem zcicha:

— Du-du — koziół brodaty!

Rozśmieliśmy się wszyscy troje.

— Dlaczegoś to zrobiła, niegodziwa dziewczyno? — z oddalonej nieco kanapki zapytywała Idalka — myślałam, że ściany domu wałą się na mnie...

— Bo najprzód — tłómaczyła się panna Zdrojowska — zrobiło mi się bardzo smutno, a potem, obraziłam się... więc za żarty, żart!

— Zaśpiewaj więc teraz, kuzynko, dla tego, który nie żartował... bo wiesz dobrze, że nieżartowałem...

— To prawda — rzekła z przekonaniem.

Jednak śpiewać nie chciała, tłómaczyła się, że czasu nie ma i natychmiast iść musi...

— Do Sanhedrynu! zażartowałem i zaraz spostrzegłem, że sprawiło to na niej złe wrażenie. Przelotnie spojrzała na mnie, zamysliła się, ostygła i po krótkiej chwili nie było już jej pomiędzy nami.

Kiedy na pożegnanie, grzecznie, ale chłodno podała mi rękę i swoim prędkim, cichym krokiem z salonu wyszła, zrobiło mi się bardzo przykro. Nie chciałem jej obrazić. Może też nie obraziła się, tylko żart mój sprawił na nią takie wrażenie, jakiego ja doświadczyłem, kiedy przyprowadziła mnie nad brzegi łąk osuszonych i okrytych liczniejszym niż przedtem inwentarzem. Sięgnąłem po kapelusz i wstałem, ale zaraz usiadłem znowu, bo Idalka, leżącej pozycji nie zmieniając, o niej mówić zaczęła. Mówiła, że nie trzeba zważać na dziwactwa Sewerki, bo w gruncie rzeczy jest to najlepsza w świecie dziewczyna, tylko świata nie zna i miała w życiu niezwykle przejścia. Idalka przepędziła z nią część dzieciństwa i w pierwszych latach młodości jeszcze widywały się z sobą często. Potem nie widziała jej lat kilka, ale wie z opowiadań, co się z nią działo. Otóż, w stronach rodzinnych Sewerki i jej także, działy się podobno rzeczy bardzo burzliwe, których Idalka nie widziała, bo przedtem wyszła za mąż i strony te opuściła, ale których Sewerka była świadkiem,

a brat jej ofiarą. Sewerka ogromnie kochała tego brata, który pod każdym względem był bardzo egzaltowanym i na nią w tym kierunku podobno silnie wpływał. Ojciec jej także miał dziwactwa; syna, na przykład, jedynaka, więc bogatego chłopca, wychowywał tak, jak gdyby on wcale majątku posiadać nie miał. Adaś Zdrojowski uległ katastrofie zaraz po ukończeniu studiów uniwersyteckich, potem zmarł... z okropnej jakiejś gorączki i w warunkach najopłakańszych. Sewerka rozpacziała po nim bez pamięci; kiedy wyjeżdżał, byłaby mu najpewniej towarzyszyła, ale ojciec żył jeszcze i albo nie pozwolił, albo i sama opuścić go nie chciała. Jednak i ojciec niedługo przeżył syna, że zaś matkę Sewerka utraciła już była oddawna, po śmierci ojca stała się jedyną właścicielką dużego majątku, co także mogło jej trochę przewrócić w głowie. Wrażenia tedy, przez wypadki publiczne wywarte, wpływ egzaltowanego brata, nieszczęścia rodzinne, wyjątkowa pozycja bogatej dziedziczki...

— A przedewszystkiem, przedewszystkiem, mój drogi, wieczne siedzenie na wsi... jeszcze na takiej wsi!... Zakątek, mówię ci, klasztor, puszcza!... To może zabić!...

— Ale gdy raz już opuściła puszcę, postaraj się zatrzymać ją tu jak najdłużej!...

Idalka podniosła się na łokciu.

— Otóż to! zatrzymać! Odjeżdża pojutrze!

Wstałem. Głucha złość przemieniła mię w lodowiec.

— Czegoż tak spieszy? czy pora już zakupować inwentarz?

Z kapeluszem w rękę zbliżyłem się do Idalki. Leżała w pozie rozkosznej, w jednej spuszczonej ręce trzymając książkę, z drugą pod głowę zarzuconą. Szeroki rękaw szlafrocza *saumon* opadł z jej ramienia, które z fali żółtawych koronek wydobywało się nagie, okrągłe, białe jak alabaster. Pochyliłem się i dotykając ustami tego cudnego ramienia, nieco poniżej łokcia, uczulem się przyjemnie zelektryzowanym. Ona zaś książkę na ziemię upuściła i drugą jeszcze rękę nad głowę zarzucając, przytem wyciągając się trochę leniwie i na mnie patrząc, przemówiła:

— Ach, mój drogi! żeby ten Darowski prędzej mi tego rumuna przyprowadził! tak jestem ciekawa... ciekawa!

Ufaj tu sercu kobiety! Rumun! Przeszłej zimy był meksykanin, który tak się jej podobał, że zaczynałem obawiać się, czy nie przywiózł w kieszeni trochę swoich tropikalnych upalów i nie napił ją niemi. Ale nie; spłynęło to po niej jak po łabędziu, bo i rzeczywistość była zupełnie pod tym względem białym łabędziem. Potem flirtowała ze mną, ale teraz już nie chce, nie dla czego innego, tylko, że rumun do głowy jej zajechał. Mniejsza o to. Nie przestaje przeto być dla mnie miłą kobietą i dobrą przyjaciółką. Przed pożegnaniem powiedziała mi jeszcze, że nazajutrz zamierzają razem z Sewerką zwiedzić wystawę obrazów. Byłem na pannę Zdrojowską zły jak piekło, za to, że poszła na zebranie Sanhedrynu, daleko więcej za to, że pojutrze wyjechać zamyśla, i z pewnością byłbym sam tego nie powiedział, ale drugi człowiek we mnie siedzący, z niepowstrzymanym impetem wybuchnął:

— Weźcie mię panie z sobą!

— Ależ naturalnie, z największą chęcią! Przyjdź znowu na śniadanie, a potem...

Schodząc ze schodów spotkałem Józia, a niewiele za bramą domu — Stefana i Stasia. Zamieniliśmy z sobą słów kilka. Wszyscy trzej szli do Idalki.

Zaczyna się więc procesja. Naturalnie, bogata panna w domu! Źle ubrana, orygi-nał, dziwoląg, córa puszczy, ale herytjera! Dobra z rezydencją, z lasami, z łąkami, które osuszyć trzeba, aby paść się mógł na nich liczny inwentarz i — przyszły mąż! Dla tych przyjaciół swoich uczulem coś nakształt wzdargy, uczucie bardzo przykre, szczególnie gdy skierowane jest ku ludziom z kądinąd miłym, a z wielu względów do nas podobnym. Z niejaką pociechą pomyślałem, że jednak mydła zjedzą, bo najprzód ona na nich patrzeć nie zechce, a następnie pojutrze wyjedzie. Mnie wcale to nie obchodzi, że ona pojutrze wyjedzie, bo nie zamierzam starać się ani o jej rączkę, o ile zauważyć mogłem, niezbyt delikatną, ani o jej osuszone łąki.

Obchodziło jednak! Uczuł to lokaj mój Wincenty, o mało dnia tego nie odprawiony za skrzypiące buty. Uczuła też pewna osóбка, za kulisami świata przebywająca, u której miałem zwyczaj od czasu do czasu kilka chwil więcej miłych przepędzać, ale która tego wieczoru wydała mi się, pomimo szykownego ubrania i otoczenia, ordynarną, i po-

mimo młodości, steraną i zwiędłą. Niepodobna mi było dnia tego dłużej nad kwadrans przebywać w jej towarzystwie i wołałem już pójść do resursy na partję bezika. Nie miałem do kart pasji najmniejszej, ale tego wieczoru bezik zajął mię i ożywił tak znacznie, że raz jeszcze uznać i błogosławić musiałem to rozróżniczkowanie zajęć i uciech, którego w wielkich miastach dokonywa cywilizacja. Nie jedno, to drugie, nie drugie, to dziesiąte, zawsze przecież znajdzie się tam coś, co cię pocieszy i zabawi.

Nazajutrz, w porze umówionej, przyszedłem do Idalki, ale panny Zdrojowskiej w domu nie zastałem, bo dawno już wyszła do miasta po sprawunki. Załedwie przecież kilkanaście słów zamieniliśmy z Idalką, gdy wbiegła do sali jadalnej, w futerku i kapeluszu, różowa od panującego na dworze mrozu, zdyszana trochę od szybkiego biegu po schodach, a tuż za nią lokaj wniósł kilka dużych pak, w papiery owiniętych, sznurkami pozwiązywanych, które na stole jadalnym sporo miejsca zajęły.

— Co to? — z ciekawością zawołała Idalka i rzuciła się do sprawunków.

— Książki! — odpowiedziała panna Zdrojowska i spiesznie zrzucając futerko i kapelusz, prędko mówiła:

— Dużo, dużo książek... różnych, różnych... cała dorożka była tego... Wiesz, Idalko, aż ludzie oglądali się, kiedym jechała z tem wszystkim... a raczej pomimo tego wszystkiego, bo tak mało dla mnie miejsca zostało, że załedwie z dorożki nie wypadłam!...

Gdy wchodziła, zaraz we drzwiach wzrok jej spotkał się z moim i dostrzegłem, że z obecności tu mojej uczuła się zadowoloną. Tak, tak, dostrzegłem to wyraźnie w jej oczach; znałem się na tem i były to zresztą takie szczere, przezroczyście oczy, któreby nic ani udać, ani utaić nie mogły. Zapewne żałowała trochę, że wczoraj źle rozstała się z kuzynem, za wcale niewinny jego żarcik, bo gdy pomogłem jej zdjąć futerko, powitała mię dobrem, serdecznem ściśnieniem ręki, poczem zaraz do swoich książek pobiegła. Idalka już rozwiązywała sznurki; bardzo lubiła czytać i ciekawą była tej biblioteki, która niespodzianie wtargnęła do jej mieszkania. Ja także lubiłem czytać i byłem ciekawy, więc wszyscy troje rozwiązywaliśmy sznurki i rozwijali papiery, a panna Zdrojowska przy każdej otwieranej pace udzielała objaśnień:

— To dla dzieci... to dla dorosłych... to dla pana Władysława i dla mnie... to tylko dla mnie... to dla cioci Leontynki... a to tylko dla pana Władysława...

Były to tedy prawdziwe zbiory elementarzy i książek dla dzieci, całe wydawnictwa ludowe, cięższe i lżejsze dzieła gospodarskie i ogrodnicze, beletrystyka swojska i obca, poezja, wszystko, słowem, czego dusze różnych wieków i poziomów zażądać mogły.

— A to nuty!

Były także paki z nutami do grania i śpiewu.

— A to kapelusz!

Z kartonowego pudełka wyjęła kapelusik najprostszej z form, jakie tylko w bieżącym stuleciu egzystowały, i tryumfująco pokazywała Idalce, która go też zaraz włożyła na głowę i obejrawszy ze stron wszystkich zdecydowała, że jest znośnym. Ale ona utrzymywała, że jest poprostu ślicznym; sprzeczały się, aż Idalka na sędziego mię wezwała.

— Nie jest ślicznym, ale tobie, kuzynko, jest w nim ślicznie, tak jak we wszystkim — osądziłem i byłem zupełnie szczerym.

Wtedy lokaj przybliżył się do Idalki i zcicha zapytał, co ma czynić ze śniadaniem; książki cały stół zajmowały.

— Trzeba to przenieść do pokoju panny Klary — rozporządziła się Idalka, a załedwie to wymówiła, już panna Zdrojowska nabrała w ramiona tyle książek, ile tylko podźwignąć mogła i niosła je przez salon. Naśladowałem ją z pośpiechem, Idalka także, a ponieważ kilka razy, z naszymi brzemionami szliśmy i powracali, przyłączyli się do nas i w trudach pomagać nam zaczęli panna Klara i Arturek. Ruchu, bieganiny, śmiechu było przytem dużo. Filarek włożył nam w drogę, rozrzucił cośmy ułożyli, a śmiał się i szczebiotał, jakby go największe szczęście spotkało. Byłem jak on; czułem się tak wesołym, jak gdyby przenoszenie książek z miejsca na miejsce było mojem najgłębszem, a szczęśliwie nakoniec odkrytem powołaniem.

— Czy zamówiłaś, kuzynko, w zarządzie kolei, osobny pociąg dla swoich książek?

— Myślę — odpowiedziała — że im i mnie dosyć będzie jednego wagonu.

— Będiesz z niego wypadła, tak jak z dorożki. A dla kogo te elementarze?

— Dla chłopców i dziewczątek.

— Czy tak wielu masz sąsiadów?  
— Bardzo wielu.  
— I sąsiedzi twoi mają tak wiele dzieci?  
— Mnóstwo.  
— Nie wierz jej, Zdzisiu — zawołała Idalka — sąsiadów tam prawie nie ma, okolica jest pustą...

Oślupiałem.

— Więc zkadże mnóstwo dzieci i dla kogo te elementarze?

Panna Zdrojowska, która tylko co przyniesioną piramidę książek na stole złożyła, stanęła z opuszczonymi na suknię rękoma, popatrzyła na mnie, na Idalkę i zaśmiała się.

— Czy nie będziesz łaskawa wytłómaczyć nam z czego się śmiesz? — zapytała Idalka.

Idąc po nowy transport, odpowiedziała:

— Przyszła mi na myśl anegdota, którą dziadunio czasem opowiada. Był sobie we Francji pewien taki pan, który utrzymywał, że człowiek zaczyna się od wicehrabiego, a kiedy go raz zapytano: „a baron?” pomyślał, pomyślał i odpowiedział: „baron jest wice-człowiekiem”.

Idalka wzruszyła tylko ramionami, bo nie rozumiała sensu przypowieści, ale ja pojąłem go odrazu. Ach, tak, naturalnie! Ja i Idalka zapomnieliśmy na śmierć — o chłopach.

Kiedy na chwilę zostaliśmy sami, pocichu Idalkę zapytałem:

— Kto to taki: dziadunio?

— To stary... stary pan Adam Zdrojowski, ojciec jej ojca... oficer napoleoński.

— Czy dotąd jeszcze żyje i demokratyczno-satyryczne przypowieści wnuczce opowiada?

— Żyje i opowiada.

Dzień był piękny, lekko mroźny. Idalka nie kazała zakładać koni, woleliśmy wszyscy parę ulic przejść pieszo. Na chodniku, napełnionym przechadzającymi się ludźmi, doświadczyłem niemiłego wrażenia; zauważyłem w pannie Zdrojowskiej pewne nieoswojenie się z tłumami, pewną nieśmiałość i nawet niezręczność ruchów przy wymijaniu osób spotykanych, słowem, brak szyku. Futerko też jej było niemodnie zrobionem i w sposób pożałowanie budzący ubożuchnem. W salonie zgrabna i malownicza, na ulicy stanowczo nie miała szyku! Nie miała go też w przedsionku gmachu, do któregośmy weszli i w którym znajdowało się trochę ludzi, rozbierających się z futer i kupujących bilety wejścia. Spieszyła, rzuciła dokoła wzrokiem niespokojnym, zanadto się rozglądała, była poprostu niezgrabną. Psuło mi to ją, jak fałszywa nuta psuje akord muzyczny. Idąc na schody ze smutkiem myślałem, że jednak natura globu naszego dziwnie jest uboga, skoro tak niezmiernie rzadko spotkać na nim można coś — doskonałego, coś, coby nie posiadało w sobie dysharmonji i zarodków rozczarowania. Ale z myśli tych wyrwał mię prędko widok sal napełnionych dziełami sztuki, tej sztuki, którą z pomiędzy wszystkich kochałem najwięcej, na której też, nie wyłączając muzyki, znałem się najlepiej. Talentem malarskim natura mię nie obdarzyła, czego przez całe życie żalować nie przestawałem; wzamian, wielkie zamiłowanie w dziełach malarstwa udzieliło wytrwałości do nabywania szerokiej wiedzy w tej dziedzinie i obdarzyło mię mnóstwem cudownych godzin, które spędziłem w słynnych galerjach europejskich, jako też w pracowniach malarzy wielkich i pomniejszych.

Do tych sal, na które lało się z góry światło białe i tak przezroczyste, że możnaby je nazwać szklanem, a napełnione chaotycznym zrazu migotaniem barw i złoceń — wchodziłem zwykle jak do świątyni. Skupienie i podniesienie ducha, którego wtedy doświadczałem, nie było forsownie wyrabianem, ale naturalnem i pomimowolnem. Uczuwałem część, pomieszana z rozkoszą i zupełnem zapomnieniem o wszystkim, co za ścianami świątyni tej istniało; myśli moje nabierały powagi, ciągłości i zarazem stawały się lotnymi. Coś je podrywało w górę; coś także rozgarniało przed oczyma niewidzialne zasłony, ukazując z za nich coraz głębsze perspektywy i liczniejsze szczegóły piękna. Pod wpływem uczuć tych, bardzo prędko i zupełnie zapomniałem o skazie, która na chwilę zepsuła mi była pannę Zdrojowską, i zacząłem, razem z nią przed obrazami stając, udzielać jej swoich uwag, spostrzeżeń i wrażeń. Idalka spotkała kilka znajomych osób i z niemi kędyś przepadła; ja, na szczęście i wyjątkowo, nie potrzebowałem z nikim witać się, ani rozmawiać, wkrótce więc utworzyliśmy pośród rozrzuconego po salach, małego zresztą, tłumku, duet

odosobniony i — doskonale zgodny, bo natychmiast spostrzegłem, że panna Zdrojowska także wchodziła tu jak do świątyni, że więcej jeszcze odemnie była wzruszoną i że miała trochę może naiwne i mało wykształcone, jednak rzetelne poczucie sztuki. Ale też naiwności i małego wykształcenia swojego w tej dziedzinie wcale nie ukrywała. Zachwyty i krytyki swoje, najczęściej trafne, wypowiadała we właściwy sobie sposób żywo i szczerze, z otwartością przyznając się do tego, że z podstaw sądów swoich sprawy zdać nie umie, a powoduje się tylko instynktem i uczuciem. Ja za to umiałem tu zdać sprawę ze wszystkiego i stając się dla niej tłumaczem tajemnic sztuki, tłumaczyłem zarazem przed nią jej własne wrażenia i uczucia. Znajdowało się wtedy na wystawie kilkanaście obrazów bardzo dobrych i parę arcydzieł. Przechodziliśmy od jednego do drugiego z tych płócien po razy kilka, powracaliśmy do opuszczonych, czyniliśmy porównania szkół, metod i manier malarskich. Miałem pomimowolny zwyczaj chodzić tu na palcach, bo każdy cokolwiek głośniejszy stuk lub dźwięk sprawiał na mnie w tym miejscu wrażenie profanacji. Więc jej kroki, zazwyczaj ciche i równe, i jej głos miękki, akcentem słodczy przejęty, zlewały mi się w doskonałą całość z estetyką i powagą miejsca i chwili. Odosobnieni, w cichej rozmowie ku sobie przybliżeni, byliśmy jak dwie nuty, przez czarodziejską krainę zgodnie lecące w górę. Tylko moje skrzydła miały tu lot pewniejszy i szerszy, a ona ścigała go łatwo i z rozkoszą. Mówiłem dużo o prawach kompozycji, perspektywie, plastyce, kolorystyce, ukazywałem wady i przymioty różnych pendzli, tłumaczyłem ich przyczyny, a ona słuchała z ciekawością wielką i odpowiadała czasem kilku słowy, ale najczęściej grą rysów, w której ruchy myśli i wyobraźni odbijały się z żywością i wyrazistością nadzwyczajną. Przed jednym z obrazów staliśmy dość długo, zatopieni w takiej cichej rozmowie, gdy przeniósłszy oczy z obrazu na towarzyszkę swoją, doświadczyłem czegoś, nakształt objawienia. W swojej zwykłej, czarnej sukni i małym kapeluszu, który zakrywał część jej czoła, z rękami w zarękawek wsuniętymi, stała przed obrazem prosta, trochę błada, wpatrzona w obraz, a zarazem zdająca się słuchać jeszcze tego, co mówiłem, chociaż mówić już przestałem. Koralowe jej usta były wilgotne i nieco rozchylone uśmiechem zachwyconym, a w oczach, do dna przejrzystych, gorzało ciche, skupione w sobie szczęście. Była wtedy piękną, ale zupełnie inaczej jak wszystkie znane mi dotąd kobiety. Patrzyłem na nią i czułem, jak z zachwyconego jej uśmiechu i przejrzystych oczu, we mnie także wpływało szczęście, ale zupełnie inne niż to, którego różne gatunki znałem. Nie było w nim nic zmysłowego, ani też wesołego. Zdawało mi się, owszem, że od wszelkiej materji oderwany, z duchem jakimś czystym i słodkim, wzbijam się w sferę górną, czystą, napojoną czarodziejskimi akordami barw, linii, tonów, że za tą salą wielką, napełnioną szklanem światłem i uroczystą ciszą, ani świata, ani jego trosk, płocności, zepsucia nie ma; że to świątynia, kołysząca się na obłokach i w której modli się nas dwoje. Blizko niej stojąc, widziałem, że oddech jej był długim i powolnym i zacząłem zupełnie razem z nią oddychać. Myślałem, że z jednej czary i jednostajnymi haustami pijemy szczęście i była to chwila, w której doskonale zrozumiałem to, co ludzie nazywają połączeniem dusz. Z tego połączenia dusz drwiłem nieraz i przedtem i potem, ale wtedy rozumiałem je i dało mi ono jedno z najgłębszych i najczystszych zachwyceń, jakich kiedykolwiek doświadczyłem.

Ale wszystko kończyć się musi, i ta nasza wędrówka po krainie ideału skończyć się musiała. Idalka, którą odnaleźliśmy nie bez trudu, po opuszczeniu gmachu wystawowego prędko pobiegła naprzód, bo w krótkim, sobolowym żakieciku było jej bardzo zimno, a ja pannie Zdrojowskiej podałem ramię i zwolna idąc przez całą drogę opowiadałem jej o muzeach, galerjach i różnych zbiorach sztuki, które zagranicą nietylko zwiedzałem, ale z zamiłowaniem studjowałem, a o których ona miała z książek tylko powzięte, słabe wyobrażenie. Ani razu jeszcze dotąd nie była zagranicą. Kiedy mi to powiedziała, nie czułem przez chwilę nic, oprócz litości, potem ogarnęło mię zaskowienienie. Dlaczego? Dlaczego? Myślałem zawsze, że tylko nędzarze odmawiać sobie muszą podróży i tylko barbarzyńcy mogą nie czuć jego potrzeby. Ale powiedziała mi, że nie miała jeszcze lat dwudziestu, gdy zaszły wypadki, w czasie których o podróżowaniu nikt myśleć nie mógł, a potem znowu nieszczęścia i straty rodzinne czyniły je dla niej niepodobnym. Od trzech lat wprawdzie rozporządzała już zupełnie sobą i swoim czasem, ale właśnie tego ostatniego nie miała nigdy dosyć. Były i są jeszcze do zrobienia rzeczy daleko pilniejsze od podróżowania, które dla niej, nie artystki i nie uczoney, byłoby tylko przyjemnością, a jeżeli nawet i korzyścią, to zawsze drugorzędną i niejako zbyt kowną. Kiedyś pozwoli



sobie zapewne na tę przyjemność, ale wtedy dopiero, gdy na przyjemności wogóle czemkolwiek zapracuje. Jezus Marja! Kobieta majątna i niezależna, musiała na mały, malutki wojażyk zapracować! Znaczenie słów jej rozumiałem dobrze, ale nie mogłem pogodzić się z myślą, aby ta kobieta, tak okropnie trzeźwa i surowa, była tą samą, która kwadrans temu stała przed obrazami tak ślicznie „wniebobrana”, z którą przez kilka minut piłem jednostajnymi haustami eter duchowego szczęścia! Niczem jednak nie wyraziłem mego zadziwienia, a ona po tej krótkiej przerwie znowu nawiązała rozmowę o dziełach sztuki i ich zagranicznych zbiorach, co mię z chwilowego wytrzeźwienia znowu w krainę pięknych uniesień wprowadziło i tak zajęło, że mówiłem jej o nich jeszcze wtedy, gdy siedzieliśmy już w salonie Idalki, ona na kanapce, a ja, tuż przy niej, na znacznie niższym od kanapki pufie. Nizkie to stanowisko zajmując, mogłem wybornie w twarz jej patrzeć i mówiąc czyniłem to ciągle, bo niewymowną przyjemność sprawiał mi widok okrywającego ją coraz więcej wyrazu rozmarzenia. Zdaje się, że inicjację do krainy piękna, którą zdaleka kochała i do której może, nie zdając sobie z tego sprawy, tęskniła, przyjmowała odemnie z rozkoszą niemniejszą od tej, którą mi sprawiało udzielanie jej tej inicjacji. Była rozmarzoną, odzywała się coraz rzadziej, aż umilkła zupełnie i ze spuszczonei oczyma siedziała trochę blada, bardzo podobna w tej chwili do obrazów chrześcijańskich dziewic, z wątlami i spokojnymi ciałami, a duszami w niebie. Powoli i delikatnie wzięłem rękę jej z czarnej sukni i na chwilę usta do niej przyłożyłem.

— I ty, kuzynko, chcesz stale zamieszkać na wsi!... — szepnąłem.

— Naturalnie — odpowiedziała — jakże może być inaczej?

— Ależ powinno nawet być inaczej! — zawołałem. Świat jest pełnym grzechów, przynaję, ale ma także strony wzniosłe. Widziałem dziś, że uwielbiasz sztukę.

— Tak — odpowiedziała — ale nie może ona przecież być wszystkim.

— Szczęśliwi ci, dla których może być ona wszystkim — ze szczerem przejęciem się westchnąłem.

— Tak — powtórzyła — ale są to natchnieni twórcy, artyści. Dla innych, musi to być raj oddalony i rzadko zwiedzany.

— Nie dla ciebie, kuzynko. Cóż ci przeszkadza zamieszkiwać ten raj tak często i długo, jak tylko ci się podoba? Możesz nie odpowiadać, bo wiem już sam, wiem... Depozyt, kultura, lud, cel życia, społeczeństwo, ogół... nieprawdaż?

Mówiłem tonem żartobliwym, w którym przecież czuć było zgryźliwość, ona zaś spokojnie odpowiedziała:

— Tak, to wszystko i trochę innych jeszcze rzeczy, o których nie chcę ci mówić, kuzynie, bo wcale cię nie obchodzą...

Pomimo spokoju, z jakim to powiedziała, widziałem dobrze, że znowu sprawiłem jej przykrość; przy ostatnich wyrazach głos jej drgnął nawet, jakby z żalu. Ale czyż ona także nie sprawiała mi przykrości tem wiecznem wytwarzaniem pomiędzy nami dysonansów, nawet w chwilach najcudowniejszej harmonji, a najbardziej tym projektem wyjechania jutro? W tej chwili szczególnie projekt ten wydał mi się tak dzikim i wprost nieprawdopodobnym, że z żalem mówić zacząłem:

— Ale kiedy taka już twoja wola, kiedy tak już ma być koniecznie, to niech przynajmniej nie będzie tak prędko, tak okropnie prędko!... Któż widział odjeżdżać jutro? I po co? Ziemia jest rzeczą bardzo trwałą i tam zwłaszcza, gdzie nie ulega trzęsieniom, ma zwyczaj leżeć nienaruszenie przez długie okresy lat. Lasy, kuzynko, są także obdarzone przez naturę wielką długowiecznością... żyją całe stulecia i nie uciekają nigdy...

Zaczęła śmiać się, a ja mówiłem dalej:

— Nic ci tam nie ucieknie... ani pewnie pan... pan Bosacki...

— Bohurski — poprawiła.

— Pan Bohurski, — który doskonale gospodarzy. Więc zostań jeszcze trochę z nami grzesznymi, którzy jednak umiemy czasem kochać i podziwiać wzniosłe zjawiska świata... i puszcy! Zostaniesz? prawda? Nie odjedziesz jutro, ani pojutrze?... Ani za dwa dni? ani za trzy?... Prawda?

Była zaniepokojoną i wzruszoną. Widziałem, że waha się i że odpowiedź, na którą się zdobywa, wiele ją kosztuje, ale, nakoniec, siłąc się na uśmiech, odpowiedziała:

— Dobrze, nie odjadę jutro.

Tak mię te słowa ucieszyły, że nie powoli już, jak wprzód, ale z uniesieniem rękę jej pochwyliłem i serdecznie ucałowałem.

— Dziękuję ci, kuzynko! Nie wiesz nawet jaką radość mi sprawiasz. A przecież i to także jest dobrym uczynkiem, przecież i ja biedny jestem synem społeczeństwa, małańką częściczką ogółu... Ale nie na jeden, ani na dwa dni tylko zostajesz pomiędzy nami, tylko na dłużej... na daleko dłużej... Prawda?

Trochę rozśmieszona, a zarazem zmartwiona, odpowiedziała:

— Nie wiem na jak długo zostaję... To tylko przyrzekam ci, kuzynie, że nie odjadę jutro...

Idalka, która przez ten czas zmieniała toaletę spacerową na domową, weszła teraz do salonu prowadząc za rękę swego malca, którego chciała nam zaprezentować, bo miał na sobie świeżo uszyty kostjum marynarski i wyglądał w nim, jak twierdziła, na małego admirała. Istotnie, nadęty i od świeżego stroju uroczystry, dzieciak był pociesznym małym marynarzem i Idalka przysiadła na ziemi aby go wycalować, ale kiedy jej powiedziałem wielką swoją nowinę, zerwała się i pobiegła całować pannę Zdrojowską. Była w humorze doskonałym, bo odebrała liścik, w którym już na jutro przyrzekano jej rumuna. Oprócz tego wiedziała co zrobi z dzisiejszym wieczorem, a to wiele znaczy.

— Będziesz dziś, Zdzisławie, na raucie u Oktawji? — zapytała, gdy już odchodzić miałem.

— Najpewniej — odpowiedziałem i zapytałem wzajemnie:

— Pozwolisz mi znowu przyjść do ciebie jutro na śniadanie?

— Bardzo cię proszę, ale z tym warunkiem, abys i na obiedzie pozostał.

Szedłem do domu rad z Idalki, z siebie, z pięknej, mroźnej pogody, z całego świata, ale kiedy w domu, pomiędzy czterema ścianami zapytałem siebie: co właściwie jest przyczyną mojej uciechy? musiałem uczynić przed samym sobą upokarzające wyznanie, że jestem zupełnie nierozsądnym. Bo w gruncie rzeczy, jaką wagę posiadać mogło dla mnie postanowienie panny Zdrojowskiej pozostania tu jeszcze przez czas pewien? Że podobały mi się niektóre szczegóły jej powierzchowności, że zajmowała mię jej oryginalność i same nawet dziwactwa miały w sobie coś, co mię do niej pociągało, była to rzecz pewna i nie miałem potrzeby, ani chęci tajenia tego przed sobą; ale znowu były w niej i takie rzeczy, które formalnie mię raziły i najnatarczywiej nasuwały się pamięci wtedy, gdy z nią nie byłem. Jaki naprzykład brak szyku, jaki brak wszelkiego szyku na ulicy! Taki, że nawet ta pewna osóбка, z którą od czasu do czasu widywałem się za kulisami świata, pomimo, że nie Bóg wie jak urodzona i wychowana na chodniku, albo w przedsionku publicznego gmachu, wyglądałaby przy niej na księżniczkę. Ręka też panny Zdrojowskiej nie odpowiadała w zupełności ideałowi ręki kobiecej. Była wprawdzie kształtną, giętką, prawdziwie raso-wą, ale skórę miała nie dość delikatną, nie dość wypielęgowaną... Wiedziałem dobrze, że taki szczegół jest drobny i nawet dla powierzchowności nie miał wielkiego znaczenia, jednak mnie raził i nawet temu rzetelnemu wzruszeniu z jakim prosiłem ją aby pozostała, przeszkodził w dojściu do apogeum. Raz tylko, przed obrazem, wzruszenie moje, przez nią obudzone, było niezmaconem, a przedtem i potem zawsze mię jakiś w niej szczegół, jakiś dysonans ostudzał, raził, zrażał... Ta sama historia, co z tym grymasem w ustach Wincentego! Natura złożyła we mnie jakąś despotyczną potrzebę doskonałego piękna i to jest niewątpliwie zaród cierpienia, z którego jednak miałem prawo być dumnym, bo z najszlachetniejszego pierwiastku pochodził. Jednak cokolwiek myślałem o tem, do jakichkolwiek wyników doprowadzał mię rozbiór własnych uczuć, czułem uciechę na myśl, że dzień jutrzejszy spędzę u Idalki, a zasmuciłem się wtedy dopiero, gdy ubierając się na raut pani Oktawji, pomyślałem, że panna Zdrojowska na nim nie będzie. Zarazem uczułem dla niej pewne, nie wolne od gniewu lekceważenie. Ona, na raucie, co za myśl! Po pierwsze, to nie Sanhedryn, nad którymby obradowano nad kulturą, oświatą i ogółem, a potem, na wzięcie udziału w raucie trzeba zapewne, tak jak i na małe przejechanie się po świecie — zapracować!

### III

W salonie pani Oktawji (piętnaście kroków wzdłuż, trzynaście wszere, meble kryte utrechtem, mebelki fantazyjne, żardinjery z kwiatami, zwierciadła, fortepian, wazy japońskie,

albumy etc. etc. Wszystko w wielkim świetle, rozlewaniem przez lampy i świeczniki.) raut od godziny był rozpoczęty, a Idalka jeszcze nie przybywała, co mię zresztą ani niepokoiło, ani nadzwyczajnie zasmucało, kiedy nagle, z zadziwienia, o mało z krzesła nie spadłem. Idalka przybyła i ze zwykłym sobie wdziękiem wchodziła do salonu, kilkudziesięciu osobami napelnionego, a tuż za nią ukazała się ta dzika. Dzięki wprawie w ekwilibryście, przez pilne gimnastykowanie się nabytej, nie spadłem z krzesła, ale zerwałem się z niego ruchem może nieco naglejszym, niż wypadło, poczem uklonem, powitawszy przechodzące panie, począłem jednej z nich przypatrywać się może nieco baczniej, niż wypadło. Przybyła na raut, to prawda, ale że nie robiła z tego katastrofy, ani nawet ważnego wypadku życia, to było równie widocznem, jak dla znakomitej wagi podobnych zebrani upokarzającym. W zwykłej toalecie swej nie zmieniała ani jednego szczegółu; tylko rękawy sukni zamknęła w długich do łokci rękawiczkach i — koniec! Wchodząc, uczuła się trochę zmieszana i tak jak w przedśionku wystawowego gmachu, rzuciła dokoła parę zupełnie niepotrzebnych i niespokojnych spojrzeń, lecz wkrótce odzyskała pewność siebie i gdy z Idalką, ze wszystkich stron witaną, powoli przechodziła salon, wysmukła i prosta, oryginalna, spokojna, z przyjemnością przyznawałem w myśli, że nie mając go wcale na ulicy, w salonie miała — szyk, coś nawet lepszego niż szyk, bo to, co francuzi nazywają linją, a co jest właściwie brakiem wszelkiej krzywizny i kantowatości w kształtach i ruchach. Może dlatego, może w znacznej części z innych przyczyn, w kilka minut po przybyciu, znalazła się otoczona przez liczne kółko osób, pań i panów, szczególnie panów. Józio, Leon, Staś, którzy już parę razy w mojej nieobecności widzieli ją u Idalki, robili przed nią salamaleki, świadczące, że dla tych, albo innych powodów, rozpoczynali zapisywanie się w poczet jej admiratorów. Nawet pesymista Stefan uśmiechał się do niej tak, jak gdyby widział w niej błakający się jeszcze po świetle promyk nadziei, z którą mniemał, że rozstał się na zawsze. Dwie młode panie, które w tej chwili nie miały na widoku żadnego meksykanina, ani rumuna, ujrzały w niej zjawisko mniej więcej egzotyczne i zaczynały osypywać ją grzecznościami; jedna młoda panna, znana entuzjastka, to i owo już o niej wiedząca, wprost przyklejała się do niej, zapewne jako do wzoru, czy okazji tryumfującej emancypacji kobiet. Ją to wszystko widocznie bawiło, albo cieszyło, bo zdaleka widziałem, że ożywiała się coraz więcej, rozmawiała z coraz większem zajęciem i stopniowo nabierała pozoru osoby bawiącej się doskonale. Jednak i to zauważyłem, że parę razy myśl jej oderwała się od prowadzonej rozmowy, a oczy szukały czegoś po salonie dopóty, dopóki nie spotkały się z moją skromną i na uboczu trzymającą się figurą. Trzymałem się na uboczu, bo uczuwałem instynktową niechęć mieszania się pomiędzy tych, którzy ją otaczali, wiedząc dobrze, iż był tam amalgamat pobudek, z których nie wszystkie były mi sympatycznymi. Tytuł łowcy posagu poczytywałem zawsze za jeden z najohydniejszych tytułów, któremi człowieka obdarzyć może bezczesć, i jak do czegoś brudnego i szpetnego, czułem wstręt do ocierania się choćby o odzież tych, którzy, w mniemaniu mojem, potrochu w tej chwili na ten tytuł zasługiwali. Dlatego, przez dobrą godzinę nie zbliżałem się do panny Zdrojowskiej wcale, trochę tu, trochę owdzie rozmawiając lub milcząc, a pomiędzy coraz liczniejszym zebraniem lawirując w ten sposób, aby dostać się w bezpośrednie sąsiedztwo Idalki, której chciałem zadać pytanie, mające w tej chwili dla mnie wagę do przedmiotu swego nieproporcjonalną. Bo właściwie zapytać miałem o rzecz drobną; a liczne przeszkody przewycięzałem z wytrwałością wielką, aż przewyciężywszy je, stanąłem za krzesłem Idalki i pochylony nad nią, zapytałem:

— Jakim sposobem to się stało? Musiałaś napracować się potężnie!

Odrzuła zrozumiała, o co ją pytam.

— Wcale nie — odpowiedziała śmiejąc się — jestem pracownicą bardzo mierną, ale ty jesteś cudotwórcą!

— Doprawdy? Czy wróciłem kogo do życia?

— Metamorfoza jest życiem w formie odmiennej i — lepszej.

— Nie zawsze lepszej, bo jeżeli gąsienica przemienia się w motyla, to lepiej, ale jeżeli człowiek staje się po śmierci pocztowym koniem, to gorzej. Czy tym razem gąsienica zaczyna dostawać skrzydeł?

— Być może. Byłam zdziwioną. Na parę godzin przed wyjazdem moim z domu, stała się zamyśloną, niespokojną, aż przysłała do mnie i powiedziała, że chce ze mną jechać...

— Sama przez się? Bez namowy?

— Bez namowy, ale nie sama przez się.  
— Komuż lub czemuż przypisać należy wpływ czarodziejski?...  
— Możesz być dumnym; tobie...  
— Jestem skromnym i nie wierzę.  
— Trzeba znajdować się na ostatnim krańcu sceptycyzmu, aby nie wierzyć przenikliwości kobiecej...

— Dla pewnej serji zjawisk może ona istotnie być wyrocznią, ale w tym wypadku znajduję się na ostatnim krańcu sceptycyzmu.

Kłamałem. Przypuszczenie Idalki wydało mi się prawdopodobnem i uczułem w sobie bardzo przyjemną mieszaninę tryumfu i radości. Wyprostowałem się, a nie spostrzegłszy panny Zdrojowskiej na uprzednim miejscu, zacząłem oczyma szukać jej po salonie, aż znalazłem, ale w innym niż poprzednio otoczeniu. Siedziała blisko okna, pod aksamitną draperją firanek, pomiędzy dwoma niemłodymi i nadzwyczaj poważnymi mężami, całkowicie pogrążona w rozmowie z nimi nadzwyczaj poważnej, jak wnosić mogłem z wyrazu twarzy rozmawiających. Nie wiem jakim sposobem, znakomity lekarz-profesor i znakomity prawnik-ekonomista zawiązali z nią znajomość. Zapewne sława tej kobiety mającej i pełnej najlepszych chęci dojsć ich musiała, przedstawili się jej i naprędce złożyli z jej udziałem malutkie posiedzenie Sanhedrynu. Ona zaś, widziałem to z gry jej rysów, czuła się ich towarzystwem daleko więcej jeszcze ucieszoną, niż towarzystwem moich przyjaciół, a raczej doświadczała innego gatunku uciechy. Wtedy była rozweseloną i zabawioną, teraz szczęśliwą i pełną niemal uroczystego uszanowania dla mężów, z którymi zamieniała myśli i którzy zapewne udzielali jej światła. Czy ja wiem? Może ona i na ten raut przybyła, tak jak i do wielkiego miasta, umyślnie i wyłącznie po — światło? Stałem za krzesłem Idalki ze sceptycznym uśmiechem, który jak śpilka kłuł mi usta — i może nie tylko usta, gdy spostrzegłem, że uwaga jej odrywa się od nadzwyczaj poważnej rozmowy i spojrzenie zaczyna z niepokojem szukać czegoś po salonie... Czego? ach, oczy nasze spotkały się na mgnienie oka i pociągnęło mię to ku niej z siłą, której opierać się ani mogłem, ani chciałem. Wziąłem krzesło, umieściłem je pomiędzy tymi, na których zasiadali znakomici mężowie i usiadłem z postanowieniem wzięcia czynnego udziału w naradach małego Sanhedrynu. Łatwiej jednak było postanowić to, niż wykonać.

Rozmowa toczyła się ni mniej, ni więcej tylko o wstręcie i nieufności, okazywanych przez lud nasz z różnych okolic, względem medycyny i jej kapłanów. Prawniki-ekonomiści utrzymywali, że jest w tem dużo winy lekarzy prowincjonalnych, nie dość wzniośle i szeroko pojmujących swoje zadanie; lekarz-profesor, ujmując się za kolegami, zasmucające zjawisko przypisywał tylko brakowi oświaty; panna Zdrojowska, przyznając obu część słuszności, wzbogacała serję przyczyn względem czysto materialnej natury, to jest wielkiem ubóstwem ludu. Gdzież mnie biednemu było brać udział w rozmowie z tak nieskończenie odległej i obcej dziedziny! Mogłem tylko, ze względu na miejsce i chwilę, podziwiać jej osobliwość, słuchać i milczeć. Słuchałem jednak chętnie i nawet nie bez przyjemności, bo lekarz-profesor, człowiek nie tylko uczony, ale światowy i przyjemny, bardzo ładnie i zabawnie opowiedział parę zdarzeń ze swojej praktyki ludowej, a panna Zdrojowska wywdzięczyła się mu wzajemnem opowiedzeniem jakiegoś podania ze swoich okolic, które w formie naiwnej zawierało żywioł wcale zajmującej poezji i malowniczości. O czemkolwiek zresztą mówiła, miała w głosie i sposobie wymawiania wyrazów tę miękkość i słodycz, które mię zachwycaly, a teraz od ulubionego przedmiotu rozmowy, może od radości, którą sprawiało jej rozmawianie z mężami znakomitymi, dostała trochę rumieńców i wielkiego blasku oczu, co rzucało na nią urok, towarzyszący zwykle niezwykłemu podnieceniu, czy natchnieniu. Zauważyłem, że obaj mężowie przypatrywali się jej z zajęciem i przychylnością, widoczną.

— Jakim sposobem zdołała pani poznać lud tak dobrze i zblizka? — zapytał ekonomista.

— Wśród niego wzrosłam i żyję — odpowiedziała, a po krótkiej chwili dodała jeszcze: Uczylam się go poznawać razem z moim bratem...

Umilkła i zamyśliła się. Myśl i wzrok jej uciekły daleko od salonu pani Oktawji, od znakomitych mężów i odemnie, może ku szarzącym w cichem przestworzu wioskom, których wspomnienie wniosła w ten wielkomięjski gwar i wykwint, albo ku mogile tego brata niezapomnianego, który po części uczynił ją taką, jaką była. Siedzącym obok niej

mężom historia tego brata nie była widać zupełnie nieznaną, bo pochyłili głowy i zamysłili się smutnie; ja za to doświadczyłem nagłego przyływu werwy, której dla podobnego przedmiotu nie byłbym nigdy spodziewał się po sobie. Ale z przysłuchiwania się miękkiemu dźwiękowi jej mowy, ze sposobu, w jaki czasem spotykały się nasze spojrzenia, najwięcej może z chwilowej jej ucieczki, jak domyślałem się, na ciche, rozległe pola, lub na mogiłę oddaloną i najdroższą, powstała we mnie taka potrzeba leczenia, że nawet tak poziomy przedmiot podniósł mię w górę. Skrzydeł zaś, na których podlecieć mogłem, dostarczyła mi folklorystyka, gałęź etnograficznej, czy etnologicznej wiedzy, która w nauce zaczęła podówczas wchodzić w modę, a dla mnie całkiem obcą nie była. Wcale niedawno owszem, przeglądałem gruby zbiór pieśni ludowych różnych krajów, wybornymi ilustracjami ozdobiony, i piękność niektórych z pomiędzy nich, poparta pięknymi ilustracjami, utkwiła mi w pamięci. Błysnąłem tedy swoją folklorystyczną wiedzą tak, jak może nigdy jeszcze, wtedy nawet, kiedy o najukochańszej ze sztuk pięknych mówiłem, nie błyszczałem; w pamięci mojej, która wogóle była wyborną, zjawily się dosłownie wiersze, strofy, całe teksty, całe dość skomplikowane wykłady podobieństw i pochodzeń, szczególnie jednak tła krajobrazowe i obyczajowe, na których rozwijała się ta poezja pierwotna, jednak ani głębokości uczucia, ani górnoci fantazji nie pozbawiona. Czułem sam, że byłem świetny, że zaciekawiam, zajmuję nawet znakomitych mężów, że przedewszystkiem pewne szafirowe, srebrnym blaskiem nalane oczy przykuwam do siebie tak, jak już raz dzisiaj przed obrazami przykuwałem.

Wtem, instynktowo prawie uczułem, że w salonie dzieje się coś nowego i obejrzawszy się, rozpoznałem odrazu, że pani Oktawja urządziła dla swoich gości *une petite sauterie*. Nie dla wszystkich przecież; w przyległym salonie widać było przez drzwi otwarte rozstawione i obficie oświetlone stoliki do kart, a gospodarz domu właśnie w tej chwili zbliżył się do znakomitych mężów, z którymi ja i panna Zdrojowska mieliśmy zaszczyt tak długo rozmawiać, proponując im partję nie pamiętam już czego. Prawnik przyjął, lekarz odmówił, tłumacząc się absolutnem niedołęztwem swem w tym kierunku, ale obaj z gospodarzem domu odeszli, pożegnawszy przedtem pannę Zdrojowską ukłonami, w których głębokości malowała się głębokość powziętego dla niej szacunku. Ona im odpłaciła zgrabnemi, niskimi dygami i najpiękniejszymi ze spojrzeń, jakie spłynąć mogły kiedykolwiek z bardzo pięknych oczu kobiecych na niezmiernie zasłużone, lecz dobrze siwiejące i lysiejące głowy. Jednocześnie, pod silnemi uderzeniami któregoś z gości, fortepian rozbrzmiał muzyką walca i dokoła panny Zdrojowskiej sformował się mały tłumik młodych panów, z pomiędzy których najśmielszy, czy umyślnie przez innych wysadzony, pierwszy Broniek Widzki zaprosił ją do tańca. Niezawodnie był wysadzonym; wielka waga, którą ona do jego osoby na wieczorze Idalki tak widocznie przywiązywała, czyniła go najspodobniejszym do pomyślnego zrobienia początku, o którym przypuszczano, że może być trudnym. Był takim rzeczywiście. Bardzo grzecznie odmówiła, mówiąc, że wcale nie tańczy. Rozległy się protesty, z których odgadłem, że Idalka, dla usprawiedliwienia i toalety i innych może niezwykłości swojej krewnej, uwiadomiła wszystkich, że nosi ona jeszcze żałobę po ojcu i bracie. Nikt o tem nie mówił wyraźnie, ale z łatwością można było się domyślać, że takim było mniemanie powszechne i że ten rygorizm przełamać w niej usiłowano.

Ona jednak, nie tłumacząc się z przyczyn, odmawiała uprzejmie, potem coraz chłodniej i manewrowała tak, żeby dostać się do niedalekich drzwi samotnego, jedną lampą z góry oświetlonego gabinetu. Dopomogłem jej w tem, usuwając na stronę parę krzeseł i pod pierwszym lepszym pretekstem odciągając na stronę Józia, który napastował ją najwięcej, poczem zrobiłem zręczny zwrot pomiędzy tańczącymi już parami i do gabinetu za nią wpadłem. Tu, w przyćmionem świetle owiniętej bluszczem lampy, przy stole piętrzącym się albumami, stanąłem przed nią.

— Dlaczego nie chcesz tańczyć, kuzynko?

Patrzyłem na nią oczyma, które płonąć musiały, bo pragnąłem bardzo, aby tańczyła wogóle, aby szczególnie tańczyła ze mną. Zmieszana, nawet spłoszona, spuszczała przed wzrokiem moim powieki i z twarzą nawpół odemnie odwróconą, tłumaczyła się zcicha:

— Odwykłam... nigdy zresztą przyzwyczajoną nie byłam... tak dawno, tak wczesnie ogarnęła mię smutna powaga życia...

— Więc ją z siebie zdejm i odrzuć, jak odrzucać trzeba ciern, gdy się zrywa różę!... Niech groby śpią spokojne i święte w swej nieprzerwanej ciszy! Żywi powinni żyć i poić się czarem życia, który niekiedy bywa wielkim...

Po nawpół odwróconej odemnie i trochę pochylonej nad albumami twarzy, przepłynęła różowa luna.

— Nie mogę... przebac mi, kuzynie... doprawdy nie mogę!...

Ale i we mnie zbudził się upór prawie namiętny; dźwięki walca, które zawsze miały właściwość rozbudzania we mnie erotycznych wzruszeń, czyniły mię zuchwałym i zarazem rzewnym.

— Wsłuchaj się w dźwięki tego walca, kuzynko, wsłuchaj się... chwileczkę... czy samą tylko pustotę i swawolę w nich słyszysz? Czy nie słyszysz także tęsknoty za czemś niedościgłym, a wiecznie ściganem? Czy nie słyszysz liryzmu śpiewającego wieczną jak świat, a zawsze młodą pieśń miłości? Mnie się zdaje, kuzynko, że jeżeli raj był naprawdę rajem, Adam i Ewa musieli już na jego murawie tańczyć walca! Zatańcz go i ty ze mną, tylko raz i tylko ze mną! Dobrze? moja drogo kuzynko! moja śliczna! moja... najmilsza!

Ostatnie wyrazy prawie do ucha jej wyszeptalem. Podniosła nakoniec głowę i spojrzała na mnie wzrokiem, w którym znac było wahanie i wzruszenie, ale który po krótkiej chwili odzyskał swą przezroczystość, i powiedziała zcicha:

— Dobrze.

Ze sposobu, w jaki to powiedziała, i z uśmiechu, który na usta jej wybiegł, poznałem naturę prawdziwie kobiecą, umiejącą poddawać się woli innej i czynić to z prostym wdziękiem dobroci.

Tańczyła dobrze, ale istotnie czuć było, że do tańczenia przyzwyczajoną nie była; przytem, utrudnienie i przeszkodę w tańcu stanowiły dla niej: suknia ciężka i niestosowne obuwie. Po parokrotnem okrążeniu z nią salonu i po umieszczeniu jej na ustronnem nieco krzesle, przez dość długą chwilę przypatrywałem się jej zdaleka, z uczuciem bardzo podobnem do litości. Myślałem, że z największą rozkoszą ukląkłbym przed nią i własnoręcznie zamieniłbym skórzane jej buciki na leciuchne, ozdobne trzewiczki; potem, choćby czarem jakim, surową suknię przemieniłbym w ubiór jasny i świetny. Nakoniec, ciemne włosy rozsypałbym na głowie puszcza loczków i — stałaby się taką, jak wszystkie kobiety jej wieku i położenia w świecie. Byłoby to podobnem do historii o królewiczach, którzy budzili księżniczki ze snu zakłętogo. Biedna! jakież zły czarownik zaklął jej młodość w żalobę, w powagę, w surowość, które nie pozwalają przyozdabiać tego marnego życia takimi nawet kwiatami, na jakie marność jego zdobyć się może! Tu przewinęło mi się po głowie pytanie: czy rzeczywiście chciałbym, aby ona stała się inną niż była? Czy zajmowałaby mię tak, jak zajmuje teraz, gdyby stała się taką jak wszystkie? Po przetańczeniu ze mną tego ubłaganego walca, posmutniała znacznie i na chwilę osamotniona siedziała z rękoma na sukni splecionemi, cicha, jakby obca wszystkiemu, co się dokoła niej działo, nakształt ciemnej linii odrzynająca się od wirujących po salonie postaci w jasnych strojach. W powodzi muzycznych tonów, zmieszanych z szelestem walczących kroków i szmerem wielu naraz przytłumionych rozmów, wydawała się nutą wyosobnioną i smętną, z jakiejś pieśni melancholijnej wypadkiem tu zabłąkaną. Nie, stanowczo zmartwiłbym się bardzo, gdyby nagle stała się taką jak wszystkie!

Przetańczyłem z gospodynią domu lansjera, z paru najładniejszymi w tem zebraniu pannami polkę i uczulem, że oddają się dziś miłym płochościom świata nieszczerze i niezupełnie. Pannę Zdrojowską zabawiał teraz rozmową pewien eksurzędnik wysokiego stopnia, mający w kółku naszym niezaprzeczone prawa obywatelstwa, bo był człowiekiem majątnym, wykształconym, a w dodatku gorliwym organizatorem zabaw filantropijnych i zbieraczem bardzo ciekawych starych gratów i skorup. Ja przynajmniej ceniłem go wysoko i lubiłem bywać w jego domu, bo mieściło się w nim prawdziwe i niemałe nawet muzeum. Wysoki, niegdyś niepospolicie piękny, z siwiejącą brodą i wspaniałą postawą, ten mój dobry znajomy zabawiał pannę Zdrojowską w sposób zapewne bardzo przyjemny, więc też zdziwiło mię, gdy spostrzegłem, że była już nie smutną trochę, jak przed lansjerem i polką, ale znudzoną, tak ciężko znudzoną, że aż oczy jej przygasały, policzki wydłużyły się nieco i szczęki drgały czasem od tłumionego i z całej siły ukrywanego poziewania. Rozśmieszyło mię to spostrzeżenie. O czemże takim nudnem prawil jej ten zupełnie świątly i przyjemny człowiek? Ale tego wieczora nie mogła ona być długo

ani osamotnioną, ani na łaskę i niełaskę jednego człowieka pozostawioną. Pomimo, że po wielokroć odmówiła wszystkim, którzy do tańca ją zapraszali i że, co gorsza, mnie jednego szczęśliwym wyjątkiem raz uczyniła, młodzi panowie otaczali ją i emablowali, o ile tylko pozwalały na to przerwy w tańcach, dość zresztą częste i długie. Teraz także, poważny i wykształcony filantrop i zbieracz ustąpił przed Bronkiem Widzkim, Stasiem i innymi, którzy otoczyli ją kółkiem siedzącym i stojącym, ale z pomiędzy których najchętniej i najżywiej rozmawiała ona z Widzkim, choć już bez uprzedniego i, w stosunku do Bronka, zabawnego uszanowania. Przekonała się już widać, że nie był arcykapłanem, niemniej dla tej duszy, wierzącej w posłannictwa i mającej je w cenie wysokiej, pozostał zawsze poetą i redaktorem dziennika wpływowego. Po dość długim dopiero czasie, pochwyciłem sposobność zamienienia z nią kilku słów sam na sam i zapytałem:

— Czemu, kuzynko, ten piękny, poważny pan znudził cię tak potężnie?

Z figlarnym ognikiem, który czasem przez źrenice jej przelatywał, odpowiedziała:

— Porcelaną.

Aha! Wiedziałem, że ten świątliwy i przyjemny człowiek, gdy weźmie kogo na porcelaną, może czasem doprowadzić do zniechęcenia świata. Z drugiej strony jednak, przedmiot ten był dla mnie samego, nie w tym aż stopniu, ale bardzo interesującym.

— To wcale nie nudna rzecz — porcelana! gdybyś, kuzynko, zapoznała się bliżej z odcieniami...

Podniosła na mnie przerażone oczy i z cicha, monotonicznie zarecytowała:

— Saska, francuzka, hiszpańska, szwajcarska... saska, sewrska stara, sewrska nowa...

Nagle splotła na piersi ręce i z tłumionym śmiechem wymówiła:

— Kuzynie, czy podobna, aby człowiek mógł sobie stwarzać bożka z porcelany?

— Kuzynko — odpowiedziałem z powagą — uczyni pilny rachunek sumienia: czy wypadkiem sama nie stworzyłaś sobie bożka — z gliny?

Zaciekawilo ją to.

— Owszem — rzekła — ale dopomóż mi, kuzynie, bo nie mogę sobie przypomnieć... Jakże się nazywa... ten mój bożek?

— Ma kilka imion: społeczeństwo, ogół...

— Dlaczegoż mówisz, że jest — z gliny?

— Bo pierwszego człowieka Pan Bóg ulepił z gliny, więc i zbiór wszystkich jego potomków jest niczem innym, tylko gliną. Czyń co chcesz, miłuj jak tylko możesz, spłoń choćby na jego ołtarzu z duszą i ciałem, a nie dokonasz, aby stała się bóstwem doskonale pięknym, szczęśliwym i — nieśmiertelnym.

Spoważniała, ściągnięte brwi utworzyły na czole jej małą zmarszczkę.

— To prawda, kuzynie — po chwili rzekła z wolna — to prawda, że niepodobna uczynić mego bożka ani doskonale pięknym i szczęśliwym, ani nieśmiertelnym, ale myślę, że kto bez takich bożków żyje, żyje — bez Boga!

Podrażniony, odpowiedziałem:

— W takim razie, jedną istotę ogromną i doskonałą, ale bardzo surową, zamienia sobie na wiele drobnych i niedoskonałych, ale miłutkich, powabnych, przystępnych...

— Zawsze to samo! — szepnęła.

— Co? — z przekorą zapytałem.

— To, za co przed paru dniami prosiłeś o absolicję.

W tej chwili zaproszono nas do wieczerzy. Pod wpływem niemiłego uczucia, ociągałem się z podaniem jej ramienia i uprzedził mi w tem Bronka, którego kilku innych uprzedzić chciało i tylko nie zdołało. Zły i chmurny zasiadłem do wieczerzy i nie mogłem tego usposobienia pozbyć się nawet wtedy, gdy najuprzejmiej i najnieustanniej prowadziłem z dwiema sąsiadkami memi najprzyjemniejszą pod słońcem konwersację. Więc, według jej zdania, żyjemy bez Boga! Cóż tak złego czynimy? Czy to, że lepimy sobie bożków z porcelany i innych, równie nadobnych a kruchych materiałów? Cóż to komu szkodzi? Jeżeli rozsypują się nam w rękach, albo i nudzą czasem śmiertelnie, nasza tylko bieda! Gdy zaś kto inny chce owijać się żalobnymi krepami, a młodość i życie poświęca najprozaiczniejszym w świecie rzeczom, nie przeszkadzamy! Jest przecież na świecie wolność wyboru, różnorodność gustów i podział pracy!... A ona? czy jej nasze bożki nie zaczynają pociągać ku sobie? Porcelanowy znudził ją, to prawda, ale inne zdają się występować do walki z bóstwem ogromnym i surowym.

Już jej dowcipy Bronka nie sprawiają, tak jak przed dwoma dniami, bolesnego zawodu; bawi się, owszem, niemi wybornie przez połowę trwania wieczery, a przez drugą połowę z uwagą słucha tego, co on mówi, nie wiem o czym: może o teatrze, którego jest dobrym znawcą. Do ich rozmowy mieszają się często ci, co siedzą obok, i ci, co siedzą z przeciwnej strony; jest ona punktem, na którym skupia się uwaga pewnej części towarzystwa, spostrzega to i uczuwa — nie bez uciechy... Jeszcze dni i wieczorów kilka, a zakłeta księżniczka obudzi się i uderzy czołem przed — bożkami, którym dotąd okazuje wspaniałą wzdargę!

Po wieczery, gdy tylko zobaczyłem, że Idalka i jej towarzysza gospodynie domu żegnać zaczynają, wyszedłem do przedpokoju, aby pomódz tym paniom włożyć futra i wsiąść do powozu. Jakże! były to przecież moje krewne, z których u jednej bywałem prawie codziennym gościem! Na widok futerka panny Zdrojowskiej, doświadczyłem znowu czegoś nakształt litości. Idalkę, w pyszne tumaki owiniętą, ktoś inny sprowadzał ze schodów, ja mizernemu futerku i zarumienionej twarzy, ślicznie ze zwojów ciemnego szalika wyglądającej, ramię podałem.

— Nie potrzebuję cię zapytywać, kuzynko, czy jesteś zadowoloną z dzisiejszego wieczoru... widać to dobrze...

— Ach, tak! — zawołała; wszyscy byli dla mnie tak dobrzy i uprzejmi...

A po chwili zniżonym trochę głosem i z przejściem się dodała:

— Z odległych stron przybyła, nieznajoma i obca, znalazłam tu jednak prawdziwie braterską życzliwość... i to mię tak cieszy!

Ciekawie na nią spojrziałem. Tak, cieszyła się z okazywanej jej braterskiej życzliwości! Tym bożkiem, którego urok działał na nią tak widocznie, nie była żadna z miłych płochości tego świata — ale braterska życzliwość! Przed drzwiczkami powozu zdjąłem rękę jej ze swego ramienia i do ust ją podniosłem. Tak, niekiedy, po wyjściu z cieplarni, napełnionej świetnemi barwami i odurzającą wonią wspaniałych roślin, rozczulamy się na widok pełnego kwiatu, który w blasku słońca świeci kroplą rosy...

Braterska życzliwość! O, duszo, świeża jak kwiat polny, świecący kroplą rosy! Gdybyś spróbowała przybyć tu w postaci kopcieszka, z nazwiskiem nieznanem i bez majątku!

Zwłaszcza bez majątku! Nawet nie dla tego, abyśmy wszyscy stanowili bandę łowców posagu. Wcale nie; są pomiędzy nami tacy, którzy z powodu posiadanej niezależności majątkowej, zarówno jak charakteru, nie mają skłonności do takich rzeczy i nie mogą być o nie posądzeni. Zresztą, ludzie żonaci i kobiety okazują ci także braterską życzliwość. Tych niepodobna już nawet posądzać o interesowność. Ale poprostu, ponieważ życie nasze może być przyjemnem tylko przez bogactwo, więc z wyrozumowaniem lub instynktowo oddajemy cześć temu, co sprawia, że nie jesteśmy nędzarzami. To jedno; a drugie: estetyka. Prawie niepodobna, aby biedak był doskonale estetycznym. Więc bogactwu zawdzięczamy, oprócz przyjemnej i wygodnej, jeszcze wzniosłą stronę życia. Bożek ze złota — nic więcej! dla jego ulubieńców w znacznej części wypadków instynktowo i bezinteresownie uczuwamy — braterską życzliwość i nikt, przypuszczam, o niewdzięczność względem niego, albo o brak loiki oskarżać nas nie może! Tylko — ja, z temi myślami wchodząc do swego mieszkania, czułem się smutnym; nie w złym humorze, ani pod wpływem nieokreślonej tęsknoty, ale poprostu i szczerze smutnym. Z zapalonem cygarem siadając na otomanie myślałem, że błogą jednak dla tego, kto ją posiada, musi być wiara w ludzi, w powołanie, w cele życia i tym podobne idylle i archaizmy! Ale cóż robić, skoro właśnie cechą człowieka wyższego czasów naszych jest skłonność do analizy i rozczarowań, które tę wiarę niszczą! Wieczny dysonans, ścigający natury subtelne i zdolne do podnoszenia się na wyżyny myśli choćby trujących!

Nazajutrz, nieco później, niż zamierzałem — bo opóźniło mię oddanie paru niezbędnie obowiązkowych wizyt — wchodząc do przedpokoju Idalki, zobaczyłem futro mężkie i zapytawszy lokaja do kogo należy, z niejakiem zdziwieniem usłyszałem nazwisko znakomitego lekarza-profesora. U Idalki nie bywał wcale, przyszedł tedy do panny Zdrojowskiej. Pomyślałem, że jest to ze strony człowieka sławnego i niezmiernie zajętego, dowód wysokiej czci i łaski; nie wiedziałem jeszcze, że był to także interes, ale z dziedziny — wzniosłych. Siedzieli naprzeciw siebie, oboje bardzo poważni, i po przywitaniu, wtajemniczywszy mię pokrótce w treść rozmowy, kończyli ją w obecności mojej, a w nieobecności Idalki, która zapewne zajęta była zmienianiem toalety rannej na obiadową. Rzecz



sza o osiedlenie się w okolicy panny Zdrojowskiej młodego lekarza, czującego powołanie do przyjemności i zajęć wiejskich. Na wczorajszym raucie panna Zdrojowska zapytywała profesora, czy podobne indywiduum możliwym jest do znalezienia, a on, zapewne po namyśle, przybył dziś do niej, w celu przedstawienia jej jednego z uczniów swoich, jemu najmilszych, a pod tym względem najwięcej obiecujących. Jako człowiek praktyczny, rozpytywał się pilnie o warunki moralne i materialne przyszłej egzystencji protegowanego młodzieńca, a ona tłumaczyła i opowiadała mu te warunki obszernie i także praktycznie. Było tam pewne miasteczko, o kilka wiorst od Krasowiec (tak nazywały się jej dobra) położone, w którym młody lekarz mógłby zamieszkać i znaleźć praktykę, wprawdzie niewielką; były takie i takie dwory, o tyle i tyle wiorst czy mil od tego miasteczka odległe etc. etc. Słuchałem z zajęciem wcale miernym i już dla rozrywki, zarówno jak dla kontenansu zaczynałem przrzucać wzięte ze stołu album, gdy zajęcie się moje wzrosło. Usłyszałem, że miasteczko i nieliczne dwory mogłyby młodemu lekarzowi dostarczyć środków egzystowania tak skąpych i niepewnych, że odstraszyłyby nawet dość surowego anachoretę, lecz, że panna Zdrojowska ma zamiar temu niedostatkowi zaradzić, przez ofiarowanie przyszłemu zbawcy zdrowia jej bliźnich, corocznie wypłacanej sumy... Suma była, jak dla osoby pojedynczej, znaczną i wszelkie przeszkody do egzystowania w tej okolicy tego lekarza stanowczo usuwała. Będzie to zawsze egzystencja mniej więcej anachoretyczna, ale bądź co bądź, dla młodzieńca czującego powołanie odpowiednie — możliwa. Do ofiary swojej przywiązywała, naturalnie, warunek, aby młody lekarz, stale i na wezwanie odwiedzał zarówno dwór w Krasowcach, jak sąsiadujące z nim wioski, których liczbę i odległość od miasteczka z akuratnością wzorową wymieniła. Pomimo akuratności i praktyczności, które w całym traktowaniu sprawy tej okazywała, rumieniła się chwilami onieśmielona czy zmieszana, aż zapragnęła snadź, uniewinnić się z postępuku swego i cały ciężar jego na czyjś barki zrzucić, bo zcicha tłumaczyć się zaczęła:

— Spełniam wolę brata mego, który mówił nieraz, że jest to...

Ale profesor, którego rysy w zawodowej pracy zastygły, tajały i promieniały, skończyć jej nie pozwolił. Wstał, z głębokim ukłonem rękę jej pocałował i w sposób bardzo ładny powiedział kilka słów zupełnie stosownych, a jak mi się zdawało, nawet rozrzewnionych. Interes był skończony i po chwili zostalibyśmy już we dwoje, gdyby, jednocześnie z wyjściem profesora, do salonu nie weszła Idalka. Weszła w toalecie domowej, niby szarej, niby błękitnej, pełnej opięć, podpięć, przypięć, jak zwykle świetna, ale niezwykle wesoła i zaraz zaczęła, że książe Karaorgesku był już dziś u niej, że wybornie mówi po francuzku, jest bardzo interesującym, cerę ma śniadą, oczy i włosy jak noc czarne, głos tylko za gruby i wzrost za niski. Wolałaby, aby był wyższym i mówił melodyjniej, ale trzeba wiele przebaczyć synowi kraju mało znanego. Za to pod względem układu i znalezienia się nietylko nic mu zarzucić nie może, ale dziwi się, że syn kraju mało znanego jest pod tym względem tak bez zarzutu *dobrze*. Ma nawet w sobie coś poetycznego, w tem co mówi pobrzękuje struna liryczna, powstała zapewne wśród nieszczęść. Jutro spotka się z nim w teatrze i wyobraża już sobie wrażenie, jakie zrobi, gdy książe Karaorgesku do jej łoża wejdzie. Wtedy i nam go pokaże, to jest mnie i Sewerce, która, na nieszczęście, w czasie interesującej wizyty w domu nie była i ze sposobności poznania księcia Karaorgesku nie skorzystała. Potem znowu tak się złożyło, że Idalka nie mogła być obecną przy wizycie Sewerce oddawanej, czego bardzo żałuje, bo profesor jest człowiekiem nadzwyczajnie szanownym i zasłużonym, ale kiedy przychodził, zaczynała właśnie zmieniać toaletę.

— A twoje marzenie, Sewerko, czy będzie urzeczywistnionem? Bo wiesz, Zdzisiu, ona o takich rzeczach marzy. Ona jest zdolną przy świetle księżycy, albo na raucie marzyć o wiejskim lekarzu! Słyszałam dziś jak przez sen, głosem rozmarzonym wołała: „Przybądź, o przybądź, wiejski lekarzu!” Trzeba, Zdzisławie, abys jej przyniósł do przeczytania powieści Balzac’a: *Le médecin de campagne*. Czytałam ją, bardzo ładna! Cóż, Sewerko, czy będziesz miała swego wiejskiego lekarza?

Panna Zdrojowska nie gniewała się wcale za żarty Idalki i z uśmiechem odpowiedziała:

— Ty, Idalko, nie masz takich marzeń, bo mieszkasz w mieście, albo zagranicą. Gdybyś mieszkała na wsi...

— Nie chcę w ziemie mieszkać na wsi! Och, zima na wsi! Próbując tej sielanki, doświadczyłam paru ataków czarnej melancholji i to mię od niej na zawsze odstręczyło. Książe Karaorgesku mówił, że zima w Rumunji...

Tak były zajęte i ucieszone każda swoim, że ja zdawałem się dla nich nie istnieć, co mię ubodło, bo wcale nie przywykłem do odgrywania pomiędzy paniami roli zaniebanego kolka w płocie. Że Idalkę nic już w świecie, oprócz księcia Karaorgesku, nie obchodziło, to mi było dość obojętnem; ale zamyślenie, w które popadła panna Zdrowska i którego przedmiotem była, naturalnie, umowa z profesorem, przed chwilą zawarta, drażniło mię i gniewało. Nie miała dziś dla mnie ani jednego dobrego spojrzenia, albo słowa. Machinalnie przerzucając kartki albumu, uśmiechała się do swoich myśli, z których, naturalnie, moją marną osobę wygnać musiał bez śladu — lekarz wiejski! Gdy więc Idalka, dla wydania jakiejś dyspozycji, wybiegła z salonu, odezwałem się trochę porywczo:

— To co robisz, kuzynko, dla świata i ludzi jest bardzo pięknem, ale czy nie mogłabyś ograniczyć się na poświęcaniu swoich pieniędzy, a poświęcanie duszy i życia takim rzeczom polecić — panu Bosackiemu...

— Komu? — zapytała, podnosząc z nad albumu oczy, które błysnęły.

— Przepraszam... pamięć nie dopisuje mi czasem... Panu Bandurskiemu.

— Komu? — powtórzyła.

— Boże! więc panu Apsikowskiemu... słowem, swojemu rządcy...

Trochę gwałtownym ruchem zamknęła album i wyprostowała się.

— Mój rządca jest synem kobiety, którą kocham, był przyjacielem mego brata, uważam go też za swego przyjaciela i proszę cię, kuzynie, abyś nie czynił z niego ofiary swoich złych przyzwyczajęń.

Mówiła, jak zwykle, zcicha, ale prędzej niż zwykle i mówiąc patrzyła na mnie zgóry. Tak, patrzyła na mnie zgóry, jak podówczas na Bronka, kiedy spostrzegła, że z niej żartuje. Po raz drugi widziałem ją obrażoną, tylko że podówczas zemściła się za żarty — żartem, a teraz lzy zakręciły się w jej oczach, spuściła głowę i wpatrzyła się w otwarte album. Mnie ogarnął żal i wstyd, szczególnież żal, ale taki, że pierwszą moją chęcią było upaść przed nią na kolana i przeproszać, ale nie wypadało, więc powstrzymałem się, tylko nie mogłem powstrzymać żywego ruchu, jakim przysunąłem się do niej, mówiąc:

— Przepraszam cię, kuzynko, serdecznie przeproszam... jestem zły, płochy, marny i wszystko w tym rodzaju, tylko nie bierz mię za idjotę i nikczemnika! Kiedy rozmawiałeś z profesorem, byłem wzruszony i twoje uczucia, dążenia — obudziły w głębiach mojej istoty, w takich głębiach, o których sam może nie wiedziałem, albo ich w sobie nie czułem, echo jak najsympatyczniejsze. Wiem, że sercem i umysłem zamieszkujeś sferę szlachetną i wzniosłą, żałuję czasem, że sam przebywać w niej nie mogę...

— Dlaczego nie możesz? — przerwała, nie podnosząc z nad albumu oczu jeszcze wilgotnych.

Ogarnęło mię zamyślenie, wśród którego zapytywałem siebie: dlaczego? dlaczego? aż wydało mi się, że znalazłem odpowiedź.

— Moja droga kuzynko — zacząłem — dlaczego jedna róża jest białą, a druga różową? Dlaczego skowronek śpiewa inaczej, a słowik inaczej? Dlaczego ryba może żyć tylko w wodzie, a wszelkie inne stworzenie w niej umiera? Prawa natury, kuzynko, różnice indywidualów i gatunków...

Teraz podniosła twarz z nad albumu i patrzyła na mnie po swojemu, przenikliwie i uważnie.

— Ależ nie — odpowiedziała po chwili — róża, skowronek i ryba muszą być takimi, jakimi są, a człowiek ma wolę i może...

— Kiedyż-bo — przerwałem zcicha — niektórzy utrzymują, że on nie ma woli i tak jak róża, skowronek, ryba, podlega prawom natury i działającym na niego wpływom.

Zamyśliła się.

— Tak — odpowiedziała — wpływy są rzeczą bardzo ważną, wiem o tem z doświadczenia... ale... ale... zdaje mi się, kuzynie, że jest na świecie taka moc cudowna, która może dać człowiekowi wolę wielką...

Piękne oczy swoje wzniosła w górę i z rozkoszą patrzyłem na srebrne światła, które im nadawały blask czysty i zachwycony.

— Jakaż to jest ta moc cudowna, kuzynko? — pochyłony ku niej zapytywałem — powiedz mi, jak się ta moc nazywa?

Z bladą falą rumieńca na twarzy i czole, ale bez wahania odpowiedziała:

— Miłość, kuzynie.

— Miłość! — powtórzyłem — łatwo to powiedzieć, ale tyle jest na świecie miłości, ile serc! Kogoż ty kochasz, kuzynko? Co ty kochasz? Domyślam się tego mniej więcej, ale nazwij mi po imieniu przedmioty tej miłości, która daje ci wolę... Dla pożytku biednego grzesznika, który w tej chwili myślał u stóp twoich klęczy, powiedz...

— To są rzeczy bardzo proste — zcicha mówić zaczęła. Kocham nadewszystko pamięć mego dobrego, szlachetnego, biednego brata, i to, jak mi się zdaje, było pierwszym powodem, że mocno i na zawsze pokochałam wszystko, co dla niego było drogiem i świętem; kocham ludzi, każdą robotę dla ich korzyści i przyszłości. Kocham jeszcze dom mój rodzinny, stary, samotny, i naturę, która go otacza, a w każdej porze roku i dnia jest dla mnie pełną piękności... Kocham jeszcze... Tu przez rzewność, jak przez mgłę promień słońca, przebijać się zaczął na jej twarzy uśmiech.

— Kocham jeszcze bohaterские wspomnienia, które pogodą napęlniają duszę mego ślepego dziadunia, moją kochaną nianię Bohusię, taką sobie prostą kobietę, która przecież, gdy byłam okropnie zrozpaczoną i nieszczęśliwą...

Tu z łoskotem otworzyły się drzwi od dalszych pokojów, do salonu jak bomba wpadł Arturek i bez najmniejszych ceremonij wskakując na kolana cioci Sewelki, w niebogłosy wrzeszczał:

— Książę Katakesek był u mamy, a ciocia Sewelka nie widziała księcia Katakieska, a ja widziałem, bo my z panną Kłalą trochę drzwi otwozili i patsiali na księcia Katakieska... taki głuby, głuby i taki cialny...

— Czy uwierzysz, Zdzisiu — zawołała wchodząca Idalka — że nawet ten malec zainteresował się księciem Karaorgesku! Nie daje mi spokoju, tak ciągle rozpytuje się o niego...

I biorąc z kolan panny Zdrojowskiej malca, a sadzając go na swoich, z tryumfem dodała:

— Prawda, że rozropny? nad wiek!...

— W takim razie — uśmiechnęła się panna Zdrojowska — Arturek rozropniejszym jest odemnie, bo mnie książę Karaorgesku zaciekawia bardzo średnio...

— I mnie także — odezwałem się.

— Rzadki i osobliwy wypadek! — zauważyła panna Zdrojowska.

— Jaki? — zapytałem.

— Że nasze usposobienia, moje i twoje, kuzynie, są zgodnemi...

Ukłuło mię to powiedzenie. Czy ona myśli, że ja i ona znajdujemy się na tak już zupełnie przeciwnych biegunach ziemi? Idalka zaś odezwała się najniewłaściwiej:

— Nie wierz mu wcale, Sewerko, gdyby to była księżniczka, albo jeszcze lepiej księżna Karaorgesku, przepadałby z ciekawości...

Byłem wściekły na Arturka, że wpadł nie w porę, i na Idalkę, za żart, który w tej chwili sprawił mi przykrość. Z przerwanej przez nich obojga rozmowy, pozostało mi w duszy echo jakby pieśni pięknej, której umilknięcie budziło we mnie żal.

Ochłonąłem przecież wkrótce: panna Zdrojowska z prawdziwą dobrocią przebaczywszy mi moje... złe przyzwyczajenia, odzyskała swoją żywość i wesołość.

Bo była żywą i wesołą, tylko że wszystko, od cichego, równego chodu, do sposobu mówienia, śmiania się i poruszania, było w niej cichem i równem, zupełnie pozbawionem tego *frou-frou* słów i sukien, które czyni kobietę podobną do świetnego motyla albo ptaka. Ona nigdy nie bywała świetną. Nikomu też nie mogło przyjść do głowy nazwać ją motylem albo ptakiem. Przyćmiewało ją i wszystkie jej poruszenia powściągało coś wewnątrz niej istniejącego: może ta wola i miłość, o których mówiła, że wyrosły — z grobu, może cisza i samotność, których zapewne w swoim rodzinnym domu napiała się tak do dna, że świat gwarny i błyszczący mógł rozegrać i roziskrzyć tylko ich powierzchnię? Przy obiedzie zrobiłem spostrzeżenie dość ciekawe. Po raz pierwszy mała szwajcarka zwróciła moją uwagę i po chwilowej obserwacji przekonałem się, że nie była takim zupełnie *rien du tout*, za jakie ją dotąd miałem. Zazwyczaj, nikt przy stole nie zwracał do niej nietylko mowy, ale nawet oczu, tak zupełnie, jak gdyby była pustą karafką. Postępowanie to nie pochodziło ze złego serca, albo umyślnego lekceważenia, owszem, Idalka była nawet dla niej dobrą, dawała jej częste podarunki i w zaciszu domowym gawędziła z nią niekiedy, tylko, że nie czuliśmy ani potrzeby, ani ochoty robienia z nią jakichkolwiek ceremonij.

Nie pociągała, ani zaciekała nas niczem, rola jej w świecie była niezmiernie skromną; więc też, nie budząc najmniejszych złych uczuć, nie budziła także najmniejszej braterskiej życzliwości. Zresztą, z rzadkimi wyjątkami, spotykałem ją u Idalki tylko przy stole, gdzie też milczała zawsze jak karafka i miała wogóle minę schwytej, zbiedzonej i głupiej. Tego dnia usłyszałem ją po raz pierwszy mieszającą się do rozmowy i zobaczyłem śmiejącą się i ożywioną. Nie była wcale ani tak brzydką, ani tak głupią, jak mniemałem. Powiedziała nawet parę rzeczy wcale rozsądnych i mała, szczupła, z różowym owalem twarzy, w szarej sukience, na którą opadały błyszczące loki, przypominała wdzięczne figurki kobiece na górsko-pasterskich obrazkach. Zkąd pochodziła ta metamorfoza i to także, że córka szwajcarskiego oberżysty często i na długo wznosiła swoje błękitne, sentymentalne oczy ku wyższej od niej wzrostem dziedzicze Krasowiec? Widać było, że jej to właśnie obecność obdarzała ją śmiałością, rozsądkiem i wcale ładnym wdziękiem górsko-pasterskim. Przypominałem sobie chwilę, w której, przez drzwi niedomknięte, widziałem dziedziczkę Krasowiec, siedzącą na kanapce obok córki oberżysty i przyjaźnie rozmawiającą z nią wtedy, gdy w salonie gwarzyło i błyszczało zajmujące i błyszczące towarzystwo. Więc ty, o idealistko, swoją miłość rozciągasz aż na córy Helwecji, które na zimnej obczyźnie piastują nasze filarki, a twoja wola biegnie wszędzie, gdziekolwiek dostrzeże jakąkolwiek figurkę niepozorną i zbiedzoną! Przy tym wykrzykniku jeden człowiek we mnie trochę drwił, a drugi, do ust koralowych, które w tej chwili cicho lecz serdecznie śmiały się z dwudziestego najmniej zjawienia się przy stole księcia Karageorgesku, mówił z rozrzwiniem: „dobra! dobra!” Wtedy też przysłuchałem się francuzczyźnie panny Zdrojowskiej, bo dość dużo rozmawiała przy stole ze szwajcarką. Cóż? znać było, że języka tego uczyła się i znała go nawet dobrze, bo mówiła nim poprawnie, ale, jak bywa zwykle z tymi, którzy mowy jakiejś rzadko używają, brakowało jej czasem wyrazów i akcentowi można było coś zarzucić. Spostrzeżenie to znowu mi ją trochę zepsuło, ale na krótko, bo pomyślałem, że jest to jednak felerek łatwy do poprawienia. Pewien dłuższy czas przebywania w świecie, kilkadziesiąt lekcji konwersacji, usunęłyby go bez śladu. Nie mogłem jednak obronić się od chwilowego zastanowienia nad tem: jakim sposobem osoba tak urodzona i majątna, może mówić po francuzku niewprawnie i z akcentem niezupelnym doskonałym?

Po obiedzie Idalka poszła pisać listy. Wogóle dnia tego miała ciągle przyczyny do wydalania się z salonu, a ze spojrzeń jej i całego zachowywania się odgadywałem w niej myśl tak zajmującą, że nawet z księciem Karageorgesku o pierwszeństwo walczyć zaczynała. Domyśliłem się odrazu, co to było. Ogromnie lubiła widok zbliżania się dwojga serc, łączenia się w jeden dwu losów, a cóż dopiero, gdy to zbliżanie się i łączenie mogło być po części dokonywanem jej własnymi, białymi łapkami! Widywałem już ją w podobnych wypadkach, wzruszoną jak przy czytaniu ładnego romansu i promieniejącą zadowoleniem z dokonanego dobrego czynu. Poszła tedy i teraz pisać listy; ja zaś rozmawiałem z panną Zdrojowską. Mówiliśmy zrazu o tem i owem, aż nieznacznie skierowałem rozmowę ku rzeczom osobistym i wkrótce dowiedziałem się o swojej towarzysze kilku szczegółów bliższych. Dowiedziałem się teraz napewno, że ma skończonych lat dwadzieścia trzy i że w jej samotnym domu mieszka, oprócz niej, spora gromadka osób, które gdy wymieniała, pomyślałem, że samotność domu jej wydaje mi się nieosobliwą i zamieszkująca go kompanja takąż. Nie powiedziałem jej tego, naturalnie, i nie wiem już pod jakim wpływem, zacząłem wzajemnie opowiadać o swoich stosunkach rodzinnych, szczególnie o siostrze dużo odemnie starszej, która, w braku matki wcześniej zmarłej, prawie mię wychowała i do której byłem rzetelnie przywiązany. Ojca straciłem był niezbyt dawno, ale pomimo względnej świeżości wspomnienia, długo mówić o nim nie miałem ochoty, przez wzgląd w mojem pojęciu słuszny, że o umarłych, zwłaszcza ojcach, mówić należy *aut bene, aut nihil*... Spieszę przecież dodać, że nie miałem do zarzucenia ojcu memu nic poważnego, ani, broń Boże, hańbiącego; owszem, mógłbym nawet szczyć się i cieszyć wielu jego zaletami, jako to: wykształceniem umysłowem, które posiadał, prawdziwie dżentleńską ogładą, umiejętnością zachowania w całości majątku, pomimo trudnych warunków czasu i miejsca. Tylko przy wszystkich tych niezaprzeczonych zaletach, był on doskonałym egoistą i to właśnie, zatruwszy mi nieco wiosnianą porę życia, a może i co innego jeszcze, zniechęcało mię do szerokiego i czułego o nim mówienia. Co innego wcale siostra, kobieta prawdziwie dobra i miła, która, doznawszy nieszczęść domowych, na mnie

przełała całą czułość swego tkliwego i wybrednego serca. Gdy byłem dzieckiem, pieściła mię i prawie sama kierowała moim wychowaniem; dorósłszy, stałem się jej ideałem, nie przestając być pieśczochem, tak jak ona, z posiwiałymi włosy i wędznącą twarzą, nie straciła dla mnie uroku najpoufalszej i pełnej najmiłszego wdzięku przyjaciółki. Mieszkając w sąsiedztwie mego majątku, strzeże ona domu mego jak oka w głowie, porządkuje go i przyzdabia na każde moje przybycie, poczem znaczną część czasu słodzi w nim moją samotność, co prawda, nigdy długo nie trwającą. Bez tej kochanej siostry czułbym się był nieraz w dzieciństwie nieszczęśliwym, a potem samotnym. Ona to przyczyniła się do wyrobienia tego co jest we mnie dobrem i światłem i, jakiegokolwiek zresztą strony złe czy dobre przeważają we mnie, w znacznej części jestem jej dziełem. Do wielu rzeczy potem świat mógł mię rozczarować, ale nigdy do niej, wiele w moim sercu zgasić lub nadweńczyć, ale nigdy przywiązania i wdzięczności, które mam dla niej. Tak mówiłem, sam nie wiedząc dlaczego zebrało mi się na tę spowiedź z uczuć bardzo prawdziwych, ale których wywozić na rynek nie miałem zwyczaju. Teraz, ten dźwięk duszy dlatego może wydobywał się na zewnątrz, że miał najlepszą i najczulszą pod słońcem słuchaczkę. Naturalnie, jakżeby historia brata i siostry mogła nie wywołać w jej sercu sympatycznego echa? Gdy umilkłem, z zamyśleniem zapytała:

— Dlaczego, kuzynie, nie mieszkasz stale na wsi?

— A dlaczego, kuzynko, miałbym tam mieszkać?

Lubiłem niezmiernie budzić w niej zdziwienie takie, z jakim teraz na mnie spojrziała.

— Ależ — zaczęła po krótkim namyśle — dlatego, że tam jest naturalne twoje zadanie, że tam mógłbyś wywierać mnóstwo najlepszych wpływów, że tam mógłbyś skupić siły i użyć czasu dla jakiegoś określonego...

— Oj, oj, oj, kuzynko — przerwałem — bądź miłościwą grzesznej duszy mojej! Wszystkiego tego jest dla mnie stanowczo zawiele! Nie podźwignę! Ach, nie gniewaj się tylko! Będę już mówił serjo. Otóż, moja droga kuzynko, mówiąc serjo, jestem dzieckiem cywilizacji, tak nawykłem do pieśczoł i uroków swojej matki, że niepodobna mi obchodzić się bez nich. Potrzebuję wrażeń, które wprawiają w ruch myśl i uczucie, a także tych przyjemnostek drobnych zapewne, jeżeli chcesz, przelotnych i marnych, ale których suma znakomicie dopomaga do cierpliwego znoszenia marnego życia. Tego wszystkiego pozbawiony a zatopiony w stojącej wodzie, stałbym się prędko zgniłą rybą.

Nie odpowiadała, a ja zacząłem obszernie jej tłumaczyć, że są na świecie usposobienia, przyzwyczajenia, gusta, których ona nie miała jeszcze czasu i sposobności obserwować, a które jednak posiadają prawo bytu i rządzą ludźmi z wielkim niekiedy despotyzmem. Jest to historia róży już nie białej i różowej, ale polnej i szczepionej, albo także zwykłej krajowej śliwy i brzoskwini. Pierwsze wznoszą się wszędzie i zwyczajnie opierają się mrozom i slotom, drugie są produktami klimatów gorących i kultury wyższej, a przesadzone na pole samotne lub w ustronia leśne, ginąć muszą albo dziczeć, więc tracić całą nadwyżkę swojej wartości nad dzikimi płodami natury. Społeczeństwa ludzkie są jak rośliny, których korzeń ciemny i szorstki tkwi w ziemi, a korona buja w powietrzu barwna i świetna. Tak jest wszędzie, tak musi być i u nas. Nierozsądnym zapewne jest ten, kto zaprzecza użyteczności korzenia i nie udziela mu odpowiednich starań, ale niesprawiedliwym ten, kto koronie odmawia nietylko prawa bytu, ale wysokiego, w ogólnej ekonomice życia, znaczenia. Sprowadzenie wszystkiego do użyteczności jest pojęciem ciasnym i poziomem. Jeżeli użyteczność przedstawia w całokształcie bytu żywioł najcenniejszy, powinniśmy wszyscy powrócić do czasów pasterskich i zająć się hodowaniem i dojeniem kóz. Wieki przecież pracowały na wytworzenie takiego kapitału nagromadzonej już pracy, który pewnej przynajmniej garści ludzi udziela istnienia jak najbardziej od grubej materji, a jak najmniej od ideału swobody i piękności oddalonego. Na tem też zależy cały dorobek cywilizacji i to jest najwidoczniejszym jej wyrazem.

Tak mówiłem i czułem sam, że słowa miodem z ust mi płynęły. Widziałem dobrze, że sprawiam jej przykrość, ale to mię do wypowiedzania przekonań swoich nie zrażało. Odgrywanie przed nią fałszywej roli po prostu nie przychodziło mi do głowy, a gdyby przyszło, odrzuciłbym je jako rzecz szpetną i przeciwną mojemu pojęciu o honorze; lecz oprócz tego, porywał mię duch prozelityzmu, czułem ogromną chęć nawracania tej duszy, dobrowolnie odszczepiającej się od cywilizacji. Czułem też i widziałem, że to, co mówię, posiada dla niej wagę daleko większą nad pogadankę zwykłą, wzrusza ją, nawet

boli, i miałem takie wrażenie, jakbym trzymał rękę na najtajniejszym pulsie jej istoty i do pewnego stopnia rządził jego uderzeniami. Cierpi? dobrze; ale dlaczego? Więc spostrzeżenie Idalki było słusznym. Mam nad nią istotnie władzę cudotwórczą. Pod tym czarnym, surowym stanikiem bije serce prawdziwie kobiece, wzruszające się łatwo; w tej główce zwieńczonej sielskim warkoczem żyje mózg kobiecy, poddający się łatwo wpływom wyższym... może dlatego najwięcej, że są mojami. Przy ostatniej myśli trochę mi się w głowie zakręciło... Jakież więc było moje zdziwienie, gdy spostrzegłem błędzący po jej ustach uśmiech żartobliwy, i gdy korzystając z pauzy w moim mówieniu, najspokojniej w świecie rzekła:

— Ale gdzież tam, kuzynie. We wszystkim, co powiedziałaś, nie ma wcale prawdy. Ani życie nie jest marnem, ani życie na wsi stojącą wodą, ani cywilizacja wiecznym używaniem szczęścia i piękności. Oprócz szczęścia i piękności, jest w cywilizacji wiele innych rzeczy...

— Zapewne — odparłem z przekąsem, bo miałem takie uczucie, jakby mi wylano na głowę dzbanek zimnej wody — jest w niej jeszcze społeczeństwo, ogół, cel życia...

— Współczucie, obowiązek — wtrąciła.

— Praca — przerwałem — cnota, ofiara... i różne inne morderstwa...

Wyprostowałem się i zeszywniałem, a ona ze spuszczonego oczyma, bawiąc się fałdą swojej sukni, zapytała jeszcze:

— Jeżeli o tem wiesz, kuzynie, dlaczegoż wszystko to wyrzucasz ze swego pojęcia o cywilizacji?

Byłem zrażony i rozgniewany.

— Dlaczego? — z niedbałością w głosie i postawie powtórzyłem — prosto: *parceque cela me déplait*.

— Co? — zapytała, nie mogąc odrazu mię zrozumieć.

— Widzisz, kuzynko, prawo, któremu najchętniej i najpospoliej ulegam, zawiera się w dwu formułach: *cela me plaît et cela me déplait!*<sup>1</sup> Poważam je bardzo, bo jest rękojmą swobodnego i bujnego rozwijania się indywidualizmu.

— Cieszę się — z żywym błyskiem oczu odparła — że głosisz je po francuzku, bo zapobiegnie to może szerokiemu jego rozpowszechnieniu...

Umilkliśmy i siedzieliśmy obok siebie bliscy materją, lecz pokłóceni i roztrąceni duchem, gdy do salonu wróciła Idalka, we drzwiach już mówiąc:

— Zdzisławie, wstań, włóż futro, zejź z schodów, wyjź na ulicę, siąź do dorożki i jedź do swego mieszkania, z którego tu przywieziesz swego *Kaina*. Zostaniesz u nas na cały wieczór i będziesz nas bawił czytaniem swoich wierszy. Bo wiesz, Sewerko, on jest kawalkiem poety, tłumaczy Byrona... Czy słyszysz, Zdzisiu? Co mu się stało? Co ty mu zrobiłaś, Sewerko?

Siedziałem głuchy, niemy, pewno trochę błądy, i ze spuszczoną głową bawiłem się brelokami od zegarka. Propozycja Idalki przyszła bardzo nie w porę. Ani myślałem popisywać się ze swoją poetycznością przed tą wcieloną prozą, która obok mnie siedziała także głucha, niema i trochę pobladała. Ale Idalka, kiedy sobie raz cokolwiek w głowę wbiła, nie łatwo ustępowała. Wiedziałem zresztą bardzo dobrze, dlaczego zachciało się jej nagle mego *Kaina*, i że gdy szło o takie rzeczy, była jak mur. Wciąż jednak milczałem i bawiłem się brelokami.

— Cóż będzie, Zdzisiu? Czy wstaniesz kiedykolwiek z tego krzesła? Sewerko, rozkaźże mu... zobaczysz, jak on ładnie tłumaczy Byrona, bo jest to, moja droga, bardzo zdolny chłopak i ze wzniosłymi popędami, tylko wielki próźniak. Cóż, Sewerko, nie rozkaźesz? bo ja postradałam już widać nad nim wszelką władzę... Skończona i pogrzebiona moja władza nad nim! Rozkazuj, Sewerko, albo proś...

Siedziałem wciąż nieporuszony i myślałem: poprosi, czy nie poprosi? Obchodzą ją moje wyższe zdolności, czy nie obchodzą? Myśląc tak, pomimowoli na nią spojrziałem, a w tej samej chwili ona także wzrok na mnie podniosła i z najpiękniejszym wejrzeniem, swoim przyciszonym, miękkim głosem wymówiła:

— *Si cela vous plaît...*

<sup>1</sup>*cela me plaît et cela me déplait!* (fr.) — to mi się podoba (to lubię) i to mi się nie podoba (tego nie lubię)! [przypis edytorski]

Wstałem z krzesła jak sprężyną podrzucony i w mgnieniu oka byłem już w przedpokoju, przy którego drzwiach Idalka ze śmiechem rzuciła mi w ucho:

— *La reine est morte, vive la reine!*<sup>2</sup>

Ale był to śmiech bynajmniej nie złośliwy, owszem, pochodzący z serca uradowanego spełnionym dobrym czynem, a po stracie królestwa najzupełniej pocieszonego myślą o księciu Karageorgesku.

Wróciłem wkrótce, poważny jak mag, w gruncie bardzo zadowolony. Przenieśliśmy się na czytanie z salonu do buduaru i tam jak w zacisznym gniazdku, przy świetle wielkiej lampy, której światło padało na mój rękopis i na robótki tych pań, twarze nasze w półcieniu pozostawiając, ukazałem jej najpiękniejszy klejnot ze skarbnicy mojej duszy. Z za paru drzwi zamkniętych dochodził tu niekiedy szczebiot Arturka, z za okien głuchy turkot powozów, ale nie przeszkadzało to wcale głosowi memu rozchodzić się po buduarze dźwiękami jak najbardziej wymodulowanymi i melodyjnymi. Bez samochwalstwa przyznać sobie muszę, że w stopniu niezwykłym posiadałem sztukę dobrego czytania. Miałem do niej dar wrodzony i brałem u paru prawdziwych mistrzów lekcje deklamacji, które były jedną z tych babek z piasku, o których wspominałem, i mogły być przytem z wielu względów użytecznymi: naprzykład w takiej jak dzisiejsza okazji, albo dla odgrywania teatrów amatorskich. Czytałem tedy, jak mi się zdaje, bardzo kunsztownie, w głos giętki i dźwięczny z natury wkładając całe skarby różnorodnych uczuć tkliwości, smutku, przerażenia, grozy, a od czasu do czasu, na mgnienie oka przenosząc wzrok z rękopisu na twarze słuchaczek, szczególnie jednej z nich, której usposobienia w tej chwili budziły we mnie prawie palącą ciekawość. Czy wzruszy ją głęboka tkliwość Ady i smętna słodycz Abła? Czy nie przestraszą zuchwałę buntę Kaina i Lucyfera? może podniesie rękę do czoła i żegnając się ucieknie od nich i odemnie! Można było spodziewać się tego po dzikiej! Ale nie; nie żegnała się, nie uciekała, była zrazu bardzo uważną, potem coraz więcej skupioną, chwilami rozrzewnioną; w ruchliwych jej rysach każdy odcień uczucia i myśli, których byłem tłumaczem, odbijały się jak w zwierciadle. Spostrzeżenie to napełniło mię uczuciem bardzo słodkim, podobnym do tego, którego już raz doświadczyłem, gdy wspólnie oglądaliśmy obrazy. Im dłużej czytałem, tem silniej czułem nić tajemniczą, zadzierzgamą się pomiędzy nami i łączącą nasze dusze. Idalka, która dość dobrze znała się na takich rzeczach, lecz dla której *Kain* był trochę zanadto głębokim, z poważną minką na różowym buziaku pilnie białymi paluszkami robiła pajęczą robótkę; z rąk panny Zdrojowskiej bardzo prędko wypadły jakieś nici i jakieś szydełko, siedziała plecami o poręcz kanapki oparta, a twarz jej w półcieniu płonęła koralem ust zamyślonych i szafirem oczu chwilami w zadumie przygasających, a chwilami jaśniejących światłem wielkich, drżących gwiazd. Ale, niestety, przekład mój sięgał zaledwie początku drugiego aktu dramatu; nigdy tak jak wtedy nie żalowałem, żem zajmował się nim tak mało i że dłużej czytać nie miałem już czego. Skończyłem na słowach następujących:

— Jestem z rodu aniołów... Czy chciałbyś stać się do mnie podobnym?

— Nie wiem kim jesteś.. Widzę twoją moc i piękność, ale ukazujesz mi rzeczy przewyższające moje siły, chociaż nie przewyższające mojego pojęcia...

I umilkłem. Milczenie, przerywane tylko dalekim szczebiotem dziecka za paru zamkniętymi drzwiami i głuchym turkotem powozów za oknami, panowało przez parę minut w miękko usłanem i lekko wonnem gniazdku buduaru. Wtem głos przyciszony, z otaczającym nas przyćmionem światłem doskonale harmonizujący, zwolna przemówił:

— Czy nie zdaje ci się, Idalko, że nagle ucichła muzyka?

— Tak — zupełnie serjo odpowiedziała Idalka — kiedy Zdzisław czyta, robi to wrażenie dwu sztuk połączonych razem: poezji i muzyki.

— *Vous me comblez, mesdames* — powiedziałem z niskim ukłonem i wołałem przez czas jakiś nic więcej nie mówić. Czytanie płodu swego pióra przed dwoma kobietami, do których można zastosować hasło: „*la reine est morte, vive la reine!*” byłoby w każdym razie rzeczą drażniącą nerwy. Ale tu zachodził jeszcze wypadek osobliwy: czułem się pomimowoli zaplątanym w walkę, która, jak to już czułem, musiała być zawziętą. Po

<sup>2</sup>*La reine est morte, vive la reine!* (fr.) — Królowa nie żyje, niech żyje królowa! [przypis edytorski]

doświadczonem przed paru godzinami *fiasco*, odniesione zwycięstwo było słodkiem i słodczy jego rozlała mi się już na cały wieczór, z wyjątkiem dwóch krótkich epizodów, które ją nieco zmąciły. Po herbacie, którą piliśmy w buduarze, wraz z panną Klarą i Arturkiem, Idalka wyszła dla wydania na jutro dyspozycji gospodarskich (nigdy tylu ile dnia tego nie wydawała dyspozycji), panna Klara wysunęła się za nią i tylko Arturek został przy ciotki Sewelce, bawiąc się jej zegarkiem, aż z rąk go wypuścił i z głową, na kolana jej opadł, z połową niedojedzonego makaronika w buzi, zasnął, czy zadrzemał. Pozostaliśmy zupełnie we dwoje, w przyjemnym świetle miękkiego od koberca, portjer i firanek, cichego, lekko wonnego buduaru. Ach, te półświatła i półwonie buduarów, co za tło i jaka atmosfera dla odegrania boskiej gamy miłości! Tyle razy tę grę w takiej atmosferze odgrywałem, że ilekroć znalazłem się wśród atmosfery, dźwięki gamy odzywały się we mnie bez żadnego udziału mojej woli, wprost dlatego, że płynęły już we krwi i nerwach. Siedzieć w takim buduarze i nie zwierzać się zcicha małemu uszku, nie trzymać w dłoni atlasowej rączki, nie wyciągać ramienia dla objęcia gnącej się w upojeniu kibici, nie przechodzić całej skali wrażeń od *pianissima* do *fortissima*, od *andante* do *furioso*, wydawało mi się prawie niepodobieństwem. Jednak, w tej chwili, czułem niepodobieństwo. Nie szukałem przyczyn tego niepodobieństwa, ale je czułem. Spoczywało ono głównie w tem, że postać panny Zdrojowskiej tak dalece z tłem i atmosferą buduaru nie harmonizowała, jak gdyby tu była przywianą z błękitów, lub mogił. Był w niej ton czystości i ton smutku, o które buduarowej gamy zaczepić nie sposób. Najspokojniej w świecie głaskała dłonią złote włosy dziecka, wzrok jej spoczywał na jego głowie i był to może na tle amarantowego obicia ścian i kanapy obrazek ładny, ale usposobieniu memu w tej chwili tak nie odpowiadający, że do śpiącego Arturka uczułem złość i patrząc na malca, w sposób jak najbardziej drwiący, wymówiłem:

— Filarek!

— Dlaczego filarek? — zapytała.

— Jakże?... nie domyślasz się kuzynko... przyszły filar społeczeństwa!...

Ale ona, czy nie poznała się na żarcie, czy podzielić go nie chciała.

— Daj Boże, aby tak było! — szepnęła i pochyliwszy się pocałowała złote włosy dziecka tak, jak zapewne pobożni całować muszą filary cudami słynącej świątyni. Wstałem i ku oknu odszedłem, silnie zirytowany.

Jak żyję, pierwszy raz słyszałem w takim buduarze składane takie życzenia!

Ale potem graliśmy, śpiewali i nawet trochę dokazywali, bo przy mojej muzyce Idalka ze swoim rozbudzonym filarkiem kręciła się po salonie, ucząc go tańczyć polkę, czy walca, a panna Zdrojowska, po prześpiewaniu paru aryj obcych i paru piosenek swoich, na usilne prośby moje, zaśpiewała jeszcze du-du, które tym razem nie wydało mi się pozbawionem pierwotnej wprawdzie, ale smętnej i zadumanej melodji. Tylko Idalka znowu na chwilę zepsuła mi humor, bo gdy odegrałem moją najpiękniejszą popisową sztukę, zawołała:

— A co? Sewerko? Prawda, że on gra jak anioł? Ogromnie zdolny chłopiec, tylko próżniak... oj, oj, oj! Zapytaj go, moja droga, ile lat zajęło mu tłómaczenie pierwszego aktu *Kaina*?

— Idalko, odrzuciłem z niezadowoleniem, ile lat zajęło ci robienie niczego?

Ale panna Zdrojowska zaraz powtórzyła za Idalką:

— Kuzynie, ile lat zajęło ci tłómaczenie pierwszego aktu *Kaina*?

— Dwa lata, kuzynko — z niewzruszonym spokojem odpowiedziałem.

Uśmiechnęła się i zauważyła:

— Gdybyś, kuzynie, żył w stojącej wodzie, możeby ta praca twoja i jaka inna jeszcze — płynęła!

— To mię wcale nie obchodzi — odpowiedziałem — uważam siebie za wyłączonego z pod przekleństwa, które spadło w raju na Adama i jego potomstwo...

— Jakiem prawem? — zapytała ze swoim zwykłym w podobnych razach błysnięciem oczu.

— Prawem cywilizacji, podniesionej do *nec plus ultra*...

— To jest korona kwiatu, bez korzenia i lodygi w powietrzu wiszącej...



— Co wy takiego wygadujecie? — zapytała Idalka; jakie prawo i jaka korona? Ja o koronie żadnej nie wiem, a prawa żadnego nie uznaję. Chcę, to robię cokolwiek; nie chcę, to nie robię. I Zdzisław tak samo... Posłuchajcie teraz tej etiudy Szumana! — pyszna!

Po tej rozmowie byłem nadęty, etiudy nie chwaliłem i do panny Zdrojowskiej wcale się nie zbliżałem, dopiero około północy, gdy z kapeluszem w ręku zbliżyłem się, aby ją pożegnać, ogarnęło mię uczucie niby żalu, że na godzin kilkanaście z nią się rozstaję, niby skruchy za jakieś przewinienie względem niej popełnione, lub wogóle przewinienie. Całując ją w rękę, głęboko spojrzałem w jej oczy, a jakiś drugi, siedzący we mnie człowiek, pomimo woli mojej wymówił cicho słowa Byrona:

— „Widzę twoją moc i piękność; ale ukazujesz mi rzeczy, przewyższające moje siły, chociaż nie przewyższające mojego pojęcia”.

Idąc do domu, myślałem, że panna Zdrojowska gra wcale dobrze i śpiewa wcale ładnie, tylko muzyce jej brakuje bardzo techniki, a pięknemu, rozległemu głosowi dostatecznego wyrobienia. Wszystko w niej takie niedokształcone: francuzczyzna, muzyka, głos i filozofja, biedna filozofja; niezdolna wzbić się do tego wspaniałego rozczarowania i zniechęcenia, a zarazem do tej najwyższej wytworności form życia, które są znamionami epok i osobników wyższych. Że istniały w niej materiały na istotę wyższą, nawet bogate, wydawało mi się to niewątpliwem. Jaki wrodzony instynkt piękna i jaka na nie wrażliwość! jaka też głęboka i żywa uczuciowość, przebijająca się w grze rysów, w brzmieniu głosu, szczególnie w śpiewie! Zkądinąd przecież i w innych momentach, bywa poziomą i zimną. Naturalnie. Ażeby oszlifować i usubtelnić swoje wewnętrzne bogactwa, trzeba żyć w świecie — nie na puszczy! Gdyby chociaż tę zimę zgodziła się przepędzić pomiędzy nami! Ależ naturalnie, że tak będzie! Musi pozostać. Namówię ją, aby brała lekcje śpiewu. Trzeba jej tylko trochę wyrobienia głosu, lepszej metody, bogatszego repertuaru, a będzie miała śliczną, prawdziwie brylantową broszę. Myśl ta rozśmieszyła mię. Alboż ona dba o jakiegokolwiek broszę? I tak jej z tem ładnie, że nie dba! I dlatego może, nietylko dla ust koralowych i gwiazd szafirowych, myślę o niej ciągle, nie mogę nie myśleć o niej, pomimo, że zacząłem książkę czytać, a potem po klawiszach pianina puściłem palce. Czytając książkę myślę o niej, grając przerywam fantastyczne akordy i pasaże, a zaczynam przebierać klawisze i szukać po nich pierwotnej, smętnej melodji chłopskiej: „du-du!” Nie mogę też nie widzieć jej, pomimo, że zgasilem świecę i ciemność panuje w pokoju; w ciemności widzę ją jak żywą, rozmawiającą przy stole ze szwajcarką w szarej sukni, która z górsko-pasterskim wdziękiem wznosi ku niej prawie rozkochane oczy, albo uśmiechającą się trochę ironicznie, trochę smutnie i mówiącą: „Gdybyś, kuzynie, żył w stojącej wodzie, możeby ta praca twoja i jaka inna jeszcze — płynęła”. Słowa te pobudzają mię do śmiechu, ale drugi jakiś człowiek we mnie siedzący, niespokojnie przewraca się na łóżku, glucho dręczony skruchą za przewinienie, którego jasno sobie nie określa, bo nie chce, bo jest tchórzem, który wie, że gdy raz określi, będzie niepokojonym myślą o zaprzęgnięciu się do woza...

Umówiliśmy się z Idalką, że pojedę z nią i z panną Zdrojowską do teatru. Przez cały dzień ani na moment do tych pań zajrzeć nie mogłem, tak mię oskoczyły i obarczyły towarzyskie obowiązki i zajęcia. Oddałem kilka najkonieczniejszych wizyt, parę godzin strawiłem wspólnie z Józiem i Leonem na bieżaninie w interesach mającego odbyć się wkrótce teatru amatorskiego, jedną jeszcze na rozprawie z krawcem, jedną w restauracji, aż nadszedł zmrok. Na godzinę zaledwie przed porą udania się do teatru, znalazłem się w salonie Idalki, która wkrótce po mojem przyjsciu zasiadła do fortepianu i grać zaczęła. Grała na pamięć, bo salon oświetlonym był jedną tylko, przez zaslonę przyćmioną lampą, tak, że ja i panna Zdrojowska siedzieliśmy prawie w zmroku, trochę tylko przez światło lampy pozłożonym, ona na kanapce, ja na swoim ulubionym pufie, prawie u jej stóp. Nie unikała mię, o, wcale mię nie unikała, tylko zdawało mi się, że była nieco bledszą, smutniejszą i więcej milczącą niż wczoraj. Ale niekiedy to tak być musi; ja również mniej niż zwykle miałem ochoty do mówienia i zrazu przebąkiwałem jej tylko to i owo o sposobie, w jaki spędziłem dzień dzisiejszy.

— Pusto, marnie i męcząco — rzekłem ze smutkiem.

Długą chwilę, z oczami utkwionymi w przyćmioną lampę, milczała, aż tonem zapytania przemówiła:

— Dlaczegoż nie przepędzać dni inaczej?

— Nie umiem inaczej — odpowiedziałem — i — nie chcę. Życie, które mię czasem nuży, a nigdy nie zadawalnia zupełnie, wiąże mię przecież do siebie tysiącem nici przyzwyczajęń, upodobań i stosunków. Czy perła w swojej błyszczącej muszli jest szczęśliwą? niewiadomo, ale jest w niej zamkniętą i czytałem gdzieś legendę, że wydzierana z tęczego swego pałacu, wydaje łkanie, którego utrwalone echo napęlnia muszlę wiecznym szmerem. Są na ziemi, kuzynko, fatalizmy i konieczności, którym my biedni ulegać musimy.

Nie odpowiadała; a z moim elegijnym tonem muzyka Idalki harmonizowała coraz lepiej, coraz cichsza i smętniejsza. Pobudzany przez tę muzykę, z wyrzutem żałośniejszym może niż chciałem, rzekłem:

— Dlaczego nie odpowiadasz mi, kuzynko?

— Po co? — szepnęła tak cicho, że ledwie dosłyszałem.

— Po to, chociażby, aby pocieszyć smutnego, albo zbłąkanemu drogę wskazać!

Pochyliła głowę, ręka jej parę razy przesunęła się po fałdach sukni. Parę minut upłynęło zanim odpowiedziała, znowu bardzo cicho:

— Dla takich smutków jak twoje, kuzynie, pociechy znaleźć nie potrafię, bo dobrze ich nie rozumiem, a co do dróg, moją i twoją rozdzielają światy...

Uczułem głęboki, dna istoty sięgający smutek.

— O, przepraszam cię, kuzynko — zawołałem — światy je także łączą, te światy, wobec których nieraz już staliśmy oboje w jednostajnym zachwyceniu!

Promień lampy zabłądził na jej czarną suknię i zamigotał po twarzy, która na chwilę wydała mi się znowu promienną i zachwyconą.

— Tak! — szepnęła.

Byłbym za to: tak! ręce jej ucałował, ale pochyliłem tylko przed nią głowę i prosiłem:

— Więc nie zamykaj przedemną swoich myśli, jak świątyni przed grzesznikiem! Mów mi o tych ustroniach dalekich i dla mnie nieznanym, którymi bieży droga twoja!

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Dlaczego? dlaczego? — pytałem.

Znowu nie odpowiadała długo, aż utkwiała we mnie swoje wielkie, śmiałe, błyszczące oczy i z uśmiechem zaczęła:

— Dlatego, że...

Uśmiech jej stał się wyraźniejszym i trochę ironiczny, a trochę smutny ognik przeleciał przez źrenice, gdy dokończyła.

— *Parceque cela me desplaît!*

W tejże chwili lokaj, zjawiający się we drzwiach, oznajmił, że karetka gotowa i Idalka zerwała się od fortepianu, wołając:

— Jedźmy!

Przez całą drogę do teatru milczałem, lecz w samym sobie byłem gorzki jak piołun; w teatrze przecież, już od połowy pierwszego aktu zająłem się sztuką i sposobem jej wykonania, a piołun mój znikł zupełnie gdy spostrzegłem, że panna Zdrojowska zajęcie to podziela i bawi się w teatrze bardzo dobrze. Wielkie rzeczy! kiedy walczyć, to walczyć! Zobaczmy, kto zwycięży! Posiadam cały arsenał broni, z których to na przykład przedstawienie teatralne musi być nie najmniej skuteczne, skoro bez śladu wyгнаło smutek z oczu jej zaciekawionych teraz, uważnych, rozbłysłych radością szczerzego używania. Zresztą, świetność sali teatralnej, z powodzią światła, barwnością ubrań, z iskrzącymi się gdzieś błyskami drogich kamieni i pięknych oczu, wywierała zawsze na mnie wpływ podniecający. Prawdę mówiąc, kaprysilem trochę, kiedy przed godziną skarżył się na życie. Ma ono cudowne, albo przynajmniej miłe przymioty, i nawet — ta dzika, której czarna suknia i sielskie uczesanie przedziwnie odbijają na tle świetnych toalet i koafiurow, uczuła to i najpewniej przyznaje. Jasno, tłumnie, barwnie, gorąco jak pod równikiem, aktorowie grają wybornie dramat z prawdziwym talentem napisany, tłumy wydają z siebie wstrząsającą nerwami elektryczność gromadnie uczuwaną wzruszeń.. *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?* W czasie antraktów łoża Idalki napęlnia się tłumem odwiedzających; księżę Karageorgesku nie przybył wprawdzie do teatru, ale zawód ten staje się dla Idalki mniej dotkliwym przez to, że jest także zajęta sztuką, że ma w głowie myśl, która z zachwycającym rumunem walczy o pierwszeństwo, i że otacza ją liczny

poczet niewolników. Ją i pannę Zdrojowską. Może oryginalny kontrast, który z otoczeniem stanowiła, w połączenia z kilku pięknymi szczegółami jej powierzchowności uderzył i zaciekał, może fama rozniosła o jej majątku przesadzone wieści, ale przedstawiano się jej i emablowano ją z gorliwością, która zakrawała już na modę. Jeszcze trochę, a stanie się porywaną, rozrywana, uwielbianą, t. j. modną. Ale ona, nic wcale o modzie nie wiedziała i nurzała się cała w braterskiej życzliwości, którą Leon wyrażał obszernym mówieniem jej w antrakcie o swoich marzeniach, tyjących się świątyni sztuk, a Józio powierzaniem jej swoich marzeń o dzienniku politycznym. Ją dwie te rozmowy najwięcej ze wszystkich zajęły, a ja w myśli zrobiłem uwagę, że przyjaciele moi wpadli na trop osobliwego flirtaży — przez pośrednictwo architektury i publicystyki. Stefan wołał pośrednictwo bukietu z róż cielistych, który wręczył pannie Zdrojowskiej, a z którego Idalka wyjęła zaraz dwie róże i prawie w mgnieniu oka bardzo zręcznie przyozdobiła nimi zwinięty u wierzchu głowy jej warkocz. Jeżeli tym razem nie miała dosyć życzliwości braterskiej, to już chyba była nienasyconą; ale zdawało mi się, że z za uciechy serca wyglądała tam także mała, malutka próżnostka kobieca i cieszyła się nieco składanymi jej hołdami. Najwięcej przecież pochłaniała ją sztuka; w czasie niektórych jej ustępów stawała się tak bladą, jak róże kwitnące w jej warkoczu, a ilekroć w sali wybuchał grzmot oklasków, po ramionach jej, jak od uderzenia elektryczności przebiegało drżenie. Kiedy zaś po skończonym ostatnim akcie, we wrzawie prawie piekielnej, w upale, w oklaskach ogromnych i nieskończonych raz jeszcze podniesiono zasłonę, stała wychylona z łoży i tak we wchodzącego na scenę autora zapatrzona, iż mogło się zdawać, że zaraz dusza z niej wyleci i temu kłaniającemu się, niepozornemu człowiekowi do stóp upadnie. Dla niej był to mistrz, przewodnik społeczeństwa, arcykapłan.

Drogę do domu przebywaliśmy milcząc. Siedziałem w karecie naprzeciw panny Zdrojowskiej, nie widząc wcale twarzy jej, tonącej w zupełnym zmroku. Dopiero, gdy przy skręcaniu karety na inną ulicę padł na nią błysk mijanej latarni, zobaczyłem, że siedziała z głową opartą o poduszki powozu, różowa jeszcze od upału, który panował w teatrze, z mgłą ciemnego szalika nad czołem i ze spuszczonej powiekami. Uśmiechnąłem się z tryumfem i zacząłem pilnie upatrywać tych błysków, które, od czasu do czasu wpadając do ciemnego powozu, ukazywały mi ją na sekundę, poczem znowu zniknęła w ciemności. Zajmowało mię to ukazywanie się i znikanie twarzy kobiecej, w upojeniu pochylonej na kołyszące ją zlekką poduszki powozu, rozmarzonej i szczęśliwej. Ze wzruszeniem myślałem, że przyjmuje ona w tej chwili chrzest różnorodnych ponęt i radości życia i że wielką rozkoszą musiałoby być wprowadzanie tej świeżej duszy w upalne głąbie tej krainy. Jeszcze jeden błysk latarni, już przed samem mieszkaniem Idalki, i jeszcze jedno objawienie twarzy, otoczonej mgłą szalika i po której różowionym policzku spływała teraz łza. Dokładnie i napewno zobaczyłem tę, w przelotnym błysku świecąca kropkę i zadziwiłem się bardzo. Byłem pewny, że cała jej istota nurza się w radościach dotąd nieznanach i myślałem o niewymownym szczęściu tego, kto w szeregu takich kąpielu będzie jej *baigneur'em!* Zkądże znowu ta łza? Moja ty droga! po co ta łza?

W kwadrans potem wszyscy troje piliśmy herbatę przy stole, oświetlonym wiszącą nad nim lampą, a dlatego w kwadrans dopiero, że Idalka musiała przedtem swoją świetną toaletę zmienić na domowy negliż, podobny do muślinowej chmury, spuszczonej na świat deszcze koronek. Lubiłem bardzo takie herbaty, po powrocie z teatru, pijane w szczupłych i wybranych kółkach. Nerwy podniecone uspakajają się przy nich stopniowo i przyjemnie, myśl, ożywiona doznaniem wrażeniami, przędzie nić pogadanki z wątku sztuki i uczucia, napój słodki i wonny zwilża spieczony w upale gardło. Zazwyczaj Idalka zapraszała z teatru do siebie kilka osób; dziś nikogo, oprócz mnie, nie zaprosiła i byłem jej za to wdzięczny. W czasie, gdy zmieniała ubiór, panna Zdrojowska zajęła się nalaniem z szumiącego samowara trzech filiżanek herbaty, a gdy wróciła, pogadanka nasza zaczęła się zaraz o sztukę, której przed chwilą byliśmy widzami i zaczęła nabierać w siebie żywiołu uczuciowości, przez odegrany na scenie dramat w nas rozbudzonej. Trochę rozmarzona, z twarzą trochę smutnie na śliczną łapkę opuszczoną, Idalka wyraziła zdanie, że jednak nie ma na świecie nic takiego, jak miłość dwojga ludzi, pociąganych ku sobie siłą namiętności jak śmierć niezłomnej, jak wulkan płomienną i nie wiem już, co tam więcej w tym rodzaju; że taka tylko miłość, która z dwojga ludzi robi dwie strzały, razem lecące w górę, dwie gwiazdy, razem świecące w zmrokach, może zapełnić życie i uszczę-

śliwić szczególnie, szczególnie kobietę, bo mężczyzna, to co innego, ale dla kobiety taka miłość...

— Przepraszam cię, Idalko — przerwałem — kiedy idzie o szczęście, nie trzeba robić różnicy pomiędzy ludźmi. Miłość jak, śmierć niezłomna i jak wulkan płomienna, jest na tym biednym świecie, zarówno dla mężczyzn jak dla kobiet, jedynym szczęściem, wolnym od przymieszki ślamazarowości i oszustwa. Wszystko na świecie jest mniej więcej nudnym i wszystko nas, mniej więcej, okłamuje i zawodzi — oprócz tylko takiej miłości.

— To zależy... — z nad próżnych filiżanek, które tylko co z rąk Idalki i moich przyjęła ozwała się panna Zdrojowska:

— Od czego? — zapytałem.

— Od tego, kuzynie, kto kogo kocha.

Stałem się cały jedną parą uszu.

— Domyślam się, kuzynko, że masz na myśli godność przedmiotu miłości...

— Nie tyle jeszcze, kuzynie, godność jednego przedmiotu, ile zgodność obu przedmiotów.

— Co znaczy, jeżeli dobrze zrozumiałem, że przedmioty mają być podobnymi do siebie, jak dwie krople wody. To jest niemożliwe...

— To jest niemożliwe — powtórzyła — ale być dwiema strzałami, razem lecącymi w górę, jak mówiła Idalka, i zarazem znajdować się o sto mil od siebie, jest także niemożliwością.

— Miłość prawdziwa — odpowiedziałem — ma ten przymiot cudotwórczy, że zaslania widok rozdzielających przestrzeni, czarne robi białym, białe czarnym i na samą zbrodnię nawet zarzuca osłony tak różowe, że z za nich przybiera ona pozory bohaterstwa...

— Nigdy! — z błyskiem oczu zaprzeczyła panna Zdrojowska.

— Zdzisław ma słuszność! — zawołała Idalka — miłość usprawiedliwia, uniewinnia i nawet uświęca wszystko! Nie ma takiego błędu, takiej nawet zbrodni, którejby kobieta nie przebaczyła mężczyźnie, którego kocha.

— A stokroć więcej — ozwałem się — którejby mężczyzna nie przebaczył kobiecie, którą kocha...

— Kiedy się już kocha... — z namysłem zaczęła panna Zdrojowska — tak... zdaje mi się, że wtedy przebacza się wszystko i...

— Kocha się w dalszym ciągu — rzuciłem.

— Tak; ale można pokochać, albo nie pokochać...

— To jest, w razie stu mil rozdzielających, oprzeć się uczuciu?

— Tak; ażeby się nie znaleźć w niezgodzie...

Zawahała się.

— Z czym?

— Ze wszystkim innym...

— Ależ w tym właśnie cały urok i cała moc miłości, że jak wiatr świecę, gasi w nas ona i pamięć i uczucie wszystkiego, co nie jest nią...

— W takim razie — uśmiechnęła się — jest to trucicielka i powinna ulegać karze śmierci.

— Skoro jednak istnieje i niekiedy z potęgą wielką, musi mieć prawo i przyczyny bytu...

— Ma je zapewne — zaczęła i zarumieniła się — ale...

Urwała i pochyliła twarz zarumienioną nad niedopitą jeszcze i do połowy filiżanką.

— Ale...

Namyślała się co, czy jak powiedzieć, aż dokończyła:

— Ale jest w złym gatunku...

A, brawo! było to śmiało! było to nawet, jak na młodą pannę, bardzo śmiało.

Ale Idalka z oburzeniem zawołała:

— Więc, według twego zdania, Sewerko, ażeby miłość była w dobrym gatunku, trzeba kochać świętego?...

— Nie; świętych nie ma. Jest ona tylko złą, jeżeli się kocha bez uwielbienia, a co najmniej bez szacunku, i jeżeli ci, którzy się kochają — dokończyła z uśmiechem, pod

którym, niewiadomo dlaczego, usta jej trochę drżały — jeżeli ci, którzy się kochają, nie mogą być jak dwie strzały, o których mówiłaś, Idalko.

— Razem lecące w górę — uzupełniłem — a także jak dwie gwiazdy, razem świecące w zmroku...

— Tak — z przejściem się potwierdziła, a ja, tonem wydawanej lekcji, mówiłem dalej:

— Serce — rzeczownik pospolity, rodzaju nijakiego, liczby pojedynczej, w przypadku pierwszym; zimne — przymiotnik tegoż rodzaju, teje liczby i tegoż przypadku, ale dla rzeczownika, któremu towarzyszy niewłaściwy... Rozbiór gramatyczny, dla uczących się języka bardzo pożyteczny, ale w kwestjach uczuć o nieistnieniu ich świadczący...

— Ale gdzież tam, Zdzisiu — zaśmiała się Idalka — wiesz sam, że tak nie jest i że w tych kwestjach często głowa mówi swoje, a serce swoje... głowa rozbiera, a serce kocha!

— I to prawda — zgodziłem się, a przyjmując z rąk panny Zdrojowskiej trzecią już filiżankę herbaty, zauważyłem, że wywiezione z teatru rumieńce zupełnie znikły z jej twarzy i że była w tej chwili bledszą nawet niż zwykle.

W atmosferze rozbudzającej i podniecającej uczucia, mieniła się jak barwa w słonecznym świetle, a hełmem i pancerzem osłaniała się przed miłością — w złym gatunku! Jeszcze chwilę gawędziliśmy, ale już tylko z Idalką, bo panna Zdrojowska milczała, z coraz większym wyrazem znużenia w postawie i na twarzy. Przez zegar, pierwszą po północy godzinę wybijający, do porządku przywołany, wstałem i gdy wzrokiem szukałem kapelusza, Idalka, zaszczepiotawszy coś o Arturku i dyspozycji jutrzejszego obiadu, z sali wybiegła. Z kapeluszem w rękę zbliżyłem się do wysmukłej postaci w czarnej sukni, światłem lampy oblanej i w skamieniałej jakby postawie siedzącej nad tacą z pustymi filiżankami, z twarzą na dłoń spuszczoną. Zdawało się, że nic dokoła siebie nie widzi i nie słyszy. Wziąłem drugą jej, leżącą na sukni rękę i z namiętnością, której powściągnąć nie mogłem i nie chciałem, usta do niej przyłożyłem. Podniosła twarz, oczy nasze spotkały się i przez chwilę w sobie utonęły. Sala była od końca do końca jasną i pustą, w głębokiej ciszy jej było tylko nas dwoje.

— Kuzynko — szepnąłem — daj mi jedną z tych róż, które zwiedły w twych włosach...

Powolnym, sennym jakby ruchem z krzesła powstała, podniosła ku głowie rękę i podała mi kwiat, którego delikatne listki były już pokurczone, ale z którego ulatywała jeszcze woń nikła i łagodna. Wziąłem w obie dłonie kwiat razem z ręką i znowu patrzyliśmy na siebie chwilę... aż usta jej otworzyły się, zadrżały czemś, co powiedzieć chciała, lecz nie powiedziała, tylko stała przedemną cicha, jakby strwożona, postawą i wdzięczną linią pochylonej głowy mówiąca: przebacź!

We drzwiach rozległ się głos Idalki:

— Co będziemy robili jutro?

Kilka minut debatowaliśmy nad tą sprawą, aż postanowioną została przejażdżka — w aleje. To nasz lasek bułoński, nasz Prater, nasze Corso. Sewerka nie widziała jeszcze świetnych w pogodne dni zimowe przejażdżek w aleje. Pokażemy ci jutro, Sewerko, aleje, wille, zimowe stroje, pyszne zaprzęgi etc. etc. Żeby tylko śnieg nie padał! Ty, Zdzisiu, przyjdiesz do nas na śniadanie i zaraz po śniadaniu pojedziemy. Pytanie tylko, czy wziąć Arturka na tę przejażdżkę, czy nie wziąć? Może dzieciak zaziębić się, ale znowu, w białych barankach wygląda pociesznie, jak malutki niedźwiadek syberyjski i wszyscy aż oglądają się za nim...

— I za matką — dodałem.

— Naturalnie — potwierdziła Idalka.

Stawiłem się nazajutrz w porze oznaczonej, którą była godzina pierwsza popołudniu i w salonie znalazłem tylko szwajcarkę, która siedząc na ziemi, coś około jakiegoś sprzętu naprawiała. Obróciła ku mnie twarz poprostu spuchniętą od płaczu i bez powitania zawołała:

— *Vous savez, Monsieur, la grande nouvelle? Mademoiselle Drojowska est partie!*

Zachlipnęła się od płaczu, zrobiła taki gest jakby ukazać chciała nieskończone odległości i przestrzenie, zerwała się i wybiegła, a w pół minuty potem przez buduar do salonu wbiegła Idalka, z rozpuszczonymi do połowy włosami, w peniuarze, z jakąś szcztoteczką w rękę, również bez powitania, w buduarze już wołając:

— Pojechała! Zupełnie, na wieś, do siebie pojechała! Czy ty to rozumiesz, Zdzisławie? Czy to nie warjacja? Czego nie mówiłam, czego nie robiłam, prosiłam, gniewałam się, błagałam, nic nie pomogło! Była jak mur, jak kamień, jak żelazo, a wyglądała jak widmo...

Byłam także jak mur, jak kamień i zapewne wyglądałam jak widmo. Niepodobna mi było zrazu głosu wydobyć z siebie i zaledwie zdołałam wybąknąć:

— Ale co? jakże? dlaczego?

— Dlaczego? — zamyślając się zaczęła Idalka; czy ja wiem? łamię sobie nad tem głowę, domyślam się różnych rzeczy, ale napewno nie wiem. Wczoraj jeszcze nie miała zamiaru odjeżdżać tak szybko, przynajmniej wcale o nim nie mówiła. Po twojem odejściu siedziała długo w salonie, tak zamyślona, że nie słyszała co do niej mówiłam i słowa jednego wyciągnąć z niej nie mogłam. Poszłam spać i tak ją zostawiłam. W nocy obudziłam się i słyszę: ktoś płacze, cicho, ale bardzo płacze. Usiadłam na łóżku, zaczęłam słuchać, myślałam, że to panna Klara, ale nie... zrozumiałam wkrótce, że to ona płacze... sypiała w gabinecie Ludka, obok mego pokoju... drzwi były otwarte... Pomyślałam, że pewno przypomniał się jej brat, ojciec, czy ja wiem co tam więcej przypomnieć się jej mogło, pożałowałam jej trochę, ale do niej nie poszłam... cóż? iść, pytać się, narzucać się, zwierzenia wywoływać... nie wypadalo, położyłam się więc znowu i prędko zasnęłam. Dziś budzę się, widzę, że siedzi w gabinecie, w podróżnej sukni, na zamkniętym kufrze. I drugi kufer, w którym składała sprawunki, zamknięty, widocznie do drogi przygotowany. Serwerko — zawołałam — co to? dlaczego tak ubrałaś się i zapakowałaś rzeczy? Zerwała się z kufra, przybiegła, rzuciła mi się na szyję i powiedziała, że dziś, zaraz, pierwszym odchodzącym pociągiem odjeżdża. Jakie potem sceny były pomiędzy nami, jak dopytywałam się o przyczyny, jak ona żadnej nie chciała mi powiedzieć, tylko ścisnęła mnie, przeproszała, dziękowała, a przy swoim upierała się jak mur, jak żelazo, tego ci opowiadać nie będę, dość, że nie zwalczyłam jej uporu. Cóż miałam robić? Na klucz zamknąć? Związać? Odwiozłam ją na dworzec i kiedy na peronie żegnałyśmy się ostatecznie, świat dziwić się musiał przyjaźni tak gorącej i rozstawaniu się tak czulemu. Do ostatniej chwili stała w oknie wagonu, mówię ci, jak widmo... błada i z oczami zapadłymi... Że bez ochoty odjeżdżała, to pewno, mówię ci, Zdzisławie, że śmierć w duszy miała odjeżdżając, już ja się na tem znam! Ale dlaczego?... co jej do głowy przyszło? Za nic zgadnąć nie mogłam. Miałam zrazu myśl oznajmić ci o tem nagle postanowieniu, ale najprzód, czasoby już może nie wystarczyło, a potem uniosłam się ambicją za ciebie, Zdzisławie; kiedy tak, to tak! Nie chciałam żebyś jej cokolwiek okazał... Lubię ją bardzo, ale ciebie więcej, jestem jej przyjaciółką, ale twoją więcej... Cóż robić? Wszakże to nie koniec świata? Siadaj i posiedź trochę, ja zaraz ubiorę się, zjemy śniadanie i pojedziemy w aleje... weźmiemy z sobą Arturka... zajadę po Oktawję, pewno pojedzie z nami... nie siadasz? Może ci Arturka tu przysłać, dla zabawy, nim ja się ubiorę?

— Na miłość Boską, nie przysyłaj — odpowiedziałem — czuję się zdenerwowanym i potrzebuję chwili ciszy.

Rzecz była w tem, że sam nie wiedziałem ani co mówię, ani co będę robił, ani czy jestem zdenerwowany; czułem tylko, że przez ostatnie parę minut zaszło coś takiego, co uczyniło mię bardzo nieszczęśliwym, że czegoś bardzo żałuję i że oprócz tego dręczy mię niepokój, domagający się wyjaśnienia: czego ona płakała? dlaczego odjeżdżając wyglądała jak widmo? od czego uciekła? Zdawało mi się, że gdybym na te pytania otrzymał odpowiedź, byłbym zupełnie uspokojonym i pocieszonym. Ale ba! zkadże tu ją wziąć, tę odpowiedź? Pociąg kolei bieży kędyś, hen, po dalekich, pustych przestrzeniach... goń wiatr w polu! Stanąłem przy oknie i zamiast kamienic po drugiej stronie ulicy stojących, widziałem pola dalekie, puste, a na nich, wśród białych od śniegu rozlogów, czarną i węzłowatą nić biegnącego pociągu... Jednak pojechałem w alej z Idalką i panią Oktawją, w czasie przejażdżki byłem dla tych pań bardzo uprzejmym i rozmawiałem z nimi w sposób zupełnie zwyczajny, po powrocie do domu znalazłem tam oczekujących na mnie przyjaciół, z którymi dużo mówiłem o projektowanym teatrze amatorskim i z którymi także poszedłem na obiad do restauracji, gdzie jadłem, rozmawiałem, śmiałem się zupełnie normalnie. Tak wypadalo. Takimi są męczarnie, które znosić musimy nieraz, my biedni, przez resztę świata za szczęśliwych poczytywani. Bo czuć na sercu kilka pudów ołowiu, a w niem dużą, ostrą śpilkę, myśleć o jednym wyłącznym przedmiocie z gryzącym żalem i gorączkowym niepokojem, a zarazem witać się, kłaniać, uśmiechać, jeść, rozma-

wiać, emablować damy, żartować z przyjaciółmi, to jest naprawdę jedną z najsroźszych tortur, przez które ktokolwiek ustrzedz może od skazy swoją sławę człowieka zupełnie przyzwoitego.

Wieczorem dopiero, w domu, odetchnąłem, w samotności, prędzej nawet niż spodziewałem się, przyszedłem do ładu z uczuciami i myślami swemi. Co do pierwszych, teraz dopiero jasno je określiłem. Kochałem się w Sewerynie tak, jak myślałem, że już nie będę kochał się nigdy, i w taki sposób, w jaki nigdy dotąd się nie kochałem. W miłość moją dla niej wchodziły składniki, których we wszystkich poprzedzających nie było. Zdawać się mogło, że urzeczywistniała ona pragnienia, które głucho pracując we mnie, czyniły mię nieraz, wśród najpomysłniejszych złączy warunków, pastwą nieokreślonych tęsknot. To, co mię od niej odtrącało, co mi ją psuło, kiedy byłem przy niej: niedoskonała francuzczyzna, brak szyku na ulicy, ręka nie dość delikatna, sposób rozmawiania i znajdowania się dla naszej sfery towarzyskiej nie zawsze stosowny, bez śladu znikło mi z pamięci. Czulem tylko, że ją uwielbiam i że za te lzy, które przed odjazdem wylewała, za samą tę jej ucieczkę pragnąłem na klęczki przed nią upaść i stopy jej całować. Bo Idalka mogła nie wiedzieć dlaczego ona płakała i od czego uciekła; ja wiedziałem i napełniało to mię z kolei rozrzewnieniem niewymownem, to znowu uczuciem tryumfu prawie upajającego. Poczytywałem nawet tę ucieczkę za największy tryumf, jaki kiedykolwiek odniosłem w dziedzinie tych walk, które toczą się na całej przestrzeni świata i wieków, pomiędzy dwiema połowami rodu ludzkiego. Nie chcesz, ale musisz, powiada strona jedna; druga broni się łzami, zasadami, postanowieniami, ucieczką i... i cóż? czegoż właściwie chciałem? co było dla mnie przedmiotem walki? Poczynające się w niej uczucie doprowadzić do zenitu? A potem? Złamać tę zaporę, którą ona między mną a sobą nie wiedzieć z czego zbudowała, skruszyć te drobiazgi, które, gdy byliśmy razem, roztrącały nas co chwilę, a nieśmiertelnymi uczynić łączniki, które także, gdy byliśmy razem, co chwilę nas ku sobie z wielką mocą pociągały? A potem? Pytania te snuły mi się po głowie, ale tylko spodem mózgu niejako i świadomie omijałem je myślą, mając umysł zbyt dobrze wygimnastykowany, aby nie umiał przeskakiwać tego, na czym zatrzymywanie się nudziło go lub dręczyło. Nie jestem prorokiem, abym przewidywać mógł przyszłość choćby swoją i choćby bliską; ani filistrem, który garści mąki nie wsypuje do garnka życia, zanim skrupulatnie jej nie odmierzy i nie odważy. Dla mnie, owszem, puszczenie się na burzliwą i gorącą falę bez świadomości tego dokąd mię ona zaniesie, było niespodzianką przyjemną, przygodą zajmującą, czemś naksztalt strofy, rozpoczynającej poemat nieznanymi i ciekawymi. To tylko wiedziałem napewno, że chwilami cierpię jak utrapieniec; chwilami cieszę się jak szalony i że, gdybym nie miał możliwości ścigania jej i doścignięcia, gdybym nie miał pewności zobaczenia jej wkrótce, nie zastrzelilibym się pewno, ale czułbym do tego ochotę wielką. Posiadałem tę możliwość i pewność. Położenie moje towarzyskie i majątkowe było tak pomysłnem, że posiadałem różne możliwości i pewności, którychby wielu innym, w rozmaitych wypadkach zabraknąć mogło.

Brat Idalki, Konrad Donimirski, mój szkolny kolega i blizki krewny, mieszkał o kilka mil od Krasowiec i u niego to właśnie mąż Idalki oddawał się w tej porze uciechom i trudom łowieckim. Na to polowanie długie i podobno świetne ja wprawdzie zaproszony nie zostałem, ale jedynie dlatego, że powszechnie znanym był mój brak upodobania we wszelkich sielankach, z myśliwskimi włącznie, w porze mianowicie puchów śnieżnych i szronów brylantowych. Jeżeli przyjadę, choć nieproszony, z radością będę przyjęty i wiem nawet, że komuś tam, komuś mającemu bardzo ładną figurkę i wyjątkowo zgrabny nosek, przyjazd mój sprawi trochę więcej niż przyjemność...

Część nocy we wzburzeniu przechodziłem po saloniku, część przesiedziałem w zamyśleniu nad powstającymi w głowie planami, część przespałem, a obudziwszy się daleko wcześniej niż zwykle, napisałem do Idalki bilecik, w którym zapytywałem ją, czy nie ma jakich poleceń do brata i męża, gdyż ja natychmiast, pierwszym pociągiem wyjeżdżam do Mirowa. Pół godziny od wysłania tego bileciku nie upłynęło, gdy w przedpokojach rozległ się dzwonek i zaraz potem w drzwiach saloniku stanęła Idalka.

— Łamię wszystkie prawa Boskie i ludzkie, sama jedna do ciebie przychodząc — w drzwiach już mówiła; ale panna Klara to wszystko jedno co nic, na inną towarzyszkę czasu nie miałam i moja nieskazitelna przeszłość jest mi puklerzem. Jedziesz więc! Ależ zadziwiłeś mię swoim bilecikiem! Więc to aż tak... aż tak! A ja wczoraj myślałam, że tylko

troszkę, odrobineczkę jesteś zmartwionym! Nie darmo w teatrach amatorskich grywasz tak znakomicie! Mój biedny Zdzisiu, jakże ty wyglądasz! Boże, jak ty wyglądasz! Spójrz w zwierciadło! Jak widmo! Ona i ty, jesteście dwoma widmami... ale utyjecie znowu wkrótce, bo przecież *il n'y a pas d'obstacles... je ne vois pas d'obstacles d'aucune espèce...* Szczęśliwi!

Pogawędziliśmy trochę o jej bracie i mężu, którym kazała naopowiadać mnóstwo rzeczy, z księciem Karageorgesku na czele, o Mirowie, drodze do niego, odległości dzielącej je od Krasowiec, dość poważnej, bo przeszło trzymilowej, poczem spojrzałem na zegarek, a ona powstała i z wielką dobrocią ujmując mię za obie ręce, wyraziła gorące życzenie, aby wszystko stało się tak, jak pragnę...

— Ztąd prosto pojedę do kościoła i szczerze pomodłę się za ciebie, mój drogi Zdzisławie, za powodzenie twoich zamiarów.

A gdym ją w rękę na pożegnanie całował, drugą zakreśliła w powietrzu nad moją głową krzyżyk, taki malutki, zgrabniutki krzyżyzek. Dobra, kochana Idalka, naprawdę sprzyjała mi jak bratu, może nawet cokolwieczek więcej, bo zawsze cokolwieczek więcej sprzyja się ciotecznemu, niż rodzonemu bratu. Musiała być przytem niezmiernie przenikliwą, skoro wiedziała, jakimi są te zamiary, za których spełnienie obiecywała modlić się w kościele. Bo ja miałem tylko pragnienia, nie zamiary; wiedziałem to tylko, że pragnę zobaczyć Sewerynę, że to pragnienie jest palącym i niepokonanym, że pojechałbym w tej chwili za nią na kraniec ziemi, tak jak jechałem do Mirowa i Krasowiec. Zacząłem teraz w myśli nazywać ją nie panną Zdrojowską, ale Seweryną, a czasem i jeszcze inaczej, bo kiedy wśród ścian mieszkania, a potem wagonu, jak żywa stawała mi przed wyobraźnią, nieświadomym ruchem splatałem ręce, w myśli mówiąc: moja ty droga!

#### IV

Nie myliłem się mniemając, że w Mirowie oczekuje mię przyjęcie więcej niż uprzejme. O przysłanie po mnie koni na stację kolei telegrafować do Konrada nie chciałem i najawszyszy sobie jakie takie, przybyłem nieoczekiwany, w chwili, gdy u końca obiadu wznoszono toasty. Towarzystwo, stół otaczające, liczne i w pewnej części mnie znajome, sala jadalna wybornie oświetlona, ubiory pań prawie świetne, nakrycie stołu, służba, forma powitań i rozmów, mogły mi dać złudzenie, że ani krokiem nie ruszyłem się z wielkiego miasta. Po obiedzie, w paru ładnych salonach jasno, gwarnie, muzyka, rozmowy o niej, o książkach, o szerokim świecie, który wydawał się rozłączonym z tem miejscem zaledwie cieniuchną ścianką, albo i wcale nierozłączonym, trochę flirtu, trochę francuzczyzny, trochę poziewania, *tout comme chez nous*.

Zgrabna figurka i najzgrabniejszy w świecie nosek wszystkiemu przewodniczyły z elegancją, w której czuć było dobrą rasę *frou-frou*, i z *entraîn'em*, podnieconym może radością, sprawioną przez pewną niespodziankę. Nawet Nemrodi nie czynili plamy na tym obrazie, bo chociaż pomiędzy sobą mówili o swoich sarnach, lisach i ogarach, mieli dosyć dobrego smaku, aby nie fatygować niemi uszu pań, i chociaż strudzeni całodzienną egzericyją myśliwską, grali przeciw w bezika, poziewali dyskretnie i wogóle potrafili zachować pozór ludzi zupełnie przywoitych. Po północy dopiero, gdym znalazł się w przeznaczonym dla siebie pokoiku, zgrabnym i ozdobnym, znużenie przypomniało mi całą dobę podróży, koleją i końmi odbytej, ale uczucia oddalenia się od zwykłych warunków mego życia, nie doświadczyłem w stopniu najmniejszym. Przybył tu ze mną mój Wincenty, bo jeżdżenia bez swego służącego cierpieć nie mogłem, więc gdy mię rozbierał, a przyznać muszę, że robił to bardzo zręcznie, gdy szczególnie wychodząc, po swojemu drzwiami palnął, mógłbym, gdyby nie inne ściany, uledz całkowitemu złudzeniu, że usypiam we własnej swojej sypialni, po wieczorze u Idalki, albo u pani Oktawji, albo u pani Marji spędzonym.

Nazajutrz to samo; śniadanie, którego nie powstydzilby się nasz Borel, zgrabna figurka w negliżu, którego szczegóły starałem się zapamiętać, aby, gdy wrócę, opowiedzieć je Idalce, tak były interesujące, a z pod którego wyglądała czasem na świat Boży, najbardziej jak tylko być może interesująca nóżka malutka, ciekawa i w ciekawym także pantofelku. Mniemałem, że jestem jednym z ludzi, którzy o zgrabnej figurce najwięcej w świecie wiedzą, jednak nie wiedziałem, że ma ona taką śliczną nóżkę. Znajomość na-



sza była dość dawną, tylko przez okrutne okoliczności od paru lat przerwana. Poprostu, interesy Konrada były nieosobliwe i dwie już zimy spędzając na wsi, robił on oszczędności, jak ze wszystkiego, co tu widziałem, wnosić mogłem, również nieosobliwe. Cóż za ochota dręczyć towarzyszkę życia spędzaniem zimy na wsi, jeżeli ono zupełnie do niczego nie prowadzi? Nie dziwiłem się temu, że nie prowadzi, bo wiedziałem, że dla Konrada, zarówno jak dla towarzyszkę jego życia, żyć inaczej było niepodobieństwem zupełnym, ale szczerze żałowałem jej, która pomiędzy śniadaniem i obiadem, gdy goście rozproszyli się po obszernym domu, w gabinetiku, bardzo podobnym do buduaru Idalki, z minkami takimi, że chciałoby się ją schrustać, powierzyła mi swoje smutki i tęsknoty. Dużo dawnego odnowiło się wtedy pomiędzy nami, co nie obudziło we mnie uczucia ani szczęścia, ani niezadowolenia. Jeden więcej motyl z ładnie pomalowanymi, choć, co prawda, trochę zgniecionymi skrzydełkami przeleciał mi przez życie, nic więcej. Nie po to wprawdzie leciałem tu koleją i końmi więcej niż dobę, ale coż robić? *on prend son plaisir ou on le trouve et telqu'on de trouve*, a oprócz tego pewne wpływy zewnętrzne, rzecz może, atmosferyczne, bo składały się na nie rzeczy tak subtelne jak stopień światła w pokoju, odrobina perfumy w powietrzu, lekki szelest muślinu i t. p., sprawiały na mnie pewien rodzaj wrażeń zupełnie nieprzemyślanych. Przyzwyczajenie! Historia pijaka, czującego unoszącą się w powietrzu odrobinę alkoholu! Jednak, nie po to tu leciałem. Po co leciałem? Uczulem to najmocniej wtedy właśnie, gdy z pozoru powinienem był o tem zapomnieć najgłębiej. Jeszcze w gabinetiku zacisznym i przyziemnym, z oddechem pełnym subtelnej perfumy, od interesującego neglizżu pożyczonej, stałem u okna, patrząc na zwijający się pod niebem wał szarych obłoków i wzrokiem wyobraźni ścigając na tem tle smętnem postać idealną, z koralowymi ustami, których — na ścieżce poszedłbym za to — nie dotknęły jeszcze usta niczyje. Porównywałem ją do jednej z tych chmurkach przeblaskujących błękitem, które płynęły w górnym i czystym eterze. Chmurko niedobra, która odemnie uciekłaś w swoje etery, ciebie gonię i nietylko do ciebie, ale do twoich eterów tęsknię w tej właśnie chwili, gdy najniżej pochyliłem się nad zdeptaną ziemią i zerwałem kwiat świetny, lecz też i pospolity, tak pospolity, że wnet po zerwaniu wypuszczam go z palców bez żalu. Co za dysonans! Bez rzeczy pospolitych żyć nam niepodobna, bierzemy je, albo nawet chwytamy i spożywamy jak chleb powszedni, nawet jak przysmak, ale gdy tylko są spożytemi, traktować je zaczynamy z lekką albo i mocną poniewierką, może za to, że nie nasyciły tego głodu, który pracuje w naszych głębiach tak oddalonych, że zazwyczaj prawie lub wcale nie, ale czasem dolegliwie go czujemy. Co to jest? Jaki to jest ten ptak, który od czasu do czasu trzepocze w nas skrzydłami, obciążonymi miazgą zjadanych pasztetów i porywa nas z sobą w etery? Po wieczorze i ranku, bardzo przyjemnie spędzonym w Mirowie, ten jakiś ptak rwać mię począł ku nieznanym Krasowcom z taką mocą, że mię to aż bolało. Byłbym natychmiast zażądał koni od Konrada i pojechał, ale najprzód, Konrad z gośćmi trąbił kędyś po kniejach, a potem, nie wypadało, teraz szczególnie nie wypadało wspominać o tej wycieczce prędzej jak za dni parę.

O tem tylko przy obiedzie wspominałem, że mam w tych stronach, o trzy mile ztąd podobno, krewnych, którzy są również krewnymi Konrada.

— Zdrojowscy! — zawołał Konrad — ach, tak! Są to nasi krewni, ale nie ma tam z kim widywać się, ani do kogo jeździć! Krasowce są dla nas zginione. Nikt tam nie bywa.

Rozmowa o Zdrojowskich stała się prawie ogólną. Z łatwością zauważyłem, że był to, według miejscowej opinii publicznej, ród manjaków, którego każdy członek posiadał jakąś ideę i żył inaczej, niż wszyscy. Stary pan Adam przez pół życia warjował na Napoleonie; syn jego był mizantropem świat krytykującym i unikającym ludzi; wnuk, zginął bardzo młodo, także przez swoją ideę, a raczej przez swoje idee, bo miał nie jedną. Wszyscy w tym rodzie mieli umysły niespokojne, zawsze czegoś szukające i gotowe do wojen z wiatrakami. Nie jest wcale przyjemnem przestawać z ludźmi, którzy wiecznie odwijają rękawy, upatrując gdzie i jak możnaby wziąć się do reparacji świata. Uczciwi zresztą i wykształceni wszyscy; Adaś miał nawet wyjątkowe, genialne zdolności, ale przy charakterze burzliwym i umyśle niespokojnym, zmarnować się musiały wraz z nim samym. Krasowce są majątkiem bardzo pięknym, jakieś trzy, czy cztery tysiące morgów, z pysznymi lasami, bez długów, z rezydencją starą, ładną i obszerną. W domu istnieją zabytki i kosztowności, przez długie lata gromadzone: stare srebra, porcelany, klejnoty dużej ceny. Panna Seweryna jest bogatą panną i wielka to szkoda dla towarzystwa i dla niej, że ma także

swoje idee i nie chce żyć jak wszyscy. Usiłowano zrazu zaopiekować się nią, wciągając ją do koła krewnych i znajomych, przedstawiającego jedyną sferę, w którejby żyć powinna. Ale to przewrócona i uparta głowa, ma swoje idee i niczyich rad słuchać nie chce.

— Ładna panna! — zauważył ktoś ze starszych.

Parę głosów temu zdaniu zaprzeczyło. Brakowało jej swobody obejścia się i kobiecego wdzięku.

— Powierzchnowość zaniedbana — lekceważąco wymówił jeden z młodych ludzi.

— Sztynna i chłodna... — dodał drugi.

— Ładna jest i dobra, ale dzika! — zdefiniowała gospodyni domu i ta definicja otrzymała oklask powszechny.

— *C'est le mot! Vous avez trouve juste, dzika, oui, c'est le mot.*

— Bogata i dość ładna, ale dzika!

— Podobno nawet bardzo dobra, serce ma złote — ale dzika. *Vous avez raison. C'est le mot.* Dzika!

— I od czego to losy ludzkie zależą! Gdyby pan Romuald Zdrojowski o kilka miesięcy nie przeżył syna, Krasowce byłyby dla panny Seweryny stracone...

— I nie byłyby dziką, bo trzeba mieć odwagę, aby być dziką.

— *C'est vrai.* Złota podstawa robi śmiałą postawę... Rymu nie ma, ale myśl prawdziwa!

Przez całą tę dość długą rozmowę, pomimo nurtującego mię do dna niezadowolenia, zachowywałem się biernie. Ażeby niezadowolenie pogodzić z biernością i jak najlepiej ukryć je pod nią, trzeba siedzieć w postawie zlekka niedbalej, z ręką położoną na stole i w końcach palców obracającą okruchę chleba, z twarzą cokolwiek wyżej niż zwykle podniesioną i oczyma spoglądającymi od niechcienia z za szkieł binokli na akcesorja sali jadalnej, jako to: portrety na ścianach, rozety na suficie, czy tam coś podobnego. Taką miałem postawę, gdy o rodzie Zdrojowskich i ostatniej jego odrośli rozmawiano, ale wzrok roztargniony po portretach i rozetach przesuając, zatrzymałem go nagle na indywiduum, siedzącym przy stole i po którym oczy wszystkich i moje także przesuwały się dotąd jak po stole, na którym nic nie stoi. Pierwszy to raz przy tym obiedzie zobaczyłem to indywiduum. Niemłode, chude, z siwiejącymi wąsami i ogorzałą skórą twarzy, z rękoma barwy pomarańczowej, w surducie kroju szczególniejszego, wyglądało ono mocno na intruza, którego zaproszono do stołu przez grzeczność, czy litość. Siedziało pomiędzy młodziutkim kuzynkiem a niemłodą kuzynką gospodarza domu, czyli, pomiędzy blankiem a starą panną, pozycja pospolicie wyznaczana u stołu takim, którzy w świecie nie mają żadnej pozycji. Musiało ono niezawodnie należeć do kategorii dzikich, bo jadło nożem i miało szczególny sposób słuchania rozmowy z wyciągniętą naprzód szyją i wytrzeszczonymi oczyma, których błękitny kolor świecił z pod brwi siwiejących i zjeżonych. Twarz ta, z temi brwiami i oczyma, pogięta w mnóstwo zmarszczek, miała charakter, przypominała mi widywanych na obrazach ascetów-pustelników. Byłbym może przecież nie zwrócił na nią uwagi, gdyby nie szczególne fluktuacje, którym podlegać zaczęła w czasie rozmowy o Zdrojowskich. Do tej rozmowy indywiduum wmieszać się widocznie pragnęło, lecz brakowało mu śmiałości, albo zręczności, więc wyciągało tylko szyję to w jedną stronę, to w drugą, obracało twarz do jednej osoby, to do drugiej, otwierało i zamykało usta, kręciło się na krześle jak na śpilkach, słowem, doznawało wzruszeń widocznych i, pomimo niemożności wypowiedzenia ich słowami, bardzo silnych. Trochę zaciekawiony, zapytałem pani domu, której miałem szczęście być sąsiadem: Kto to taki?

— To jest sąsiad Mirowa, taka sobie figura! — odpowiedziała pomiędzy dwoma na prawo i lewo rzuconymi zapytaniami i odpowiedziami.

Figura była określeniem zręczniejszem od indywiduum, ale niewiele jeszcze objaśniającem. Po drugiej stronie swojej miałem ładną osobkę, sąsiadkę Mirowa, z którą od przybycia tu swego dość dobrze się poznałem i do której zwróciłem się z kolei z zapytaniem, jak nazywa się ten pan, z temi najeżonymi brwiami?... Na twarzy ładnej osobki odmalowało się zakłopotanie.

— Ten pan... to... to pan...

— Figura? — przerwałem.

— A tak, jakaś figura! I zaczęła prowadzić dalej rozmowę z drugim swoim sąsiadem. Ale w tej samej chwili, Konrad, obchodzący stół dokoła i węgrzyn do kielichów nalewający, pochylił się nademną i zapytanie moje usłyszał.

— To jest taki sobie pan Zwirkiewicz — z cichym wyjaśnieniem pospieszył — *un pauvre diable*, mający ztąd o milę mały folwark, który przyjechał do mnie za interesem przed samym prawie obiadem, więc zaprosiliśmy go do stołu.

Jeszcze chwila i wzniesionym został toast na cześć pań, potem drugi, na cześć tego, kto w dniu dzisiejszym zadał śmierć największej ilości czworonożnych, potem jeszcze nie pamiętam już jaki. Węgrzyn był wybornym, morze świateł łało się z wielkich lamp i świeczników na stół, przy którym stawało się coraz gwarniej i weselej, na talerze świecące drżącymi bursztynami niedojedzonej galarety, na tęczowo błyszczące kryształ, na ożywione postawy i twarze, na połyskujące jedwabiami barw wszelkich stroje pań i czarne, z olśniewającą bielą zmieszane ubiory panów. Na tem tle, w tem morzu światła, nad talerzem, którego porcelanową białość przerzynał wymalowany w sławnej fabryce monogram Konrada, taki sobie pan Zwirkiewicz, nagle postanowieniem zdjęty, wstał z krzesła i trochę przygarbiony, z ogorzałą szyją, daleko naprzód wyciągniętą, w ciemnej, wielkiej ręce, podnosząc delikatny kieliszek z rubinowym płynem, przemówił:

— Wielmożni państwo!

I bladawe wargi jego wraz z szarym wąsem tak zadrżały, że umilkł. Oplakany prawdziwie był widok jego surduta, którego niezgrabne poły wisiały nad stołem i z za którego ukazywała się kamizelka usiana kolorowymi kwiatkami, na tle atlasowem. Błękitne jego oczy, pod najeżonymi brwiami, miały wyraz prawie nieprzytomny, jaki bywa zawsze u ludzi, którzy okropnie boją się, ale koniecznie muszą mówić. Okropnie bał się, ale zarazem musiał mówić, więc po kilku sekundach milczenia, głosem dość donośnym, chociaż drżącym, zaczął znowu:

— Wielka to z mojej strony śmiałość, ale serce i obowiązek rozkazują... muszę tedy... Niech wielmożni państwo darują, ale muszę przed tem najdostojniejszym zgromadzeniem wypić zdrowie osoby, którą tu wspominaną słyszałem tak i owak, a która, wielmożni państwo, jest aniołem na tę ziemię zesłanym, dla ratowania i pocieszania nas biednych, przez wszystkich opuszczonych.

Ośmielał się, oho, ośmielał się znacznie; ciemna ręka, kieliszek trzymająca, trzęsła się wprawdzie tak że aż krople płynu wylewały się z kieliszka i ciekły po grubych palcach, ale oczy stawały się coraz więcej żywe i błyszczące, a mowa coraz płynniejsza.

— Ten anioł boski, wielmożni państwo, zstąpił do mnie kiedy byłem w ciemnicy i wyprowadził mię na światłość... Mieliśmy już ja i dzieci moje pójść w świat z torbami żebrackimi, gdy ona zstąpiła do nas sama, bez prośby, nie jako wielka pani, ale jako siostra, i wyratowała nas od zguby. Wielmożni państwo może i znają tę historję, tedy powtarzać jej nie będę, tylko słysząc ją tu wspominaną... i tak... i owak... zmuszony zostałem przez serce i obowiązek, mały głos mój podnieść i przed całym tem najdostojniejszym zgromadzeniem wypić za zdrowie i wiekuiste szczęście tej mojej dobrodziejki i zbawicielki, tej panny Seweryny Zdrojowskiej... która jest aniołem boskim, na świat zesłanym...

Nie mógł dłużej mówić i, o Boże, jak ciekawie lzy skakały po grubych zmarszczkach jego twarzy, błyszczącymi kroplami osiadając na szorstkich, oszronionych wąsach! Dzielna figura! Ehe! kiedy o tej, którą uwielbiał, wspominano „tak i owak”, nie przyglądała się portretom, albo rozetom i uczyła serce i obowiązek... Różne na świecie bywają figury: jedne w zawstydzających kamizelkach w kolorowe kwiatki; inne z uczuciem wstydu pod sukienem arcydziełem arcykrawca Chabou! Drugi człowiek, który czasem we mnie przesiadywał, podniósł mię z krzesła tak nagle, że ani obejrzałem się, gdy już stałem ze wzniesionym kieliszkiem węgrzyna w ręku.

— Panie i panowie! — przemówiłem, wznosząc z kolei toast abstrakcyjny, ale głęboko uczuty. Niech żyją dwie piękne rzeczy, może najradsze w świecie: serce, które wdzięcznym być umie i bez złotej podstawy — śmiała postawa!

Ja i figura mieliśmy do czynienia z ludźmi inteligentnymi i pełnymi instynktów rycerskich, którzy nas w mgnieniu oka zrozumieli i ocenili sprawiedliwie. Konrad i jego goście rzucili się ku figurze i na wyścigi ściskali jej wielkie ręce, oddając tym sposobem hołd szacunku i nawet rozrzewnienia sercu wdzięcznemu i śmiałości tem cenniejszej, że wyrosła na gruncie małego folwarku. Mnie zaś prześladowało poprostu pytanie: co to było, przy wspomnieniu o czem lzy tak ciekawie skakały po grubych zmarszczkach zmęczonej, zgrubiałej twarzy? Nie potrzebowałem nikogo o to pytać, bo wkrótce po obiedzie, gdy

trochę osamotniony i zamyślony paliłem cygaro w gabinecie Konrada, pan Zwirkiewicz zbliżył się do mnie i z własnego popędu opowiedział mi całą historję. Zaczął od ciężkich czasów, o których zresztą i w Mirowie pomiędzy pieczysem a leguminą dość często wspominało. Ale on o nich mówił z takimi ruchami surduta na plecach i zmarszczek na twarzy, które zdawały się jasno wyrażać, iż mu one nietylko za skórę zajęchały, ale dostały się aż do kości. *Le pauvre diable* cały był przesiąknięty ciężkimi czasami, z przyczyny też których, przed rokiem niespełna nie uścił się z jakichś rat czy zaległości i tylko co, razem z pięciorgiem dorastających i dorosłych dzieci, ze swego folwarku nie wyleciał.

Szło o jakieś parę tysięcy, dla biedaka najzupełniej do zdobycia niepodobne, i już, już, folwarczyna publicznej sprzedaży uleż miała, gdy przybyła niespodziewana pomoc.

— Nieboszczyka jej ojca, panie łaskawy, znałem, ale jej prawie nie, dzieckiem tylko widziałem ją parę razy i pewnie nawet nie wiedziała, jak wyglądam. Przyjechała... bez prośby z mojej strony, sama przyjechała, nie jak wielka pani, nie karetą, której nie wiedziałbym gdzie podziać, nie w pysznym stroju, przed którym możebym języka w gębie zapomniał, ale bryczuszką, w prostej sukience, jak równa do równego przyjechała, rozmówiła się, rozpytała i wyratowała!

Oprócz tego, najstarszą jego córkę wzięła do Krasowiec na nauczycielkę.

— Kogoż to córka pana uczy w Krasowcach?

— Dzieci, panie łaskawy, różne tam dzieci... Teraz kłopot mam z synem, który pięć klas gimnazjalnych ukończył, ale którego dalej w szkołach utrzymywać nie jestem w stanie. Ma ochotę do gospodarstwa i jeżeli pan Donimirski będzie łaskaw przyjąć go do Mirowa na praktykanta...

Pan Donimirski w tej właśnie chwili przy nas stanął i z nadzwyczajną grzecznością w postawie i słowach sąsiadowi oświadczył, że pragnąłby bardzo spełnić jego życzenie, ale będzie mu to niepodobnem, gdyż od najbliższej wiosny majątek w dzierżawę wypuścić i zagranicę na czas jakiś wyjechać zamierza.

— Próbowałem sam gospodarzyć, ale czasy są tak ciężkie, że życie w podobnych warunkach okazało się zupełnie niepodobnem. Same przykrości, same borykania się z przeszkodami wszelkiej natury! Przytem sąsiedztwa dalekie i nieliczne, od kolei mil kilka, stosunki ze światem utrudnione. Rdzewiejemy tu i stajemy się stopniowo umysłowymi nędzarczami...

— Mój drogi — przerwałem — bądź łaskaw zadysponować na jutro dla mnie konie do Krasowiec.

— Z największą chęcią, ale pod warunkiem, że ztamtąd powrócisz do nas i że nie na długo cię utracimy.

Jak ją ja widziałem, jak wypukle ją widziałem, wchodzącą, w prostej sukience, swoim równym, cichym krokiem pod dach małego folwarku i podającą rękę zbiedzonej, zdziwionej, kłaniającej się przed nią „figurze”! Z dodatkiem dzieciaków, które w podziwieniu scenie tej przypatrywać się musiały, był to pyszny motyw do obrazu religijnego.

Niebawem całe towarzystwo wiedziało o mojej jutrzejszej wycieczce, która na gospodynię domu sprawiła efekt najniespodziewańszy, bo uczyniła mię w jej oczach bohaterem, usiłującym przez ucieczkę zwalczyć — namiętność. Cóż? była mężatką, mąż jej był moim krewnym i przyjacielem od dzieciństwa; trawiony tęsknotą ku niej, przybyłem, wyrzutami sumienia mordowany, odjeżdżałem: tragiczna walka uczucia z obowiązkiem, szczytne zwycięstwo pierwszego nad drugim! W małej główce, ozdobionej najzgrabniejszym w świecie noskiem, powstał cały dramacik, którego my dwoje byliśmy bohaterami, i napełnił ją ambicją doświadczenia mię w bohaterstwie. Wszystko to odgadywałem z jej spojrzeń, głosu, półsłówek, z tego także, że ani półsłówkiem nie próbowała mię zatrzymać i niczem umyślnem nie utrzymując jej w błędzie, niczem jej z niego nie wyprowadzałem. Był mi on dogodnym, ratował moją przyzwoitość; nie mogłem przecież jej powiedzieć: „pomimo wszystkiego co pomiędzy nami kiedykolwiek zachodziło i świeżo znowu zaszło, dziś myślą i pragnieniem lecę, a jutro całym sobą polecę do innej!” Taka otwartość byłaby grubiaństwem zupełnie niemożliwym, mała zaś podłość, którą popełniłem, pozwalając tej kobiecie, bądź co bądź łaskawej na mnie, zostawać w grubym złudzeniu, było czemś tak drobnym, powszednim, po niezliczone razy przezemnie i wszystkich popełnianem, że tylko człowiek dziki wahałby się z jej popełnieniem. Tyle tylko, że rozumiałem czem to jest i z kropelką niesmaku na podniebieniu, podłostkę podłostką nazywałem.

Jeden z najstarszych gości Konrada zaczął mówić ze mną o Krasowcach i pomiędzy innymi rzeczami, rzekł:

— Zobaczysz pan tam szczątek pięknego niegdyś okrętu, który po rozbiciu znalazł przystań w Krasowcach: panią Leontynę Brożkową, cioteczną ciotkę panny Seweryny. Hej, hej! jaka to była śliczna i miła kobietka! Pół miljonika przez paluszki jej przeciekło dość prędko i już od jakichś lat dziesięciu u krewnych na rezydencji osiadła... świat o niej zapomniał... zwiędła podobno. *Sic transit gloria mundi!* Ale co to było, hej, hej, co to było! Najmilsze chwile młodości przypominają mi się, gdy o niej wspominam. Bądź pan łaskaw zawieźć jej odemnie bardzo uprzejme ukłony!

Saniami zaprzężonemi parą rosłych tarantów wyjechawszy z Mirowa, po raz pierwszy doświadczyłem uczucia wielkiego oddalenia od miejsc i warunków, wśród których dotąd płynęło mi życie. Uczucie to wzrastało w miarę jak oddalałem się od ludnego, gwarne-go, grającego dworu, a zagłębiałem w gładką, rozległą, śniegiem okrytą pustynię. Ten dwór był pośród tej pustyni oazą, samotnie wzbijającą ku niebu zarówno swoje topole wyniosłe, jak odgłosy swojej wesołości. Był no także akordem rozkosznym, z malutką kankanową nutką, rzuconym na morze ciszy bezbrzeżnej i wspaniałej. Bezbrzeżną wyda-wała mi się białość pustyni, którą przebywałem, i bezdennem napelniające ją milczenie. Wiedziałem o tem, że znajduję się w stronach przestrzeni wielkich i rzadka zaludnio-nych, lecz nie wyobrażałem sobie tej ogromnej tęsknicy, która zdawała się być samem ich powietrzem. Małe gaje i zarośla, rzucając na nieskazitelną białość śniegu szare plamy najrozmaitszych zaokrągłeń i wydłużeń, silniej jeszcze uwydatniały jej monotonię; stada ptaków czarnych unosiły się nad gajami, opadały na pola lotem cichym, lub z głośnem krakaniem szybowwały pod niebem, pogłębiając tylko pustkę i milczenie gajów, pól i nie-ba, które od białej ziemi odcinało się po brzegach pasami gęstej szarżyzny, plamiącej też tu i owdzie mętną białawość jego sklepienia. Godzinę prawie jechałem, nie spostrzegaj-ąc żadnego śladu życia ludzkiego. Nic, tylko rozlóg samotny i śnieżny, z biegnącemi po polach głosami wiatrów i żeglującemi powietrzem skrzydłami czarnych ptaków i szarych chmur. Nie było to brzydkie; owszem, miało charakter piękności surowej i do najwyż-szego stopnia melancholijnej. Więc też, jak wszelkiemu pięknu tak i temu, gotów byłem złożyć hołd uwielbienia, jak we wszelką postać piękną, tak i w tę także wpatrywałem się zrazu z ciekawością, która po obszernym widnokregu ścigając każdy szczegół linji, świa-tła, dźwięku, topiła w nich całkowicie wszystkie uczucia inne, aż do poczucia samego siebie. Największą może z rozkoszy, sprawianych przez piękno, jest zatracanie w niem samego siebie, to jest pamięci i uczucia wszystkich naszych osobistych własności: zła, dobra, przeszłości, przyszłości... Ale to nigdy długo nie trwa. I wówczas także, w rozkosz estetyka rozpatrującego obraz ogromny i zupełnie dla siebie nowy, wmieszało się po pew-nym czasie coś osobistego, po raz pierwszy doświadczanego: słabe i nieokreślone zrazu, potem coraz silniejsze i przykrzejsze uczucie niesłychanej małości własnej. Przyłączyło się do niego wkrótce inne, którem była, że tak powiem, obcość, czy też niespójność, stopnia niezgody sięgająca, z tem co mię otaczało. Ta ziemia, niezmiernym rozłogiem kładąca się aż pod skłony nieba, to niebo, od krańca do krańca niczem nie osłonięte, to powietrze prawie nieruchomo stojące w ciszy, którą przerywały tylko czołgające się po ziemi lub latające górą niewyraźne szepty, westchnienia, szlochania wiatrów, wszystko to było tak ogromnem i tak pozbawionem wszelkiego pokrewieństwa czy z naturą moją, czy z przy-zwyczajeniami, że uczulem się najprzód czemś mniejszem nad źdźbło piasku, a potem czemś więcej zabłąkanem nad liść zwiędły, przez wiatr zerwany z drzewa rodzinnego i na nieznane pola uniesiony. Rozłożyste moje sanie, rosłe taranty, stangret w wysokim kape-luszu liberyjnym, mój Wincenty ze wspaniałej postawy słynący, ja sam, razem ze swoim ładnym wzrostem i najładniejszym futrem, wyglądaliśmy na tym rozłogu, jak mała, bied-na muszka. Ani niebu, ani ziemi, ani tym tajemniczym wzdychaniom, których nad nami i dokoła nas było pełno, nie znaczyliśmy nic zupełnie. Żadnej możliwości odegrania roli jakiegokolwiek, najmniejszego podobieństwa zaznaczenia w sposób choć najsłabszy niepo-spolitości przymiotów swoich i tych szczególnych odznaczeń, które się miało szczęście od natury i losu otrzymać. Na nic tu było wszystko, co gdzieindziej nazywa się szczę-ściem; zupełnie na nic nie przydało się tu być młodzieńcem przystojnym i majątnym, ulubieńcem pań i blizkim znajomym muz. Natura samotna i wielka, bez żadnych stro-ików, w jeden zimowy całun owinięta, kreśliła tu przed takimi jak ja istotami głośne,

a więcej może ironiczne dwa słowa: „prochem jesteś!” Było to tak gnębiące, że po głowie kręcić mi się zaczęło dokończenie formuły popielcowej: „i w proch się obrócić!”

Spojrzałem w górę, szeroko zatoczyłem wzrokiem po sklepieniu i odrzynających go od białej ziemi pasach grubej szarzynny. Ciężkie niebo! I takim bywa tu ono przez długie miesiące, a człowiek musi koniecznie patrzeć na nie, bo — nie ma tu nic innego, na co mógłby patrzeć. Chyba gdzieś tam krzyż podnoszący oszronione ramiona nad rozchodzącymi się ramionami dróg pustych, na których wiatr nieustannie zagląda ślady słabych ruchów ludzkich, które po wielkich polach wijąc się, błędząc, szukając niby portu, czy schroniska, pod szaremi obrzeżynami nieba, jak rzeki w morze, wpadają w mglistą siność wielkich oddaleń.

Najniewłaściwszym byłoby określenie, że nie podobał mi się obraz, który postawiła przedemną natura stron tamtych. Owszem, przeciwnie, znajdowałem go wspinałym, czułem, że posiada on głębie sobie właściwe, od których wraz z tęsknicą i tajemniczością, wiać muszą ku ludziom natchnienia surowe i silne. Rozumiałem, że pośród samotności rozległej i zadumanej, przed obliczem natury, mającym zamiast uśmiechów zalotnych spojrzenie pełne niezgłębionego a surowego smutku, duch ludzki, łatwiej niż gdzieindziej, otrząść z siebie może pyły ziemi brudne czy błyszczące i od tego ciężaru oswobodzony, silnie uderzyć w skrzydła i szeroko je roztoczyć. Teraz może dopiero zrozumiałem, dlaczego ta ziemia rodziła wieszczów takich, że nie byli kieliszkami konwalii, nalanymi wdzięczną wonią, lecz dzwonami, w których uderzały i grały serca milionów.

Alem ja biedny nie był wieszczem, ani we mnie uderzało żadne serce inne, oprócz mego własnego. Obsiadły mię przytem tak gęsto i oddawna pyły ziemi, z których niejeden był przecież szlachetnego pochodzenia, że z pod nich wydostać mogłem tylko sam dzióbek swoich skrzydeł. Oprócz tego, urodziłem się w stronach wcale innych, daleko ludniejszych, weselszych, po kraju nie podróżowałem prawie wcale, a zagranicą do innych wrażeń podróżniczych przyzwyczajony byłem. Więc po paru godzinach jazdy doświadczyłem, oprócz formalnego zgnębienia, czegoś jeszcze, dotąd nigdy nieznanego, a co porównać mogę chyba do trwogi, którą musi czuć człowiek żywcem w podziemiu zamurowywany. Kędyś daleko, ludzie chodzą, jeżdżą, grają, śpiewają, kochają się na sposoby różne i na różne sposoby popisują się przed sobą; piją, słowem, z czary życia różnorodne zadowolenia myśli, zmysłów, smaku, miłości własnej; tu, kompletna bezużyteczność przymiotów najpiękniejszych, śniegi, wrony, kawki, krzyże nad drogami, po których nikt nie jeździ, i w powietrzu melancholja rozszlochana...

Zrozumiałem, wybornie zrozumiałem Konrada, że nie mógł długo wytrwać na tej pustyni, nawet w tak miłej oazie, jaką był Mirów, w oazie otoczonej oprócz wron, kawek i melancholji, barbarzyństwem tak grubym, że na jego widok człowiek ucywilizowany czuje się przerzuconym w przedświty bytu ludzkości. To barbarzyństwo widziałem w paru dużych wsiach, któreśmy na trzymilowej przestrzeni przebywali i które były ciągnąciami się z dwu stron drogi szeregami *wigwamów*, zbudowanych i zamieszkałych przez dzikich. Żeby choć odrobina jakiegokolwiek architektonicznego stylu w tych budowach! Żeby ślad malowniczości w postawach i ubiorach ludzi gromadkami lub pojedynczo spotykanych! Widywałem osady ludowe różnych krajów europejskich i wszędzie znajdowałem jakieś rysy i szczegóły zajmujące, albo wprost zachwycające. Tu, oprócz ordynarności kształtów, rysów i odzieży, nie widziałem nic i nie doświadczyłem niczego oprócz nudy.

Silne wrażenie wywarły na mnie tylko wrota jednej z tych wiosek, które przy otwarciu się zaskrzybiały tak preraźliwie, że o mało nie zemdlałem. Wprawilo mię to w tak zły humor, że dość poetyczny nastrój, którego pomimo pewnych niemiłych uczuć, w drodze tej doświadczałem, znikł bez śladu; nawet postać Seweryny tak zamglila się w wyobraźni mojej, że z trudnością odtworzyć ją mogłem. I gdzież są nakoniec te lasy, których wzorowe gospodarowanie stanowiło nawet w wielkim mieście przedmiot myśli i troski dla ich właścicielki? Gdzież ta puszcza, z którą podobno łączą się te lasy? Zapytałem o to stangreta i dowiedziałem się, że te lasy i ta puszcza znajdują się niedaleko już przed nami, u krańca przebywanej przez nas równiny, a Krasowce stoją u brzegu jednych i drugiej. Dostrzegłem też już ogromne, ciemne półkole, podpierające skłon nieba i wybiegające z niego na białe pola czarne zatoki.

Więc pomiędzy pustynią a puszcza! Pojęcie takiego osiedlenia się uderzyło moją wyobraźnię i zniszczyło ze szczerem fatalny wpływ skrzypiących wrót wiejskich. Seweryna

stała znowu przedemną jak żywa i serce roztajało mi tkliwością, zmieszaną ze współczuciem. Cóż dziwnego, że wyglądała pomiędzy nami jak zalatująca od pól samotnych strofa smętnej pieśni, lub jak westchnienie przywiane od mogił! Może to być, aby te szafirowe gwiazdy spłonęły nad pustynią, a te usta koralowe uwiędły, nie przemienione w płomień i źródło szczęścia? Może to być, aby ta inteligencja, ta wrażliwość i uczuciowość, te artystyczne instynkty, zanikły bez słońca, pomiędzy pustynią a puszczą? Wydało mi się znowu, że jestem królewiczem bajecznym, przeznaczonym do zbudzenia księżniczki, pogrążonej w śnie zaklętym. Porwać ją ztąd, unieść daleko od wron, kawek, wrót skrzypiących i melancholji, własną ręką łąć w jej śliczne usta napój wrzący wszystkimi radościami życia! A potem?... niech co chce będzie! Może wcześniej, niż zamierzałem i chciałem, dokonam tego stanowczego kroku, o którym przecież myślałem zawsze, że dokonany być musi. Nie rad żegnałbym się z absolutną swobodą, której dotąd używałem, ale dla niej... dla jej posiadania i zarazem uratowania... tak, uczyniłbym to najpewniej... Uczynię... Zacząłem poprostu drżeć od niecierpliwości zobaczenia jej i na nic już dokoła nie patrząc, ją jedną tylko widziałem, nietylko już wzrokiem wyobraźni, ale poprostu fizycznym wzrokiem, który z pomocą pamięci ścigał ruchy jej postaci, uśmiechy ust, błyski i głębie spojrzeń, rumieńce lejące się na twarz jej tak dziewiczą, a tak wrażliwą, z utkwionych w nią moich oczu... Moja ty droga! Czy będziesz moją?

Jednak pomimo to wszystko i pomimo woli mojej, na dnie wrzących uczuć cicho pracował we mnie trochę chłodny i ironiczny sceptycyzm: jakie wrażenie sprawi na niej moje niespodziewane przybycie, a szczególnie, co sam uczuję na jej widok? Czy radość i rozczulenie ogromne, jak mi się teraz zdaje, czy może rozczarowanie i oziębienie? Bo na jakim tle ją ujrzę? Jakie akcesoria otaczać ją będą, gdy po raz pierwszy spragnionym wzrokiem ją ogarnę? Czy nie oszpeci jej, a mnie nie ostudzi jaka ordynarność, prozaiczność, cokolwiek takiego, czego moralnie w tym samym stopniu znieść nie mogę, jak fizycznie skrzypienia wrót wioskowych? A potem... te jej wieczne patrzenie na szczyty, które nie są moimi szczytami. Rozumiałem wybornie, że takiej istoty na niziny ściągnąć niepodobna, ale i sam niemniej od niej brzydziłem się nizinami. O to szło, aby ona, nie zniżając bynajmniej wzroku, zmieniła punkt widzenia. Ja uczynić tego nie chciałem i nie mogłem...

— Krasowce! — zawołał Wincenty, odwracając się ku mnie z najbrzydszym swoim grymasem, który tym razem miał oznaczać radość.

Stangret wyciągał ramię, liberyjnemi guzikami świecące, ku ogromnej masie drzew, która gęstwiną od lekkiego szronu popielatą, uwypuklała się na tle rozlanego zblizka przed nami morza lasu.

I w jedną i w drugą stronę dwór ten przebywałem tak wzruszony, że w pamięci mi pozostał obraz jego bardzo niedokładny. Widzę tylko mnóstwo drzew i krzewów, białych od szronu, tworzących grupy i klomby najrozmaitszych rozmiarów i kształtów, pomiędzy którymi sanie moje wiły się poprostu drogami wązkimi i szerokimi, czasem też wydłużającymi się w kawałki alei szerokich i wspaniałych. Widzę domy i domki pośród tych klombów i alei porozrzucane, których okna mróz wyrzeźbiał w wielkie kwiaty, albo ogniska wewnątrz porozpalane przemieniały na drżące wśród białych gęstwin płomyki, widzę i słyszę wypadający z jednego z tych domków rój dziatwy różnego wieku, z przewodniczącą mu dorodną dziewczyną na czele; widzę dom duży, murowany, z ogromnym ganikiem nad kilku wielkimi schodami i z masą drzew, których gałęzie rozłożyste i splecione przysłaniały długi szereg okien. Dom ten, znacznie od wszystkich tych, które minąłem, oddalony, był niby kłamarą niezmiernie prostą, która spinała przestrzeń ogromną, gęsto zadrzewioną, gęsto też drogami i drózkami porzniętą, siedliskami ludzkimi różnych rozmiarów rzadka usianą. Przestrzeni tu nie żałowano, ani drzew, dla których zima szronu a stulecia wzrostu nie pożałowały; więc pomimo architektonicznej prostoty domu, całość dworu była stylową, miała charakter poważnego i surowego bogactwa.

Do obszernej, widnej sieni, której białe ściany oryginalnie i wcale niebrzydło zawieszane były głowami rogatych i nierogatych zwierząt i wieńcami różnych zbóż, wniosłem dwa uczucia: silne wzruszenie miłosne i nieco złośliwą ciekawość. Oba te uczucia miałem w sobie jednocześnie i tak dalece, że nie umiałbym zdać sprawy, które było przemagającym. Splecione szepty wewnętrzne o tem, że wnet ją zobaczę, ręki jej dotknę, wzrok swój w jej głębokich szafirach utopię, krzyżowały się we mnie z drwiącemi nieco zapy-

taniami: co to za dom? jakie jego wnętrze? jakie w nim życie? Znajdowałem się przecież na puszczy, w siedlisku dzikiej, pochodzącej z rodu manjaków; człowiek ucywilizowany nie zniknął we mnie przed zakochanym, ani krytyka i lekka drwina przed pragnieniem bezwarunkowego uwielbienia. Może najwięcej dlatego byłem tu, że pragnąłem bezwarunkowo uwielbiać, że były już chwile, w których tę kobietę tak uwielbiałem; jednak rozglądałem się po sieni z pomimo woli wijąc się po głowie pytaniem: czy nie ma w tym domu choćby małego lokaika, któryby przybycie moje oznajmił? Więc są na świecie domy bez lokajów? Mój Wincenty także zdawał się być zdepeizowanym; futro ze mnie zdjąwszy, rozglądał się dokoła z rękoma obwisłymi i takim grymasem pod rudymi wąsami, który zdawał się mówić: „a toż co takiego? przybyliśmy podobno do domu bez lokajów!” Jedna minuta, dwie, trzy, nikt nie nadchodzi; łosie, jelenie, dziki i inne podobne istoty, ze ścian szczerzą ku sobie kły i nastawiają rogi, w milczeniu głębokim, przerywanym tylko dochodzącą z głębi domu muzyką na fortepianie, ogromnie nieosobliwą i w jakiś zupełnie pocieszny sposób rozromansowaną. To nie ona gra, najpewniej; jej muzyka, chociaż cierpi na pewien brak techniki, jest bezporównania lepszą; ktoś inny wywołuje tu ducha Łucji z Lamermoru, w sposób najpocieszniej wołający o ratunek dla jakiejś opuszczonej i stęsknionej duszy. Co tu robić? Rzecz prosta, przez pierwsze lepsze drzwi wejść w głąb domu, choćby z narażeniem się na wejście do garderoby lub sypialni. Już uczynić to miałem, gdy наконец weszła do sieni, kto? czy ja wiem? jakaś matrona w dużej chustce na plecach i białym czepeczku na siwych włosach, może babka, może stara sługa, średniego wzrostu i barczysta, co ją trochę kwadratową czyniło, z kontrastem siwych włosów i ciemnych oczu pod czarnymi jak kruki brwiami, który zaraz mię uderzył. Cała zresztą ta duża twarz, z wielkim czołem, z bladą i w zmarszczki pogiętą skórą, była surową, chmurną i rzekłbym nawet rozumną. Stając przedemną z rękoma, pod szpiczastymi końcami chustki ukrytymi, matrona ta zapytała:

— Jak godność?

Domyśliwszy się co ta archaiczna forma zapytania ma oznaczać, powiedziałem swoje imię i nazwisko, ani przypuszczając, że wywrze ono na matronie wrażenie prawie magiczne. Zaledwie te dwa słowa: Zdzisław Gronowski, z ust moich wyszły, podniosła głowę, a w jej ciemnych oczach, pod czarnymi, jak kruki, brwiami, przeleciał najprzód błysk przestachu, potem odmalowało się zdziwienie, aż nakoniec utkwily się one we mnie z tak naprężonym pragnieniem przeniknięcia mię do głębi, jak gdyby w palącym niepokojem wołały: „coś ty za jeden? jakim jesteś? po co przybywasz?” Nakoniec, bądź że egzamin wypadł dla mnie korzystnie, bądź że bez względu na jego rezultat, przybycie moje napełniło tę staruszkę radością albo nadzieją, rozpromieniła się cała i otworzyła usta w uśmiechu tak dobrodusznym i serdecznym, jakby wnet miała mi rzucić się na szyję. Jednocześnie, z silnym śpiewnym akcentem zagadła:

— Pan Gronowski! Jezus Marja! To pan do nas przyjechał! A-je-e-jej! A tu Sewerki nie ma. Do miasteczka z Władysiem pojechała... w interesie tego sklepu dla chłopów... ale zaraz powrócą! a tymczasem niech pan będzie łaskaw wejdzie, proszę, bardzo proszę...

Uśmiechała się wciąż tak przyjacielsko, oczy jej, przedtem chmurne, tak ciepło i serdecznie na mnie spoglądały, że pomimo wielkiej ochoty do śmiechu, uczułem się ujętym. Słyszała już o mnie babina, oj, słyszała! Na tę myśl zdjął mię niezwykły popęd do poufałości.

— Czy nie z panią Bohurską mam przyjemność rozmawiać? — zapytałem.

— A jakże! — potwierdziła — ale z kąd pan wie o mnie?

— Niech pani zgadnie.

— Sewerka opowiadała?...

— A jakże! A o mnie czy panna Seweryna pani opowiadała?

Ze skrzyżowanymi pod chustką rękoma, chwilę popatrzyła na mnie znowu i z rodzajem prawie uroczystej powagi odpowiedziała:

— Opowiadała.

Biegła potem ciężko przedemną, drzwi otwierając i zapraszając z gościnnością prawdziwie wzorową. Aha! więc to jest kochana niania Bohusia, która uczyła ją „du-du” i innych podobnych rzeczy. A tam, zdaleka, bo u końca ostatniego z trzech obszernych pokojów, wstaje od fortepianu bardzo zgrabna postać kobieca i na spotkanie moje postępuje lekkim, pełnym wdzięku krokiem. Przyznaję w myśli, że bezporównania ładniej chodzi



ona niż gra i także pełnym wdzięku, jak mi się zdaje, krokiem idąc ku niej, spostrzegam, że jednak w puszczy istnieją czasem istoty zupełnie modnie wyglądające. Krótki stanik, opięta spódnica, kok i loczki sprawiają na mnie zdala wrażenie bardzo miłe; doświadczam takiego uczucia, jak gdybym na dalekiem wygnaniu ujrzał kawałek ojczyzny i w tem najprzyjaźniejszym w świecie usposobieniu, na środku drugiego pokoju spotykając się z nieznaną, odgaduję, że jest to szczątek pięknego niegdyś okrętu. Szczątek wcale przyzwoicie zakonserwowany i przyozdobiony; drobne zmarszczki na okrągłej twarzy kreślą cyfrę lat poważną, ale figurka jeszcze bardzo zgrabna, ruchy żywe, włosy złociste, oczy błyszczące i nietylko mocno przypominające: co to było! ale zapowiadające, że jeszcze to i owo być może! Obejście się kobiety dobrze ze światem obeznanej, zręczne, ujmujące, rozmowa łatwa. Z przyjemnością powitałem w pani Leontynie Brożkowej duszę siostrzaną i przez dobre pół godziny z ożywieniem wielkiem rozmawialiśmy o stolicy, teatrze, sławnych artystach, nowych powieściach, w połowie po polsku, w połowie po francuzku, co wszystko sprawiało nam zadowolenie zobopólne, bo dawało możliwość wzajemnego pokazania sobie: czem to i jakimi to jesteśmy. Powszechnie, w stosunkach ludzkich, przy pierwszych spotkaniach szczególnie, prawie o nic więcej nie idzie, jak o pokazanie: „aha! widzisz, kto ja i jaki!” Lecz tym razem pokazywanie sprzykrzyło mi się rychło i niecierpliwosć zdejmować mię zaczęła. Pani Leontyna, spostrzegłszy to natychmiast, wpadła na pomysł osobliwy skracania i uprzyjemniania mi czasu, przez minki, spojżenia, żarty dwudziestoletniej kokieterki. Widocznie stęskniona do ludzi pewnego gatunku, z pośpiechem usiłowała wskrzeszać wobec jednego z nich swoje umierające wdzięki. Oszpecilo to ją ogromnie. Te błękitne źrenice, które pod zwiędłymi powiekami podnosiły się jak kurtyny, odsłaniając żółtawe białka oczu, te figlarne uśmieški pomiędzy motylkami zmarszczek, ten szczebiot czyżyczki przeplatany melancholją płaczącej brzozy, robiły wrażenie kwiatów wyrastających na ruinach. Z przykrością pomyślałem, że jednak siostrzane moje dusze wcale nieponętnie w piątym krzyżyku życia wyglądają. Czyżby Idalka, pani Oktawja, zgrabna figurka, za lat niespełna dwadzieścia, wyglądały jak ruiny, siłące się na wydawanie ze swych szczelin mizernych kwiatków? Spostrzegłem wkrótce, że ten kontrast ruin i kwiatów jest nietylko komicznym, ale i bardzo smutnym, bo czuć w nim całe szeregi dni pustych i żalonych. Ileż aryj napróżno rozromansowanych Łucja z Lamermooru wyśpiewać musiała nietylko pod palcami, ale i w sercu tej istoty, która miała swoje dobre czasy, a od lat przeszło dziesięciu przebywała w tym milczącym domu, pełnym starych mahoniów i ciemnych obrazów, na którego posadzkach słały się warcabnice z żółtego jesionu i czarnego dębu, którego ściany okryte były spłowiałym błękitem i gasnącemi złoceniami staroświeckich obić, za którego oknami widać było z jednej strony białą gęstwinę drzew i z drugiej strony białą gęstwinę drzew! Rozumiałem dobrze, iż gość z szerokiego świata budzić musiał i do ruchu wyzywać wszystkie pozostałe jeszcze w pustelnicy iskierki marzeń i nadziei. Przez dobre serce powtórzyłem pozdrowienia prawie rozczulone, które przesyłał jej przezemnie jeden z gości Konrada. Rozpromieniło to ją zrazu jak słońce i z dziewczęcym ruchem ładnych, lecz już trochę wychudłych rączek zawołała:

— Ach tak byliśmy z sobą bardzo, bardzo dobrze... był to jeden z najserdeczniejszych moich przyjaciół...

Potem, z oczyma naśladującymi podnoszące się kurtyny, mówiła, że jednak przyjaciela tego nie widziała ani razu, odkąd dotknęły ją nieszczęścia i zamieszkała w Krasowcach. Była tu wygnanką, która opuściła wszystko swoje, ale też i wszystko swoje ją opuściło.

— Bo przyjaciele nasi — dokończyła — są daleko więcej przyjaciółmi naszego powodzenia, niż naszymi i razem z powodzeniem nas opuszczają...

Nie mogłem odmówić zdaniu temu pewnej słuszności i na chwilę zjednoczyliśmy się w jednostajnie prawie sceptycznych poglądach na świat i ludzi. Powiedziałem jej nareszcie w sposób żartobliwy, że byliśmy oboje nieloiczni, bo niekorzystne zdania wygłaszając o ludziach i świecie, ona umierała z chęci znajdowania się pomiędzy nimi, ja bez nich żyć nie chciałem i nie mogłem.

— Tak — odpowiedziała — bo świat i ludzie dają nam złudzenia i rozrywki, pośród których zapominamy o marności ich i swojej.

Bardzo dotrze powiedziane. Złudzenia i rozrywki. *C'est le mot*. Dziwna rzecz jak jesteśmy oboje rozzarowani do świata i zarazem przezeń oczarowani! Pani Leontyna jest

stanowczo siostrzaną moją duszą. Żeby tylko oczu tak nie przewracała i nie robiła takich figlarnych minek! Zawiele też pudru pozostawia na twarzy i trochę niedelikatnie daje mi do zrozumienia, że niecierpliwie się długą nieobecnością Seweryny. Czyżby, korzystając z tej nieobecności, chciała jej zrobić podstęp w moim sercu? Cha, cha, cha! Przepocieszne, a jednak prawdopodobne. Bo najprzód, takie ruiny porośnięte kwiatkami, nie zeznają przed sobą nigdy, że są ruinami, a następnie, są zdolne do wszystkiego, ale to zupełnie do wszystkiego, gdy idzie o mały, chociażby malutniczeki romansik. Doprawdy, ta rezydentka Krasowiec zdaje się nieco złośliwie wyrażać o ich dziedzicze. Jest to złośliwość podobna do ciernia ukrytego pod różą, bardzo delikatnie i zaledwie końcem języczka wychylająca się z pod ogromnego przywiązania, które mówiąca uczuwa dla tej dziwnej, prawdziwie niezemskiej istoty. Trudno pojąć jakim sposobem stała się ona niezemską, bo dzieciństwo miała zupełnie zwykłe, wychowywana przez ojca może trochę surowo, ale starannie, pieszczona za to bardzo przez starszego o lat kilka brata. Wyrosła była na panienkę wesołą, lubiącą bawić się i ubierać, taką słowem jak wszystkie. Ale był to widać tylko pozór, bo gdy zaszły pewne wypadki publiczne, naraz zaczęła zmieniać usposobienie: poważnieć, smutnieć... Co się to napłakało, co nadesperowało przy każdej nieszczęśliwej wiadomości, przy każdym żalonym wypadku, które, naturalnie, i innych także bolały, ale w stopniu pewnym i przez czas pewien. Dla niej te wrażenia przybierały rozmiary i trwanie najniezwyklesze. Można też sobie wyobrazić, co przy takim braniu wszystkiego do serca dziać się z nią musiało, gdy utraciła niezmiernie kochanego brata, a wkrótce i ojca...

— Pan Adam był podobno młodzieńcem wielkich zdolności? — wtrąciłem.

— Ogromnych zdolności i ogromnie szlachetnym, ale... pan Romuald wychowywał go oryginalnie, zupełnie na swój sposób i miał potem takich kolegów... ten pan Władysław naprzykład... syn starej sługi domu, która też była niańką Sewerki... To bardzo dziwne, to nawet wydaje się nieprawdopodobnym, ale jest faktem, że ci *gem de rien* wywarli na Sewerkę wpływ ogromny i bardzo nieszczęśliwy...

Zupełne zapomnienie o figlarnych minkach i pewne sztyleciki w oczach, powiedziały mi wyraźnie, że towarzyszka moja serdecznie tych *gens de rien* nienawdziła. Ale bo też i miała za co ich nienawdzić. Dziewczyna zdenerwowana gromami, które w pierwszą jej młodość uderzyły, a jednym z nich w samo serce ugodzona, była dla tych dwóch kobiet przedmiotem walki, w której kochana niania Bohusia ciocię Leontynkę pobiła na głowę. Chorą fizycznie i moralnie, zrozpaczoną, osieroconą, wygnanka raju chciała naturalnie leczyć i pocieszać rajem. Namawiała ją, aby coprędzej wydzierżawiwszy Krasowce, wyjechała zagranicę, osiedliła się w wielkim mieście, weszła w świat, wśród którego miałyby przecież tak doświadczoną i biegłą jak ona przewodniczkę. Była przecież starszą od Sewerki (trochę!), znała świat (i jak jeszcze!), rolę opiekunki i przewodniczki spełniałaby względem krewnej przez sam już dług wdzięczności, względem jej rodziny zaciągnięty (z największą przytem ochotą i uczuciem prawdziwego oswobodzenia z wygnania). Dla panienki tak urodzonej, wychowanej i majątnej, była to droga pocieszania się najwłaściwsza. Sewerka wprawdzie do tej drogi pociągu nie czuła, ale z czasem dałaby się pewnie ku niej nakłonić, gdyby nie wpływ tej... tej... tej baby!...

Trzeba było wielkiego uniesienia, aby z ustek siostrzanej mi duszy wyszło słowo tak gminne, jak: baba, ale uniesienie było równie wielkim, jak poniesiona za sprawą tej baby klęska. Z jej to powodu nie wróciła do raju i musiała samotnie mordować na fortepianie Łucję z Lamermooru. Baba ani na chwilę nie odstępowała swojej kochanej sieroty i jako to była kobieta z ludu, musiała niezawodnie posiadać sztukę czarów, za pomocą której, jeżeli nie pocieszała ją, to przynajmniej uspakajała. Kiedy z nieustannym przed oczyma obrazem brata, umierającego w męczarniach, bez pomocy i ratunku, Seweryna sypiać nie mogła i z włosami rozrżaganymi, a przerażoną twarzą, całe noce spędzała jak martwa lub oszalała, ona ją w silnych ramionach kołysała jak dziecko i jak dziecku nuciła nad nią te same smętne, monotonne piosnki, które usypiała ją w kolebce. Sprowadzało to na jej wyschłe oczy łzy, potem sen. Kiedy pocieszana przez panią Leontynę tem, że ma przecież znaczny majątek, wpadała w gniew i głowę ściskając, wołała: „Na co mi ten majątek? na co? co ja z nim zrobię? Adaś utracił wszystko, nawet życie, a ja mam majątku jego używać!” — baba szeptała jej do ucha coś takiego, od czego w oczach przerażonych i splakanych zjawiał się błysk nadziei. Ostatecznym wynikiem tych czułości i szeptów

z babą, którym, naturalnie, przychodziły w pomoc wrodzone skłonności i upodobania, było to, że pewnego pięknego poranku Seweryna powiedziała ciotce:

— Krasowce nie do mnie należą, ale do Adasia. Majątku tego używać będę dla siebie tyle tylko, ile to będzie koniecznym, resztę oddam temu, co on kochał. Duch może przeżyć ciało. Duch Adasia żyć tu będzie przez to, że wszystko robić będę tak, jakby on robił, gdyby żył.

— *Simple comme bon jour*, nieprawdaż?... Od tego czasu kamieniem zasiadła w Krasowcach. Sprowadziła sobie do pomocy kolegę i przyjaciela brata, z którym wspólnie różne plany i projekty wymyślają i wykonywają. Myślałam z początku, że to przejdzie, ale nie; *la foi vient en priant*: zrazu robiła wszystko dla ducha Adasia, a potem sama nabrała takich zamiłowań i przyzwyczajzeń, że lękam się, bardzo się lękam...

Machnęła rączką ze zniechęceniem nadzwyczajnym, na ładniutkiej, pomarszczonej twarzyczce odmalowała się prawdziwa rozpacz. Nie potrzebowałam zapytywać, czego się lękała. Wiedziałem. Przedewszystkiem tego, że nigdy już w życiu nie opuści Krasowiec, jeżeli panna Seweryna w sposób odpowiedni swemu położeniu towarzyskiemu za mąż nie pójdzie. Przez całą tę długą rozmowę napełniały mię uczucia wątpliwości i czułości tak jednocześnie, że nie wiedziałem, które było przemagającym. Surowa, ale i głęboka poetyczność tej doli i tej duszy kobiecej, przemawiała mi silnie do wyobraźni i do serca. Tylko znowu nie pojmowałem, po co to koniecznie jeździć samej do miasteczka w interesach tego sklepu dla chłopów... Pan Bohurski mógłby wyśmienicie sam jeden jeździć wszędzie i na siebie jednego wziąć całą prozę tej poezji! Ale widać był to taki czynny charakter. Niezmiernie czynny. Dowiedziałem się od towarzyski mojej, że panna Seweryna brała osobisty udział we wszystkim, co tylko robiło się tu w imię Adasia i dla unieśmiertelnienia jego ducha, więc w rachunkach, administracji, objeżdżaniu pól i lasów, w godzeniu, leczeniu, oświecaniu ludności okolicznej i zakładaniu dla niej instytucyj rozmaitych. Kiedy już nie miała zupełnie co robić, szła do ogrodu, gdzie własnymi rękoma siała i sadziła różne rzeczy. Były to sposoby zapracowywania na godziny czytania i muzyki, które stanowiły jej osobistą własność. Bardzo piękny użytek z życia, tylko, że z upływem czasu, nietylko rączki mogą od niego zgrubieć, ale także mózg i nerwy...

Przez okno, w pobliżu którego siedzieliśmy, zobaczyłem wysuwające się z za grupy drzew jednokonne sanki i siedzącą na nich parę ludzi. W mgnieniu oka stałem już u okna, sam jeden, bo pani Leontyna, jednocześnie ze mną spostrzegłszy nadjeżdżających, w sposób siedmnaścieletni zatrzepotała się, zaszczębiotała i wybiegła dla rozkazania wszystkim w domu, aby nie oznajmiali Sewerce o przybyciu mojem, z którego chciała zrobić dla niej zupełną niespodziankę. Nie było to bardzo stosowne, ani zręczne, ale służyło za pretekst, najprzód do miluchnego potrzepotania się, a potem, jak się domyślałem, do pozostawienia nas w chwili powitania we dwoje.

Na przestrzeni obszernej i oryginalnie zadrzewionej, ładne sanki, w rosłego konia zaprężone, okrążając klomby i grupy drzew, to wysuwały się z za nich, to za nimi znikwały, bardzo szybko, ale dość długo, abym mógł ocenić biegłość osoby powożącej w sztuce kierowania pięknym i rączym koniem. Powoziła sama, ze zręcznością zdradzającą, że była to jedna z nielicznych, dostępnych jej rozrywek, a z pewną nawet ładną brawurą pod ganek zajęchawszy, oddała lejce bezczynnemu dotąd towarzyszowi, z którego całej osoby spostrzegłem tylko barankową czapkę, tak mię pochłaniało witanie się wzrokiem z pewnym mizernem, lecz dobrze zapamiętanem futerkiem. Przy wbieganiu na schody ganku, futerko, kapelusik, równie dobrze zapamiętany, a pod nim twarz niczem przed chłodem nie osłonięta, i para zaróżowionych od chłodu uszek, mignęły mi tylko przed oczyma, poczem zaraz, głos dobrze znany i zapamiętany, po kilkakroć zawołał w sieni:

— Bohusiu! Bohusiu! Buhusiu!

Wołanie to było dźwięczne, donośne, w kilka tonów wymodulowane, a kiedy przez parę minut nie odpowiadał na nie żaden głos inny, żaden nawet szmer, w milczącym domu, pod niskimi jego sufitami, rozległ się czysty i głęboki sopran kobiecy, z pełnej piersi śpiewający:

„Rosła kalina z liściem szerokim,  
Nad modrym w gaju...

Urwała się piosnka, ale po kilku sekundach rozległa się znowu:

...rosła potokiem...  
Drobny deszcz piła, rosę zbierała...  
W majowym słońcu liście kapała”...

Prześlicznie! prześlicznie! ręce składały mi się do oklasku. Co za czystość i rozległość tonów, jaka w nich bezbrzeżna tęsknota... Zupełnie innej natury tęsknota, niż ta, którą z pod palców pani Leontyny śpiewała Łucja z Lamermooru! Tu czuć było serce młode, do dna zdjęte takim żalem, żalem... Serce uderzało mi silnie i spiesznie. Byłem bardzo wzruszony. Najłżejszym ruchem nie chciałem zmącić niezmiernego dla mnie uroku tej chwili.

„Wiatr codzien cesał jej długie włosy”...

Płynęły tony pieśni po milczącym domu, przez boczne jakieś pokoje, których nie widziałem, lecz które śpiewająca powoli przebywać musiała, aż zbliżyły się znowu...

„A oczy myła kroplami rosy”...

I w odległości dwu obszernych pokojów, w drzwiach, które z cicha się otworzyły, pieśń nagle zamilkła. Wysmukła dziewczyna w czarnej sukni, z wysoką koroną warkocza nad głową, stanęła na tle spłowiałych błękitów i złocień staroświeckiego obicia, podobna do posągu bezdenne go zdumienia, i pośród zbladłej jak papier twarzy, tylko kwiatem ust koralowych płonąca... W mgnieniu oka byłem przy niej i całując zimne, trochę drżące ręce, wzrok podnosiłem ku jej oczom, w których niemem zdziwieniu tkwił niepojęty dla mnie przestrach. Zaledwie po kilku sekundach cichuteńko szepnęła:

— Ty, kuzynie... tu!... jakim sposobem? jakim sposobem? kiedy?

A ja, nie odpowiadając bezpośrednio na jej pytania, trochę może bez związku mówiłem o jej ucieczce, o tem, że to jest bardzo, bardzo źle, czynić ludzi tak nagle nieszczęśliwymi, że jednak są na świecie lokomotywy, konie, wole niepokonane, serca zuchwałe i że oto doścignąłem ją, jestem tu, u stóp jej i o jedno tylko proszę, aby bez śledztwa i sądu nie wypędzała mię z łaskawości swojej i — z puszczy!

Z wielkiem panowaniem nad sobą otrząsnęła się ze wzruszenia i trochę jeszcze blada, ale z uśmiechem i zupełnie naturalną uprzejmością, rzekła:

— Serdecznie witam cię — w puszczy, mój kuzynie.

A potem, idąc i mnie prowadząc ku ciężkim krzesłom, zręcznie w rogu pokoju dokoła stołu ustawionym, wzrokiem wskazała na okna.

— Czy nie miałam słuszności, opowiadając ci, kuzynie, że każdej zimy dom ten stoi zanurzony w alabastrowem gnieździe?

Istotnie za oknami, ze stron wszystkich, z nieprzebraną fantazją i niesłychanem bogactwem wznosiły się i płątały alabastrowe rzeźby drzew, okrytych śniegiem i szronem.

— Gniazdo jest takim — odpowiedziałem — jakie wyśnić może tylko fantazja północnego poety i cudnie śpiewał w nim przed chwilą jakiś słowik...

Zarumieniła się po swoim, bladym karminem, aż po brzegi włosów.

— Cóż on śpiewał? — zapytała — może „du-du”?

Uśmiechnęliśmy się, stojąc jeszcze i nie wiedząc dobrze co mówimy; w niej czuć było pracę woli, mocującej się ze wzruszeniem; ja, chciwie śledząc na zmaconych rysach znikające jego ślady, raz jeszcze przycisnąłem do ust rączkę trochę różową od chłodu, która z przytrzymującej ją nieco dłoni uciekła — ale nie zaraz.

— Konrad Donimirski i jego żona przesyłają ci, kuzynko, przezemnie najprzyjaźniejsze ukłony.

— Byłeś więc w Mirowie? — z wielką żywością zapytała.

Zapewne pomyślała, że podróż moja miała Mirów na celu i że tu przybyłem tylko dla zadośćuczynienia formom towarzyskim, nakazującym odwiedzić krewnę, gdy się znajduje w jej pobliżu. Domyśliłem się tego i z równą jej zapytaniu żywością odpowiedziałem:

— Zajeżdżałem do Mirowa dlatego tylko, aby zapytać tam o drogę do Krasowiec...

Wtedy radość wielkim błyskiem wyjrzała z jej oczu, ale tylko na sekundę, bo zastąpił ją wnet wyraz przerażenia, tego przerażenia, które obudził w niej zrazu mój widok, a którego przyczyn pojąć nie mogłem. Ale prędko je pokonała.

— O drodze do Krasowiec w Mirowie zapomnieć musiano — z uśmiechem zauważyła. Nie bywamy u siebie wcale...

— Są to przecież, kuzynko, twoi bliscy krewni, i wiem dobrze, że nie z ich przyczyny...

W tej chwili zobaczyłem coś tak oryginalnego i ładnego, że mimowoli słowa niedokończone na ustach mi zawisły. W perspektywie trzech dużych pokojów, ujrzałem wchodzącą parę ludzi poprostu legendową. Było to dwoje starców takich, że na ich widok od razu nasuwali się pamięci Adam i Ewa, Filemon i Baucis, Piast i Rzepicha. On wysoki, szczupły, w czarnym odzieniu, z czemś tylko jakby czerwona wstążeczka u piersi, ze srebrnymi rzadkimi, włosami i sztywnością żołnierza w postawie i ruchach; ona znacznie niższa, delikatna i drobna, także w czarnej sukni, także ze srebrnymi, tylko przepyszniejszymi, ogromnymi włosami na pochylonej nieco głowie. Trzymali się pod rękę i wzajem siebie prowadzili, to było widocznym. Widocznym było, że on był ociemniałym i ona jemu wzrok zastępowała, że ona była bardzo słabą i on wspierał chwiejając się jej kroki. Powoli szli po uścielającej posadzkę warcabnicy z żółtego jesionu i czarnego dębu, pośród ciemnych obrazów na spłowiałych obiciach rozwieszonych, podobni do prastarych duchów tego domu, a ilekroć mijali jedno z licznych okien, postacie ich jednoczyły się z rzeźbami ze śniegu i szronu, w jakąś prawdziwie zimową baśń czy idyllę. Bardzo niespodziewany widok. Trzeba jechać aż do puszczy, ażeby spotkać się z taką parą. Przypomniałem sobie zresztą, że Seweryna miała dziadka i babkę, wprzód nim wraz z nią przed nimi stanąłem.

— Masz podobno, Sewerko, gościa ze stron dalekich? — zapytał starzec głosem znizonym i przyjemnym, co mię od razu dla niego ujęło. Niezmiernie byłem wrażliwy na dźwięki głosów ludzkich, a w tej rodzinie wszyscy snadź mieli głosy przyjemnie w ucho wpadające.

— Tak, dziaduniu.

Po wzajemnym przedstawieniu i uściśnieniu ręki, która przez chwilę wahała się w powietrzu, nim moją znalazła, oczy pana Adama Zdrojowskiego, dziwnie czyste i błękitne, błędziły czas jakiś po przestrzeni dla nich niewidzialnej, a ruchowi ich towarzyszyło falowanie grubych fałd na czole i policzkach. Coś sobie przypominał, aż przypominał i uradował się ogromnie.

— Gronowski... Gronowski... Pamiętam... pamiętam! W trzeciej dywizji kawalerji... w korpusie generała Masseny...

Natychmiast zrozumiałwszy omyłkę, w którą popadał, przerwałem:

— Stryjeczny dziadek mój służył w kawalerji, dowodzonej przez generała Massenę...

— Dziadek — powtórzył mieszając się i smutniejąc i z zamyśleniem dodał — a pan nie?

— Pan Gronowski, dziaduniu, tych czasów i tych rzeczy nie pamięta — zcicha wtrąciła Seweryna.

— Nie pamięta! — powtórzył znowu i błędnie oczyma szukając jakby mojej twarzy, mówił: to szkoda... to szkoda... dla pana... niech pan tego żałuje... bo to były czasy...

Wyprostował się jeszcze więcej.

— Bo to były czasy... czasy...

Myśl jego wahać się musiała w otaczającej go ciemności, bo mowa była powolną i trudną.

— Bo to były czasy gorące... — dokończył — i rzeczy... rzeczy... bohaterskie!

Co za myśl, kazać mi żałować, że nie jestem swoim dziadkiem! Uśmiech przemknął mi przez umysł, ale tylko przemknął, spłoszony uczuciem uszanowania, ogarniającem mię tem niespodzianiej, że doświadczałem go bardzo rzadko. Z przejściem się też niespodziewanem dla samego siebie, ale tak szczerem, że aż głowę mi pochyliło, rzekłem:

— Szczęśliwemi są pokolenia, które w dni gorące siał mogą na ziemi bohaterstwo!

I zaledwie wymówiwszy to, pomyślałem;

— Gdyby to Józio i Leon, a zwłaszcza ta wielka śmieszka, pani Oktawja, patos mój usłyszeli!

Ale ślepy wojak usłyszał w głosie moim prawdę, która też tam i była w chwili, gdy mówiłem.

— Nie trzeba myśleć... — zaczął znowu — nie trzeba myśleć, że zdobywaliśmy... tylko... tylko sławę... I to piękna rzecz... ale jest... jest... jeszcze piękniejsza... My mieliśmy... mieliśmy ideę!

To bardzo ciekawe. Jaką też oni mieli ideę? Świat podbijać? No, to w każdej epoce posiada sporo amatorów! Zaledwie miałem czas to pomyśleć, gdy ukazała się pani Leontyna, w trochę, jak mi się zdawało, przyozdobionej naprędce toalecie, i wzięwszy pod ramię Sewerynę, wprowadziła ją do sąsiedniego pokoju, gdzie zcicha i z zapalem mówić jej o czemś zaczęła. Seweryna odpowiadała przeczącymi wstrząśnieniami głowy, przy czem moja siostrzana dusza wydawała się oburzoną, a Seweryna rozśmieszoną. Ciekawy przedmiotu sprzeczki, musiałem przecież, przez krótką wprawdzie chwilę, dotrzymywać towarzystwa żyjącej legendzie, z którą mię pozostawiono, a raczej jednej tylko jej połowie, bo Baucis była zupełnie milczącą; tylko blada twarz jej, pod białymi włosami oświecona parą zamyślonych oczu, i uwiedle drobne ręce na kolanach spokojnie splecione, posiadały melancholijną wymowę wszystkich rzeczy dogorywających. Ale Filemon dotąd jeszcze miał w sobie trochę tych upałów, które za czasów jego młodości na świecie panowały, i wtedy już, prawie zaraz po przywitaniu, miałem przyjemność wysłuchać małego wykładu wielkiej idei, którą oni, niegdyś, ze „świętej” Francji po całym świecie roznosili.

Nagle zapytał:

— Pan był we Francji?

I imię to rzuciło mu na twarz lunę, pod którą odmłodził i zapłonął. Bardzo czcigodny i malowniczy starzec; zaczynałem tylko obawiać się, czy *à la longue* nie będzie trochę nudnym...

## V

— Pan był we Francji?

Boże! czy ja byłem we Francji? Gdyby ten starzec nie był pozbawionym wzroku, po kilku minutach patrzenia na mnie poznałby musiał, że nie wyglądałem na takiego, który we Francji nie był. Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, wyprostował się i poweselał. Ucieszyło go, że ma z kim mówić o tem, co było często, jeżeli nie zawsze, przedmiotem jego myśli.

— Widział pan tamtejsze pola, ogrody, winnice? Co z nich praca ludzka uczyniła? ha? Raj... panie mój, raj obfitości, dostatku i piękności... prawda? ha? bo tam i o piękność ziemi bardzo dbają... bardzo dbają... Raj obfitości i piękności...

Było to prawdą, którą z przejęciem się potwierdziłem, na jego zaś twarz, która miała w cerze coś z opalenia prochem i południowem słońcem, spadł taki wyraz, jakby on sam znajdował się w raju.

— Tam nie ma... nie ma głodu... i... i... nędzy... — mówił.

Oczy otworzyły mi się tam szerzej. Jakto! tam nie ma głodu i nędzy?...

— Czy widziałeś pan tam kiedykolwiek żebraka? ha? czy widziałeś żebraka?... cha, cha, cha! Czy widziałeś pan tam kiedykolwiek człowieka skrzywdzonego? Naturalnie, że nie. Społeczeństwo, które od stu lat posiada sprawiedliwość, żyje i oddycha sprawiedliwością, nie może mieć skrzywdzonych... Tam krzywdzie leb ścięto! tam, panie mój, ścięto leb krzywdzie, która chciała świat zjeść, ale nie zjadła, bo go jej Francja z paszczy wyrwała! cha, cha, cha!

Śmiał się szeroko, dobrodusznie, wyschłą dłonią uderzając się po kolanie, jakby cieszył się z jakiegoś potężnego, przepocięzkiego figla. Nie wiedziałem, co myśleć. Jakto! tam nie ma żebraków i gdziekolwiek na świecie ścięto leb krzywdzie! Dziwna rzecz, że ani Idalka, ani Konrad nie uprzedzili mię o tem, że pan Adam Zdrojowski jest obłąkanym!

Bąknąłem coś o tem, że jednak proletarjat, kwestja wyrobnicza...

Zaśmiał się i ręką machnął.

— Niech pan w to nie wierzy! To tylko tak piszą... przez... przez zawiść i... oszczerstwo... Dwadzieścia lat tam przeżyłem, naocznym świadkiem... Przecież pan wie, że tam wielka własność rozpadła się na małą...

I bardzo przytomnie, z wielką precyzją dat i zdarzeń powtórzył historię porewolucyjnego rozdzielenia się we Francji posiadłości wielkich na mnóstwo małych. I zaraz dodał:

— Ale to wszystko nic nie znaczy. Własność czy wielką jest, albo małą, to nic nie znaczy. Można powiedzieć, że tam własności wcale nie ma, bo... bo egoizmu nie ma, zbytków nie ma, a jest litość i miłość. Gdzieżby tam człowiek bogaty mógł obojętnie patrzeć na niedostatek drugiego człowieka... cha, cha, cha! *Fraternité*, panie mój, *fraternité*! braterstwo ludzkie! Ludzie kochają się jak bracia i trzymają się jak bracia za ręce, w kupie... ramię przy ramieniu, serce przy sercu... tak, tak! I dlatego nikt tam nie nadużywa i nikt nie cierpi... a kraj jest wielki... piękny... potężny... Tak, tak... w kupie się trzymać, serce przy sercu, ramię przy ramieniu i... Inaczej nic... inaczej zguba!... Francja do czego doszła? no, cóż, panie?... raj... słońce świata! Co tu i mówić!

Zachwyconych słów tych słuchałem i na wilgoć, która oszkliliła ślepe jego oczy, patrzyłem z zadziwieniem, umniejszanem tylko przez przypuszczenie, że miałem do czynienia z obłąkanym. Ale Seweryna, która w tej chwili, po skończonej sprzeczce z ciotką, do nas wróciła, prędko i cicho szepnęła:

— Proszę cię, kuzynie, abysz dziadunia z błędu nie wyprowadzał. Jest on jego szczęściem...

Że ten błąd nie był obłąkaniem, przynajmniej całkowicie, przekonałem się zaraz, gdy na parę zapytań moich o wielkie wypadki, w których zamłodu był uczestnikiem, usłyszałem odpowiedzi obszerne i podszyte pewną dość ładną filozofją. Znać było po nim odczytanie duże i to, że niegdyś musiał być człowiekiem znacznych zdolności umysłowych. Tylko, że wiek i ślepotą przeszły po wszystkim niby prasa, wyciskająca sok z jagód, a miazgę na stronę odrzucająca. Wszystko odpadło: ambicje, rachuby, nawet uroki osobistych wspomnień i uwielbień; to zaś, co było na dnie duszy tego człowieka i stanowiło najgłówniejszą jej esencję, skryształizowało się w kroplę, która odbiła w sobie obraz Atlantydy niebywalej. Ale on, w otaczającej go od lat wielu ciemności, tak przypatrywał się tej Atlantydzie, tak ją stroił we wszystko, co przedtem poczytywał za dobre i piękne, że nakoniec uwierzył w prawdziwość jej istnienia, w prawdziwość urzeczywistnionego na ziemi ideału. Zjawisko psychiczne dość skomplikowane i ciekawe, któremu jednak tym razem nie miałem czasu przypatrywać się dłużej, bo pan Adam pokręcił głową w obie strony i niezmiernie łagodnym głosem odezwał się:

— Julciu!

— Jestem tu, Adasiu — cichuteńko ozwała się staruszka.

— Pójdziemy do siebie, Julciu.

— Dobrze, Adasiu.

I zaraz, z pomocą Seweryny z krzesła powstawszy, pod ramię go wzięła. On zaś, obracając twarz w stronę, w której głos mój słyszał, z uprzejmym uśmiechem mówił:

— Proszę, bardzo proszę, abys pan łaskaw był mię odwiedzić... my tu rzadko przychodzimy, bo żonie nogi nie służą... po cóż zresztą? Najlepiej nam w pokojkach swoich... razem... czytujemy... to jest Julcia mi głośno czytuje... ona jest memi oczami, a ja jej ki-jem do podpierania się... cha, cha, cha! i niczego nam nie brakuje. Czytamy teraz szkic Macaulaya o podbiciu Indyj przez Anglję... Jaka przemoc, jakie okrucieństwa! Ale niedługo to już potrwa... Oho! Jest na ziemi idea, którąśmy... my roznieśli... i zasiali po całym świecie... jest Francja! Zobacz pan, że cały świat wkrótce będzie taki...

— Chodźmy, Adasiu — szepnęła pani Adamowa.

— Chodźmy, Julciu! Proszę odwiedzić nas, panie Gronowski, bardzo proszę...

I odeszli jak przyszli, zwołna przesuując się po wielkich pokojach, przed oknami, które im dawały tło z rzeźbionego alabastru. Adaś i Julcia! Zdawało mi się, że patrzę na wcieloną bajkę i nie ręczę, czy ścigając ją oczyma, nie miałem pozorów zadziwionego gapia.

Ale i obiad w tej porze był dla mnie niespodzianką; prędzej już, około 3 popołudniu spodziewać się mogłem spóźnionego śniadania. W sali obszernej, którą nazwałbym izbą, gdyby nie kredens dębowy, tak stary i wspaniale rzeźbiony, że przez chwilę oczu od niego oderwać nie mogłem, zasiedliśmy dokoła stołu w kompanji dość licznej i która odrazu wcale niekorzystnie na humor mój wpłynęła. Był tam najprzód ów pan Bohurski, dla którego na niewidziane i jakoś instynktowo uczuwałem był malutką antypatję. To też ogromnie mi się nie podobało, że przyszedł w wysokich butach i jakimś rodzaju surduta, barankami oszytego, i że dwaj młodzi chłopcy, o których zaraz dowiedziałem

się, że byli sąsiadami, ćwiczącymi się tu w sztuce gospodarstwa rolnego, przyszli w strojach bardzo do tego podobnych. Nigdy ludzie dobrze wychowani nie odważają się stawać w tak zaniedbanym ubraniu wobec damy, dla której mają uszanowanie. Bo dobrze to mówić, że nie suknia zdobi człowieka, ale w świecie cywilizowanym każda forma towarzyska jest wyrazem jakiegoś uczucia, albo zasady. Wprawdzie, ubieramy się często we fraki na cześć osób, dla których nie mamy żadnej czci, niemniej frak jest wyrazem czci, a wysokie buty jej zupełnego braku. Ale w puszczy, jak w puszczy; mniej głębokie pojmowanie rzeczy wiele wytłómaczyć może i panowały tu widać takie zwyczaje, bo dwie panienki, którym miałem przyjemność być przedstawionym, mógłbym być poczytać za garderobiane, gdyby mi nie powiedziano, że jedna jest panną Zwirkiewiczówną i uczy w Krasowcach różnych rzeczy, a druga, nie pamiętam już jak nazywająca się, ale także córka sąsiada i uczy w Krasowcach różnych innych rzeczy. Synowie sąsiadów i córki sąsiadów, zapewne takich jak Zwirkiewicz, na praktyce gospodarskiej albo edukacyjnej. Było jeszcze przy stole jedno miejsce dla kochanej niani, która jednak przysiadła na niem rzadko i na krótko, bo z pomocą jakiegoś dziewczątka, zaledwie obutego, jedzącym usługiwała. Ja siedziałem pomiędzy gospodynią domu a ciotką Leontynką. Lokaja nie było ani cienia, porcelan i sreber, o których mówiono w Mirowie, tylko trochę i najściślej potrzebnych. Przybycie moje nie zostało tu poczytanem za wypadek, godny jakichkolwiek ekstraordinaryjnych przygotowań. Wszystko to nie powinno było mię zadziwiać. O mieszkańcach Krasowiec słyszałem już przedtem od Seweryny, a z drugiej strony powinienem był wiedzieć, że antydyluwalne suknie i sielankowe warkoczki otoczone być mogą podobnymi sobie akcesorjami. Ale zapomniałem był o tem wszystkim. Jadąc już wprawdzie myślałem z niepokojem o tle i o akcesorjach, ale gdym głos jej usłyszał, gdym ją zobaczył, zapomniałem. Teraz dopiero wrota skrzypnęły. Ostygłem i, co mi się nigdy nie zdarzało, uczułem się zażenowanym, bo też nic nie jest więcej żenującem nad zjawienie się pośród osób, żyjących w jednym kole pojęć i przyzwyczajzeń, kogoś z innym wcale widnokregiem i sposobem życia. W wypadkach podobnych gospodarze z udręczeniem łamią sobie głowy nad pytaniem: co z tym fantem zrobić? a fant rad byłby wypaść z koszyka, choćby pod stół. Trzeba było ratować sytuację. W tym celu chętnie i z niejaką nawet wdzięcznością podjąłem nić rozmowy, zawiązaną przez pana Bohurskiego, który w sposób zupełnie przyzwoity, bez zbytecznego impetu zapytywał mię o stan kultury rolnej, oświaty ludowej i położenia finansowego większych własności w stronach moich. Wszystko to wprawdzie nie stanowiło dla mnie najulubieńszych przedmiotów rozmowy, ale uczułem ambicję pokazania, że nic ludzkiego obcem mi nie jest, a więcej jeszcze chęć zwrócenia ku sobie pewnych oczu bardzo zamyślonych i zmuszenia do uśmiechu ust tak małowównych, jakimi ich jeszcze nigdy nie widziałem. Coś jej było, nie mogłem odgadnąć co, ale na policzki jej wystąpiły małe plamki rumieńców i daremnie zmuszała się do jedzenia i do rozmowy; jedno i drugie zupełnie jej nie szło. Spadło na nią zamyslenie takie, że otrząść się z niego nie mogła; przyszło mi na myśl, że nie przywykła do przyjmowania gości, albo... do przenoszenia wzruszeń pewnej natury. Brzydząc się zresztą obskurantyzmem wszelkim, posiadałem wiadomości niejaki o płodozmianach, Maćkach, hypotekach, o których też przez czas jakiś z panem Bohurskim rozmawiając, spostrzegłem, że nie był on wcale antypatycznym. Typ uderzający niepospolitą siłą fizyczną i energią rysów zbyt grubych, trochę pochmurnych i czasem tylko rozświecanych uśmiechem świeżym, lecz krótkim, jakby go coś z wewnątrz hamowało; dużo godności w postawie, a w mowie jakaś iskra, która ją czyniła dość zajmującą wtedy nawet, gdy szło o przedmioty tak poziome, jak uprawa pewnego rodzaju rośliny pastewnej, zdaje się, łubinu, która posiada także przymiot znakomitego ulepszenia gleby, na której jest uprawiana. Dowiedziałem się, że podówczas właśnie wprowadzano tę roślinę do gospodarstw pruskich, że wydaje tam ona rezultaty znakomite, że zatem wprowadzanie jej u nas także jest dla właścicieli ziemskich obowiązkiem najkonieczniejszym, ponieważ... Tu dopiero zaczęły się rzeczy prawdziwie interesujące. W okolicach posiadających glebę słabą, przez uprawę tej rośliny podnieść się mogą gospodarstwa mniejsze, czyli włościańskie, co sprowadzi polepszenie się bytu ekonomicznego, z którego wyniknie popęd do oświaty i wyższej obyczajowości, które z kolei wydadzą z siebie uczucie i pojęcie obowiązków ludzkich i obywatelskich, na których ostatecznie polegają najważniejsze w świecie rzeczy... Jest to tylko streszczenie wywodów, których słuchałem z zajęciem tem żywszem,



że przedtem byłbym raczej śmierci spodziewał się, niż tego, aby uprawianie lubinu było moim obowiązkiem i aby od takiej rzeczy zależało — choćby w najdrobniejszej mierze — szczęście świata. Ale i w Sewerynie spostrzegłem był nieraz takie branie wszystkiego bardzo daleka i wyciąganie na bardzo znaczne odległości. Był to, widać, zwyczaj miejscowy, tak jak miejscową właściwością ludzi musiały być chmury w spojrzeniach i jakby przyćmione młodości. Tę właściwość zauważyłem nawet w córkach i synach sąsiadów, którzy nie przypominali mi wcale znanej gdzieindziej młodzieży, mogącej w lekkości i wesołości iść o lepsze z wietrzykami i szczygłami. Panienki miały nieszpetyne buziaczki, chłopcy byli dość zgrabni i przyzwoici, ale nie wyglądali na rój motylów. Pomimo zdrowia, które im z cery i kształtów postaci tryskało, było w nich coś przygasłego, jakieś ślady troski, pracy, czy ja wiem czego? ale co tamowało w nich ruchliwość i szczebiot młodości. Przypomniałem sobie zresztą Zwirkiewicza i pomyślałem, że istotnie młodość jego córki mogła nie być „snem na kwiatach”. Zapewne i tamci ród swój wiedli od figur przenikniętych do szpiku kości ciężkimi czasami... Patrząc na nich, zaczynałem lepiej rozumieć Sewerynę. Ale bo i dlaczegoż dają się tak przenikać ciężkimi czasami? Znam przecież takich współczesników ich, którzy są szczęśliwi. Czy naprawdę są szczęśliwi? Czy jestem szczęśliwy? zapytałem siebie i ogromnie śmiać mi się zechciało. Ja i szczęście!... Wszystko to myślałem nie przestając rozmawiać z panem Bohurskim, bo wieloletnia praktyka konwersacyjna dała mi umiejętność prowadzenia takich podwójnych rozmów: z kimś i z samym sobą. Wtem, interlokutor mój, pomiędzy dwoma zdaniem o skłonności objawianej przez własność mniejszą do naśladowania ekonomicznych i innych obyczajów własności większej, zwrócił się do jednej z panienek i bardzo niespodzianie zapytał:

— Panno Malwino! zielone?

Przytem na twarz jego, trochę zanadto surową, wytrysnął uśmiech tak świeży i prawie swawolny, że nagle odmłodził ją o lat dziesięć. Myślałem przedtem, że ma lat około czterdziestu, teraz spostrzegłem, że jest młodzieńcem, tylko z młodością przygaszoną przez jakąś troskę, pracę czy myśl tak uporczywie palącą się w mózgu, że czoło pod nią więdło. Dziewczyna we flanelowym kaftanie i czerwonej tasiemce na szyi bardzo białej, zarumieniła się aż po brzegi włosów, które w świetle padającym z okna tworzyły u wierzchu głowy delikatną złotawą szczoteczkę, sięgnęła za skórzaną pasek i wyjąwszy z za niego listek pelargonji czy geranium, gestem tryumfującym i nie pozbawionym wdzięku ukazała go pytającemu. On także pokazywał jej jakąś gałązkę z kieszonki surduta wyjętą i dość długo patrzył na nią w taki sposób, że każdy zgadłby od razu, że był to flirt. Więc boski wynalazek ten i tu był znanym? Pan Bohurski flirtował z panną Zwirkiewiczówną za pośrednictwem gry w zielone, zupełnie już niemodnej, ale przekonywałem się coraz więcej, że pojęcie o tych ludziach koniecznie trzeba oddzielić od pojęcia mody. Mniejsza o modę! Uczyniło to na mnie dobre wrażenie, bo w gruncie rzeczy moja antypatja dla pana Bohurskiego miała źródło w jego zbliżonym i zapewne poufałym stosunku do Seweryny. Nie podejrzewałem ją o nic, niepodobna było podejrzewać ją o cokolwiek w tym kierunku, ale ten przyjaciel brata, ten współnik zajęć i dążeń, którego nawet nazwiska nie można było przekręcić bez obudzenia w niej gniewu lub żalu, instynktowo mię irytował. Z przyjemnością więc spostrzegłem, że chmurne jego oczy rozjaśniły się, gdy patrzył na pannę Zwirkiewiczównę, że grał z nią w zielone i że widocznie wzruszały go wdzięki czy przymioty panienki z czerwoną tasiemką na szyi i złotawą szczoteczką niezupełnie starannie uczesanych włosów u wierzchu głowy. Szczęść Boże! Takie umieszczenie sentymentów, gdy mógł doświadczać silnej pokusy umieszczenia ich gdzieindziej, było zupełnie odpowiedniem jego pochodzeniu i stanowisku w świecie. Pomimo pewnej egzaltacji w myślach i niekiedy w mowie, musiał być bardzo rozsądnym skoro zrozumiał, że, bądź co bądź, zbyt wielka odległość dzieliła syna kochanej niani z krasowiecką kasztelanką. Ale moda jest rzeczą równie względną jak wszystkie inne. Tu „zielone” było widać modnem, bo jakby na dane hasło, druga panienka i obaj praktykanci zaczęli też pokazywać sobie nawzajem listki i gałązki, przyczem zapanowało trochę rozmów i śmiechów, przez moją obecność zapewne krępowanych i przyciszonych. Kochana niania poweselała także i do małych sprzeczek młodzieży mieszać się zaczęła w sposób niezmiernie poufały i dobroduszny. Z szerokim uśmiechem na wielkiej twarzy zwróciła się też ku mnie i z tak silnym akcentem prowincjonalnym, że trudno było zdecydować od razu czy mówi albo

śpiewa, zaczęła opowiadać, że знаła mego ojca, kiedy raz, przed niewiadomo ilu już laty odwiedzał w Krasowcach pana Romualda Zdrojowskiego.

— Sewerki jeszcze wtedy na świecie nie było, a ja nieboszczyka Adasia karmiłam, bo on i Władek byli mlecznymi braćmi, dlatego może i kochali się potem jak bracia. Pan Romuald Władka razem z Adasiem do szkół i do uniwersytetu posyłał i ot, niech mu światłość wiekuista świeci, wy kierował go na człowieka, który może i przyda się na co dobrego na świecie!

Z pustym półmiskiem około syna przechodząc, pogłaskała go po włosach, a on jej rękę z ciemnej czupryny zdjął i pocałował. Czy istotnie nie zażenowała go wzmianka o tem, że życie zawdzięczał mamce Zdrojowskiego, a wychowanie łasce jego ojca, czy tylko tak dobrze nad sobą panował, że tego niczem nie okazał. Bo można mieć wyobrażenia demokratyczne, poniekąd nawet bardzo słuszne, o równości ludzkiej, zawsze jednak z trudnością wierzyłem, aby wytykanie takich rzeczy przez dobroduszne mamy, w przytomności szczególnie osób obcych, mogło nie sprawiać komukolwiek grubej nawet nieprzyjemności.

Wogóle, nie byłem zupełnie pewnym czy śnię czy czuwam i ogarniało mię coraz więcej to uczucie obcości, prawie niezgody głębokiej z otoczeniem, którego już wobec surowej i melancholijnej natury stron tych doświadczyłem. Wszystkiemu, co widziałem i słyszałem, nie potrafiłbym uczynić żadnego poważnego zarzutu. Nakrycie stołu i *menu* obiadowe były bardzo skromne, ale nie raziły niczem wzroku ani smaku; nie byłem zaś aż takim gastronomem, aby mię trzy dania, zupełnie zresztą przyzwoite, jakiegokolwiek niezadowolone sprawiać mogły. Twarze, stół otaczające, mógłbym nazwać prędzej ładnymi niż szpetnymi, a niektóre z nich, jak np. kochanej niani i p. Bohurskiego, niezwykłością wyrazu interesowały nawet mój zmysł obserwacyjny w rozmowach, których byłem uczestnikiem lub słuchaczem, nie było także najmniejszych złych uczuć, ani rażących pojęć, ani nawet wyrażań przeciwnych gramatyce, albo dobremu smakowi. Żadnego więc poważnego zarzutu nie mogłem tu uczynić rzeczom, ani ludziom, owszem, znalazłbym raczej pośród nich kilka rysów sympatycznych — tylko wszystko to było dla mnie takie obce, tak od całokształtu życia mego oddalone, że wpadałem z kolei w stany zadziwienia, zażenowania i poczucia swojej całkowitej od tego otoczenia odrębności. Gdybym zaś chciał znaleźć dla tego otoczenia wyraz najlepiej je określający, nie powiedziałbym, że jest ono szpetnem albo złem, albo głupiem, tylko powiedziałbym, że — jest dzikiem. Jeden wszakże w niem szczegół wydawał się podobnym do mnie przybyszem z dalekiego świata, mianowicie: zalatująca mię niekiedy od samego początku obiadu leciuchna woń heljotropu. Byłem niezmiernie wrażliwym na zapachy, a ten więcej od wielu innych lubiłem, więc ilekroć go tu uczulem, doświadczałem wrażenia powiewu ze stron rodzinnych. Nie zdawałem zrazu sobie sprawy, z kąd ten zapach pochodzi, aż spostrzegłem, że wydawała go gałązka z nikłym kwiatkiem, z wazonu zapewne zerwana i przypięta do stanika pani Brożkowej. Przedtem nie było jej tam najpewniej, została więc przypiętą z mego powodu i była to, zdaje się, jedyna fatyga, którą przybycie moje tutaj sprowadziło. Gałązkę tę można byłoby zadedykować: wygnanka wygnańcowi! Ach, tak! Było nas tu tylko dwoje! Z sympatją spojrziałem na swoją sąsiadkę przy stole i zaraz spostrzegłem, że spojrzenie moje trafiło nie w porę, to jest w chwili, kiedy twarz ta, niegdyś niewątpliwie piękna, zapomniała o robieniu swojej toalety. Nie biorąc, naturalnie udziału, w mojej rozmowie z panem Bohurskim o rozmaitych moralnych i materialnych kulturach, ani tem bardziej w tych, które wzniciła gra w zielone, pani Leontyna wpadła w zamyślenie tak głębokie, że rysy jej ułożyły się nie według jej, ale według własnej woli. Wyglądała teraz tak kwaśno i gorzko, jakby tylko co cytrynę ze skórą połknęła; piękne jeszcze usta zakreśliły linię zupełnie krzywą i na podbródku pogłębiły się dolki palcem czasu wydrążone. Była w tej chwili doskonałem upostaciowaniem goryczy i kwasu, co tworzyło z gałązką heljotropu sprzeczność prawdziwie bolesną.

Kiedy u końca obiadu nalewałem wodę do szklanki drugiej mojej sąsiadki, z pod zwolna podnoszących się powiek i długich rzęs utkwilo we mnie jej spojrzenie tak długie i pełne zapytań, takim blaskiem przeniknięte i razem takie strwożone i do dna smutne,

że uczulem zawrót głowy i w serce mi uderzyła taka fala czułości, która przez oczy wytrysnęła i ją całą oblać musiała. Rozkwitła też w niej małe ożywienie i właściwą sobie cichą wesołością, z którą zaproponowała mi obejrzenie obrazów, staroświeckich sprzętów i wogóle całego domu.

— Nic tu nie ma bardzo szczególnego, ale wiem, że jesteś, kuzynie, amatorem rzeczy dawnych, a tu wszystko jest dawne...

Miała słuszność; aż nadto wszystko było tu dawne. Od samego przybycia wahałem się, czy te trzy pokoje, które odgrywały rolę bawialnych, nazywać wypada salonami albo izbami. Posadzki piękne, obicia niegdyś kosztowne, ramy u obrazów z grubym, poblądłym złoceniem, tu i owdzie jakiś świecznik, ekran, serwantka, posiadające wysoką cenę starożytniczą i artystyczną z jednej strony, a z drugiej kanapy jak pół świata szerokie, krzesła z takimi poręczami, które gwałtem robią z ludzi wyprostowane tyki, nawet firanki u okien z grubego muszlinu, obicie na meblach wypłowiałe, całe, słowem, umeblowanie z epoki wniknięcia do Polski pierwszych brząsków cywilizacji. Nic miękkiego, ani wypięzzonego, nic coby świadczyło o guście wybrednym, albo zamilowaniu w wygodzie i wesołości. Całość nie była brzydka, owszem, miała charakter bogactwa przyćmionego smutkiem i powagą, w które grupy roślin u okien ustawione rzucały jedyne nuty świeżości i ozdobności. Byłem istotnie amatorem takich zbiorów i umeblowań, ale tylko w muzeach, lub w domach zakonserwowanych na pamiątkę wielkich ludzi, którzy mieszkali w nich przed wiekami. Ale dla życia codziennego i towarzyskiego miałem pod tym względem wymagania wcale inne i zupełnie absolutne. Bo trzeba to sobie powiedzieć, że sprzęt jest bagatelą tylko napozór, a w gruncie rzeczy odgrywa rolę nader ważną, mniejsza już, że w fizycznym, ale w psychicznym życiu naszym. Prostu nie pojmuję, jakim sposobem przodkowie nasi mogli marzyć i kochać się na takich krzesłach i kanapach.

Ich rozmiary i kształty nie pozwalają fizycznej istocie człowieka wiernie wtórować poruszeniom ducha; mnie zaś niepodobna było czuć się zupełnie samym sobą, jeżeli każdemu odcieniowi mojego psychicznego usposobienia towarzyszyć nie mogła odpowiednia pozycja ciała: zamyślona, rozmarzona, leniwa, niedbała i t. p. I nie dlatego wcale, abym te pozycje przybierał umyślnie, ale razem z odpowiednimi usposobieniami psychicznymi czyniły się one same, znakomicie dopomagając rozwijaniu się tych usposobień. Z pewnością jestem, że gdyby Herkules, zamiast siadywać u nóg Omfalji, musiał obok niej sterczeć na staroświeckim krześle, historia nie posiadałaby olbrzyma przędzącego kądziel.

Jednak Seweryna nie miała na tych krzesłach pozoru sterczącego, owszem, był to zapewne skutek harmonji jej usposobień ze wszystkim co ją otaczało, ale ta delikatna kibić, w fałdach czarnej sukni, na tle wysokiej i prostej poręczy, z małą jej rzeźbą nad wysoką koroną warkocza, przypominała coś z poetycznych podań o kasztelankach dawnych, cichych i słodkich, a przecież tak niedostępnych jak wszystko, co jaśnieje na wysokościach. Była to ta sama historia, co z ubraniem, w którym Idalka wyglądała na zmołą kure, a ona na zajmujący portret damy z innej epoki. Cała zagadka podobnych różnic w tem zapewne, aby akcesorja na obrazie były zgodne z jego treścią i postacią z tłem. Ona tutaj była więcej jeszcze malowniczą i zajmującą, niż na tle naszego wielkomiejskiego życia. Przez czas rozłączenia naszego zaszły w niej zmiany drobne, lecz które natychmiast spostrzegłem: trochę przychudła i cera jej stała się jeszcze bielszą. Była teraz, bez żadnej poetycznej przenośni, ale ściśle mówiąc, tak białą jak płatek lilji, co przy owalnym zarysie twarzy i oczach, od przychudnienia powiększonych, nadawało jej cechę wielkiej delikatności. Miała przytem w sposobie mówienia i patrzenia urok nowy, właściwy istotom, które znajdują się pod wpływem wzruszenia zwalczanego, lecz nieprzepartego. Coś w niej było chwiejnego i zamyślnego, coś, co przez uśmiech, spojrzenie, rumieniec wybuchowało zatrwożeniem dla mnie niepojętem, albo uszczęśliwieniem, które na czas jakiś obojgu nam przywracało dawną poufałość przyjacielską i wesołą. Poufale i wesoło obejrzelśmy kilka obrazów dość godnych uwagi, parę prześlicznych świeczników, serwantkę okrytą bronzami, któreby mogły sprawić rozkosz najwybredniejszemu starożytnikowi, aż stanęliśmy w sali jadalnej przed najpiękniejszym bufetem, jaki kiedykolwiek widzieć mi się zdarzyło. Kiedy strukturę i rzeźbę jego z wielką przyjemnością oglądałem, pomiędzy Seweryną a panią Brożkową, która nam w tej przechadzce po domu towarzyszyła, zawiązała się znowu mała sprzeczka, zrazu tylko mimiczna. Humor cioci Leontynki po obiedzie

poprawił się znacznie i dopomagała siostrzenicy w poznajomianiu gościa z osobliwościami domu, czyniąc nad nimi obserwacje bardzo przyjemne, chociaż płytkie. Zauważyłem w myśli, że szczegóły jej toalety duchowej musiały być niegdyś wcale ładnie dobrane, lecz w samotności przywydły tak jak i wdzięki. Teraz przed bufetem oczyma wskazywała Sewerynie jego zamek przepysznie oprawny w bronz i rzeźby, na co Seweryna odpowiedziała przeczącym wstrząśnieniem głowy. Więc zaczęła szeptać jej coś do ucha, wywołując przez to tylko powtórzone zaprzeczenia i kilka cichych słów z żartobliwym uśmiechem wyszeptanych. Uczyniwszy na palcach kroków parę, stanąłem za temi paniami w pozie podsluchującej, z przychylnem ku nich uchem, a kiedy obejrzały się i zaśmiały, z powagą rzekłem:

— Drugi to już raz spostrzegam wśród rodziny mojej różnicę zdań czy chęci i w interesie zgody rodzinnej żądam wtajemniczenia mię w treść tych sporów...

— Owszem — zawołała Seweryna — bądź sędzią naszym, kuzynie! Ciocia doradzała mi, abym z powodu twego przybycia urządziła wielką wystawę...

Domyśliłem się odrazu o co chodzi.

— Tych wspaniałych zastaw stołowych, których sława uszu moich doszła — dokończyłem.

— Tak, i jeszcze starego lokaja-emeryta.

Mówiła to w sposób tak zabawny, że nie mogłem powstrzymać się od śmiechu i ciocia Leontynka zaśmiała się także.

— Tak się robi wszędzie — broniła się jeszcze zażenowana.

Myślałem, że doskonale rozumiem dlaczego ona zrobić tak, jak się robi wszędzie, nie chciała. Duma, nie pozwalająca na zachwycanie konkurentów blaskiem metalów i malowanej gliny, szczerłość, nie chcąca pokazywać lokaja-emeryta, tam, gdzie zazwyczaj żadnego nie bywało. Ale przekonałem się zaraz, że nie były to jedyne jej pobudki, bo prowadząc mię do bocznego pokoju, w którym zobaczyć miałem jakieś ciekawe biórko, powiedziała, że cenne przedmioty, znajdujące się w Krasowcach i przeważnie przez ojca jej, namiętnego ich lubownika, zgromadzone, sprawiają jej duży kłopot. Wartość ich jest znaczną i może należałoby ją wydobyć ze stanu siły zaklętej do bezczynności w metalu, drzewie i tym podobnych rzeczach martwych. Ale z drugiej strony, do sprzedania tych pamiątek rodzinnych i rozproszenia ich po świecie miała odrazę instynktową i nie była pewną, czy nie przyniosą one ujmy jakiejś pamięci, albo jakiemuś ważnemu interesowi. Zdecydowała się więc, aby tymczasem wszystko to pozostało u niej.

— Może kiedykolwiek zapotrzebuje ich jakie muzeum... — dokończyła.

— Ależ na miłość Boską — ostatecznie, jakby z cierpliwości wyprowadzona, zawołała pani Brożkowa — dlaczegożbyś tych rzeczy nie miała używać sama?

— Bo nie należą do mnie — odpowiedziała zcicha, ale z taką stanowczością, która w charakterze jej zdradzała domieszkę wcale ładnego uporku.

Ale i ciocia Leontynka nie była, snadź, bardzo giętką.

— Do kogoż więc należą? — zawołała rumieniąc się — na litość Boga, Sewerko, do kogoż należą one, jeżeli nie do ciebie?

Pochyliłem się trochę nad Seweryną i pieszczotliwie szepnąłem:

— Do Adasia? prawda?

— Tak — potwierdziła, a po krótkim wahaniu, nieśmiało dodała:

— I do ludzi.

Wtedy łagodnie, ale z powagą, zapytałem:

— Dlaczegoż nie do ciebie, kuzynko?

Zwolna podniosła na mnie oczy i zapytała wzajemnie:

— A dlaczegoż należećby miały do mnie?

— Dla przyczyny niezmiernie prostej, tej, że jesteś córką swojego ojca.

— To prawo pisane, a jest inne...

Zawahała się. Trudno jej było mówić ze mną o takich rzeczach i cofała się przed wzniecaniem pomiędzy mną a sobą zgrzytów niezgodnych myśli. Ale jednocześnie, w naturze swojej miała mus szczerości.

— To prawo — dokończyła — które serce i obowiązek ustanawia...

— Co do mnie — rzekłem z ukłonem — mogę tylko podziękować ci, kuzynko, że z przybycia mego nie robiąc katastrofy, dałaś mi dowód przyjaźni i rodzinnej poufałości.

Mówiłem szczerze, bo wołałem nieskończenie jej przyjaźń i poufalość nad wystawę krasowieckich drogocенności, ale zarazem uczułem się w przykry sposób podrażnionym. Przypomniałem sobie zdania, słyszane w Mrowie, o Zdrojowskich. Ród manjaków. Raj ziemski u dziada, depozyt u wnuczki. Prawa odziedziczenia i wpływów od dzieciństwa działających.

Weszliśmy do pokoju, w którym, przy pięknym warsztacie tokarskim, pracował jakiś stary człowiek, wyglądający na miasteczkowego rzemieślnika, wspólnie z dwoma chłopakami, wyglądającymi na wyrostków wiejskich. Seweryna objaśniła mi, że dziadunio był niegdyś zapalonym tokarzem, ale odkąd wzrok utracił, warsztat ten stał bezużyteczny i teraz dopiero dwaj chłopcy kształcą się na nim w rzemiośle, które może znaleźć w tych stronach dość szerokie i zyskowne zastosowanie. Bardzo praktyczny i dobroczynny sposób używania dziaduniowego warsztatu, ale daleko więcej zainteresował mnie pokój inny, z czterech stron ostawiony szafami pełnymi książek. Były to zbiory dziadka i ojca, przez nią powiększane, biblioteczka wcale duża i pięknie urządzona. Pośrodku znajdował się stół z przyrządami do pisania i rysowania, z mnóstwem ilustracji, rysunków, z wzorowo sporządzonymi katalogami. Przypomniało mi to urządzenie dworów wiejskich na zachodzie, we Francji, szczególnie w Anglii i zrobiło na mnie wrażenie bardzo dobre. Wogóle Donimirscy mieli słuszną rację, mówiąc, że Krasowce miały rezydencję starą, ale obszerną i dla szerokiej skali życia urządzoną. Dom był bardzo rozległy i niegdyś nie o same tylko dobre uczynki dbać w nim musiano. Oglądając bibliotekę, nie bez zadziwienia usłyszałem w sąsiednim pokoju stuk kul bilardowych. Tak, był tam stary wprawdzie, ale prawdziwy bilard, przy którym pan Bohurski z jednym z praktykantów ćwiczył się w tej grze zupełnie światowej, z żywym nawet, jak mogłem zauważyć, upodobaniem. Zapytał mnie też, czy jestem zwolennikiem gry w bilard, a ponieważ nim byłem, bardzo uprzejmie zaofiarował mi się na partnera, jeżeli bym tego żądał; z podziękowaniem odłożyłem to na później. Seweryna proponowała mi obejrzenie paru niezwykle rzeźb i obrazów, znajdujących się w kaplicy na wyższym piętrze domu. Było to właściwie pół piętra, na które wstępowaliśmy po jesionowych schodach, z bardzo dobrym smakiem urządzonych i przyozdobionych. Myślałem, że ten wielki dom, z jego staroświeckimi urządzeniami, możnaby przemienić na prawdziwe cacko, pod względem komfortu i estetyki. Myślałem także, że pani tego domu, oprowadzając po nim gości, ma niezawodnie pozór dawnej kasztelanki. Ta linja spokojna i od wszelkiej krzywizny lub kantowatości wolna, którą miała w kibici, chodzie, ruchach, twarz liljowo-biała i nawet ubiór, prawie zakonny i razem prawie klasyczny, tworzyły harmonję doskonałą ze starami, grubymi ścianami tego domu, z głęboko w nich osadzonymi oknami, z gotyckim kształtem szaf, zawierających książki, z temi nawet schodami. Wśród poręczy tych schodów lekko rzeźbionych i spłowiałą czerwienią sukna, którem u góry były obite, czarną jej suknią przerywaną, wstępowała przedemną prosta, lekka, co chwilę odwracająca ku mnie twarz rozjaśnioną prawdziwie promiennym uśmiechem. Bo chociaż zapierała się i zrzekała materialnych praw własności do tego domu i wszystkiego co w nim było, moralnie czuć się musiała jego panią i oprócz tego, może bardzo kochała i ten dom i wszystko, co w nim było, chociaż nie swoje, przecież rodzone. Dlatego uśmiech, z jakim obracała się ku mnie wstępując po schodach, był prawdziwie promiennym. Czy ona kiedykolwiek zgodzi się opuścić ten dom — nie swój jednak?

Z kaplicy, która była dużym pokojem, na kaplicę urządzoną, a w której miałem przyjemność oglądać najpiękniejszą jaką kiedykolwiek widziałem kopję Madonny rafałowskiej i oryginalną figurynkę Celliniego, wróciliśmy do bawialnych pokojów, które właśnie zgrabna rączka ciotki Leontynki oświetlać kończyła. Opuściła nas ona była w polowie naszej podróży po domu, chcąc zapewne, aby to przynajmniej zrobionem było jak się robi wszędzie. W świetle lampy, przy której stała, spostrzegłem, że przed paru minutami odnowiła na twarzy warstwę pudru. Masa tam była tej mąki. Zwróciłem się do niej z wyrażeniem myśli, upornie kręcącej mi się po głowie:

— Jakież cacko komfortu i estetyki możnaby zrobić z tego domu i wszystkiego, co w nim się znajduje!

Mówiłem to do pani Brożkowej, bo czułem, że ona tu jedna jest w stanie zrozumieć myśl i uczucia, które ją zrodziły. Dwoje nas tu było tylko takich, którzy wiele widzieli i smak swój kształcili w różnych szkołach i okazjach. Nie omyliłem się, oczy jej zaświeciły.

— O, tak! — zawołała — coby to można zrobić w tych Krasowcach! coby można zrobić! Gdyby Sewerka chciała, miałyby tu i pole, i materiały do rozwinięcia wszystkich zasobów gustu. Ale...

Nie dokończyła i rzuciwszy na mnie żalose spojrzeń odeszła do drugiego pokoju, gdzie widziałem ją jak lekka i zgrabna, okrywała lampy abażurami i poprawiała u okien symetrię wazonowych roślin. O, ta z rozkoszą rozwijałaby tu zasoby gustu, gdyby tylko mogła!

Zwolna przechadzając się z Seweryną po dużym pokoju, zapytałem ją, czy nigdy nie doświadcza chęci przyozdobienia swego istotnie pięknego domu temi pomysłami i przedmiotami różnej natury, które przyniosła światu sztuka stosowana do przemysłu i wiele innych ingrediencji, wchodzących w skład cywilizacji? Nie odpowiedziała zaraz i pilnie twarz jej śledząc widziałem, że zapytanie moje sprawiło jej przykrość. Były przedmioty, o których wołała nie mówić ze mną wcale. Po chwili przecież zcicha i jakby nieśmiało odpowiedziała:

— Potrzebamy na to znacznych środków.

— A ty, kuzynko, posiadasz je wtedy tylko, gdy trzeba małe folwarki małych sąsiadów od zguby ratować?

Spojrzała na mnie z wielkim zdziwieniem, ja zaś opowiedziałem jej historję Zwirkiewicza w Mirowie, opuszczając, naturalnie, całą rozmowę poprzedzającą toast i moją nań odpowiedź. Słuchała zrazu ze zdziwieniem, ale kiedym jej przemówienie „figury”, z wyjątkiem tylko aluzji do poprzedzającej rozmowy, dosłownie powtórzył, ucieszyła się tak ogromnie, że mimowoli tę radość porównał do tej, którą jej przybycie moje sprawiło. Niestety, dotąd jeszcze zdecydować nie mogłem, czego było więcej w uczuciach, których na widok mój doznała: radości albo zatrwożenia i tajemnego bólu? To porównanie weszło we mnie żądełkiem, które kłuło i kłuć pragnęło. Więc możliwie najdowcipniej i z jak najmniejszym oszczędzaniem samego siebie opowiedziałem jeszcze, jak nie mogłem zrazu dopytać się o nazwisko Zwirkiewicza, jak o niem nie wiedziały, czy zapomniały, moje dwie sąsiadki u stołu i jak w tym kłopotcie poradziłyśmy sobie wszyscy troje — nazywając go — figurą. Wiedziałem, że to się jej nie podoba, ale żądełko moje chciało kłuć i przytem takie przekorne sprzeciwiania się przywykłem był uważać za dużą i nie najmniej przyjemną część flirtaży. Ona chciała widocznie opowiadanie moje puścić mimo uszu, ale nie mogła. Coś w niej zakłócało, co umiałem już odgadywać z błysku oczu i takiego podniesienia głowy, jakby chciała na coś lub na kogoś spojrzeć z góry.

— Czy nie wiesz, kuzynie — zapytała — dlaczego Zwirkiewicz przyjeżdżał do Mirowa?

I dodała zaraz:

— Jest przecież zbyt rozsądnym, aby nie wiedzieć, że tam ludzie, jak na sądzie ostatecznym, podzieleni są na kozłów i baranów, a kto nie ma runa, zbawionym być nie może.

— Złośliwą jesteś, kuzynko, o czem zresztą dowiaduję się nie po raz pierwszy, więc powinnaś i innym przebaczać trochę złośliwości.

— Kiedy tam nie przez złośliwość tak dzielą ludzi — z żywością zarzuciła — tylko przez dzikość!

— Boże, jakim sposobem?

— U czerwonoskórych i innych dzikich, stopień poważania zależy od ilości posiadanych bawołów i piękności tatuażu pokrywającego skórę.

Wypowiedziała to tonem takiej pewności, jak gdyby było rzeczą powszechnie wiadomą i dowiedzioną, że Mirów jest osadą dzikich; ja zaś z takim zdumieniem i razem zachwyceniem zapatrzyłem się na nią, że o odpowiadaniu nie myślałem. W tej istocie, cichej i skromnej, zachwycała mię niekiedy śmiałość i oryginalność zdań. Ale ona zdumienia ani zachwycenia mego nie spostrzegając, czy spostrzegąc nie chcąc, spojrzała mi w twarz prosto, uważnie i zapytała:

— Jakiemiż były pobudki, dla których biednego Zwirkiewicza uczyniliście przedmiotem swoich żartów?

Uczułem się zakłopotanym. Pobudki? Jakież mogliśmy mieć pobudki? Z pokorą, szczerzą może niż sam mniemałem, szepnąłem:

— Niestety, kuzynko, masz słuszność. Pobudką naszą była kamizelka atlasowa, w kolorowe kwiatki... tatuaż!

Zaśmiała się serdecznie.

— Mój kuzynie — rzekła — przed poznaniem się z tobą nie wiedziałam, że ze szpetnych garbusków można urządzać takie zabawne arlekiny.

— Domyślam się, że tytułem arlekin obdarzać raczysz mój mały dowcip, ale cóż, czy któż jest tu garbuskiem?

— Właściwie nie garbuskiem, ale garbem społecznym są takie pojęcia i zwyczaje, jakie panują w Mirowie...

— Ach, społeczeństwo! — wymówiłem tonem nagłego przypomnienia sobie o czymś.

Nie odpowiedziała nic.

Umilkliśmy na chwilę. Wrota skrzypiały, ale tylko dla mnie, bo ją pochłaniała myśl — o Zwirkiewiczu.

— Czy nie wiesz, kuzynie, czego Zwirkiewicz przyjeżdżał do Mirowa? — po chwilowym milczeniu zapytała.

Opowiedziałem, co wiedziałem: prośbę figury i odmowę Konrada. Ściągnęła brwi. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby brwi tak delikatnie zarysowane i tak ładnie złotawe ściągały się w sposób tak pochmurny, aby też na czole tak liljowo białym powstawała taka zmarszczka, nietrwała wprawdzie, lecz głęboka.

— Konrad odmówił — powtórzyła — naturalnie, co go może obchodzić...

— Ależ naturalnie — podchwyciłem — bądź sprawiedliwą, kuzynko, co Konrada obchodzić może młody pan Zwirkiewicz, człowiek obcy...

— Zupełnie obcy — przerwała z kolei — i przytem syn... kamizelki w kolorowe kwiatki.

— Przepraszam cię, kuzynko, syn człowieka, który ma odwagę nosić taką kamizelkę.

— Nie; tylko kamizelki. Bo pod brzydkim tatuażem, nic wcale istnieć nie może.

— Niech i tak będzie, ale pozwól, abym był trochę rycerzem Konrada. Niepodobna mu jest poświęcać się kształceniu młodych panów Zwirkiewiczów, ponieważ musi na wiosnę wyjechać zagranicę.

— Musi — powtórzyła — naturalnie. Tylko uczyniłby dobrze, gdyby przed wyjazdem zapytał jakiej wróżki, czy mu Mirów przez Paryż nie ucieknie tak, że schwytać go napowrót nie będzie mógł nietylko on sam, ale nikt z Donimirskich, ani ze Zwirkiewiczów.

— Ani z Gronowskich... Zdrojowskich... — ciągnąłem.

— Tak — dokończyła — nikt!

Patrzyła przed siebie oczyma rozpalonemi jak szafiry, na blask ognia wystawione, usta jej więcej jeszcze spąsowiały i parę razy drgnęły; było jej z tem ślicznie. Sliczną jest namiętność, buchająca z takich oczu i z takich ust! Nie mogłem też powiedzieć, że wybuchała dla przedmiotu niegodnego. Nie byłem idjotą, ani nawet takim absenteistą, abym nie rozumiał i nie czuł wagi przedmiotu, który tym razem obudził jej egzaltowane, niemniej słuszne uniesienie. Na chwilę też zamyśliłem się sam nad przyszłym losem Mirowa i nietylko Mirowa... To branie wszystkiego ze strony tragicznej, albo nieskończenie długiej i szerokiej, chwytano za włosy mego ducha i trzęsąc go nad przepaściami, wołało: „patrz! patrz!” Była to egzercycja szlachetna i poniekąd może użyteczna, ale nie bez goryczy myślałem, że jest kroplą trucizny, dobrowolnie i bez potrzeby sączoną w chwile, które dla niej i dla mnie mogłyby być najpiękniejszymi w życiu. Sposepniałem, a ona, spostrzegłszy to natychmiast, z wielką uprzejmością zmieniła przedmiot rozmowy i mówiliśmy potem dość długo o nowych książkach, o wspólnie nam znanych ludziach, stosunkach i tym podobnych przedmiotach obojętnych, ale mających przynajmniej tę zaletę, że nie psuły humoru i nie posiadały, tak jak przedmioty inne, tajemniczej siły roztrącania dwu istot, które przez inną siłę czuły się ku sobie pociągane. Pani Brożkowa, przychodząc i odchodząc, brała udział w tej rozmowie o wszystkim i o niczym, herbatę wraz z kolacją tu nam przyniesiono, parę godzin zeszło mi dość przyjemnie, wcale przecież nie tak, jak pragnąłem i marzyłem. Może marzenia moje były zbyt zuchwałe, może tutaj trzeba

było więcej czasu, albo wyjątkowo pomyślnych sposobności, ażeby spełnić się mogły, ale gdy się jest w pewnym kierunku przyzwyczajonym do zuchwalstwa i powodzeń, nie bez trudności i pewnej nawet urazy godzi się z tem, że może być inaczej.

To też, pomimo rzetelnego zadowolenia, jakie sprawiała mi jej obecność, czułem, że stygnę i na zwykłą nawet werwę w rozmowie zdobywać się muszę, bo sama odstępować mię zaczyna. Co więcej, czułem i widziałem, że ona także ostyga, smutnieje i rozmowę o wszystkim i niczem podtrzymuje tylko przez uprzejmość, ale bez zadowolenia najmniejszego, że gdyby nie dobroczynne na ten raz wdawanie się w tę sprawę ciotki Leontynki, ta nie rwałaby się może co moment i może co moment siedzielibyśmy naprzeciw siebie pogrążeni w daleko więcej kłopotliwym niż błogiem milczeniu. To bardzo wyraźne ostygnięcie i niezadowolenie jej i moje sprawiało mi uczucie dolegliwej przykrości i zarazem budziło wewnętrzny uśmiech. Stało pomiędzy nami coś przegradzającego, czy brakowało czegoś łączącego i to mię kłuło w serce. Z drugiej przeciw strony śmiać mi się chciało. Powinienem był przeciw wiedzieć, że w puszczy rozkwitają czasem dzikie kwiaty z upajającą wonią, ale sztuka konwersacyjna nie kwitnie. Żeby zaśpiewała tę *Kalinkę*, którą tak przepysznie śpiewa, toby mię może znowu rozgrzało. Poprosiłem ją o to; przystała chętnie, mówiąc, że ma zwyczaj śpiewać tylko przy pianinie, które znajduje się w jej pokoju, więc może tam przejdziemy. Ucieszyłem się bardzo. Jej pokój! Zamigotały mi przed oczyma ściany znanych buduarów... Ciotka Leontynka opuściła nas była przed chwilą; poszliśmy tam we dwoje.

Nie był to wcale buduar, jednak doświadczyłem w pierwszej chwili wrażenia bardzo oryginalnego i miłego. Gdybym miał zawiązane oczy, mógłbym myśleć, że wprowadzono mię na świeżo skoszoną łąkę, tak w tym pokoju powietrze było przeniknięte zapachami dzikich ziół i kwiatów. Wrażliwem powonieniem odróżniłem tu leciuchną woń miodową od mocniejszych, chociaż stępionych aromatów mięty, macierzanki i innych jeszcze nieznanymi mi zapewne ozdób pola i lasów; przebijał się nawet przez to wszystko malutki zapaszek żywicy. Nie umiałem zdać sobie sprawy, z kąd to szczególne zaprawienie atmosfery pochodzić może, wiedziałem tylko, że nie od perfumy, bo takiej na świecie nie było. Może w części pochodziło ono od więzi i wiązek suchych traw, zbóż i kwiatów, które wznosiły się pod ścianami, wisiały na ścianach, duże i małe stały w wazonach, flakonach, kieliszkach. Nie były to kunsztowne, lecz sztywne makarty, których nie lubiłem, ale poprostu takie więzi i wiązki, które pełną garścią zrywa się na przechadzkach, a potem niedbale rzuca się gdziekolwiek. Niedbałość, z jaką je tu ułożono i rozrzucono, musiała być tylko pozorną, bo całość miała wdzięk, który bez symetrii i harmonii w szczegółach istnieć nie może. Uderzyła mię nawet niezmierna delikatność i różnorodność tych zdziebeł i puchów, kieliszków drobnych, żyrandolików, wielkich gwiazd kolczastych, które w blasku dwu dużych lamp, świeciły czystem złotem, srebrem, przygasłym fioletem, rdzawą purpurą. Że też to rzecz tak prosta, może być tak ładną! Co prawda, zapewne tu tylko, w tem otoczeniu, mogła ona być ładną. Jedna z lamp paliła się na stole umieszczonym przed kanapą, równie jak tamte staroświecką i tylko nieco mniejszą, druga na biurku z trochę papierów i książek. Piękne pianino stało u jednej ze ścian, na których wisiało kilka sztychów i kilka portretów, zapewne rodzinnych. Duża grupa roślin wazonowych u jednego z okien, stół jakimiś grubymi tekami obciążony, kilka fotelów dokoła stołu, było to całe urządzenie tego pokoju, bardzo skromne i prawie surowe. Jednak, dzięki może sposobowi roztawienia sprzętów, albo tu i owdzie rozrzuconym drobiazgom kobiecym, od pierwszej chwili wejścia uczułem w tym pokoju pewną miękkość, kobiecość, jakieś zacisze poufne i błogie, które w innych częściach domu wcale uczuwać się nie dawały. Unoszące się tu zapachy lekkie i zarazem silne wprawiać mogły, mnie szczególnie, w marzenia sielankowe może, ale upajające. Był to, bądź co bądź, przybytek niewieścich zajęć i dumań, inny niż te, które widywałem dotąd, ale umiałem poznawać się na wszystkich formach i odcieniach wdzięku, więc lód, który zaczął być ścinać się dokoła mego serca i humoru, prędko stopniał. Zrobiło mi się weselej i zarazem rzewniej.

— Wonie, które napełniają twój pokój, kuzynko — rzekłem — mają do ciebie wielkie podobieństwo...

— Jakim sposobem? — ze zdziwieniem zapytała.

— Są świeże, oryginalne i zachwycają wprzód, nim się odgadnie z kąd pochodzą.



Nie tyle od tych słów, ile od sposobu, w jaki je wypowiedziałem, przez mgnienie oka zmieszana, żywo przecież postąpiła ku stolikowi, grubemi tekami obciążonemu.

— Pokażę ci zaraz, kuzynie, tajemnicze ich źródło.

Otworzone teki wybuchnęły falami woni i zagrały wszystkimi kolorami, wszystką fantazją i płataniną linii, na jakie tylko w siedliskach swoich rozległych a samotnych zdobywa się natura. Były to zbiory, które mogłyby nie zawstydzić jakiego niedużego botanika z profesji, a po które ona, w odpowiednich porach roku, zapuszczała się w głąbie lasów i przebywała prawdziwe morza łąk i pól. Ze śmiechem opowiadała zabawne przygody, które ją w tych odległych wycieczkach niekiedy spotykały, ale gdy jedne arkusze przerzucając szybko, a nad innymi zatrzymując się nieco dłużej, zaczęła wskazywać mi niektóre z pomiędzy najwięcej fantastycznych, albo wytwornych barw i kształtów, i opowiadać o miejscach, w których się znajdowały, zasluchałem się jak w kawałek poematu, mogę nawet powiedzieć, że zapatrzyłem się jak w szereg obrazków, malowanych ręką lekką i wierną prawdzie. W mowie jej była prawda uczucia natury i wierność odtwarzającej ją wyobraźni. Światła pełne i przyćmione, takie, które ukośnemi smugami pozłacają pnie drzew, gdy wierzchołki ich topią się w zmroku, i takie, które prostopadłemi deszczami leją się przez gałęzie na faliste puchy mchów i koronkowe zwoje paproci; tajemniczość nieprzejranych głębin pod czarnymi parasolami odwiecznych jodeł i promienność płaszczyzny dla wzroku bezgranicznej, kiedy złote morza kołyszą na niej tumany szafirów i ametystów; niespodziany wdzięk kwiatu, który koronę purpurową lub ognistą wychyla z ciemnego jałowca, tego smętnego cyprysu naszej strefy; drżąca radość traw wysokich, gdy pióropusze ich chwieją się w różanem świetle jutrzeńki; oddalone połyski wód obrzeżonych niebem niezapominajek i stojące nad niemi kalje w sukienkach z niepokalanie białego atlasu; ciche sny na kwiatkach motyli ze stulonemi skrzydły i smętne przygrywanie do snu naturze surm pasterskich, pod niebem jesiennem, ubranem w kwiaty iskrzących się obłoków, gdy te, które ozdabiały ziemię, mdleją i konają; wszystko to zobaczyłem jak żywe, chociaż od niej jednej oczu nie odwracałem i w tej chwili za nic odwróciłbym nie mógł. Przed chwilą ostygła i znużona, teraz przypominała natchnioną Safonę i zarazem dziewczę wiejskie, naiwnie rozkochane w słonku, strumyku i kwiatkach. Była w tem głębia i zarazem świeżość uczuć, które podziwiałem, bom się z niemi dotąd nie spotykał nigdy. W jej wieku i położeniu, kocha się zazwyczaj kwiaty, pochodzące z fabryk paryskich, ale nie te, które rosną w ciemnych jałowcach, i szafiry na wystawach jubilerskich, ale nie te, których tumany kołyszą się na złotem zbożu. Było może w tem przywiązaniu do rzeczy dzikich i w tem ryciu ich na pamięci i sercu jakieś źdźbło dzikości, jednak znajdowałem się pod wpływem wielkiego uroku i stałem z głową pochyloną, nie wiem czy przed świątynią natury, albo przed tą, która w niej tak gorąco i naiwnie modlić się umiała. Powiedziałem jej, że ja także kocham naturę, tylko, że dla obudzenia we mnie tego uczucia, natura musi być wielką panią. Umie podziwiać wschód słońca ze sławnych szczytów gór, ale nie przypuszczam, aby można było coś pięknego w nim dopatrzeć byle gdzie i byle z jakiego punktu; korzę się przed hałasem i gwałtem wielkich wodospadów, albo przed olbrzymiem przestworzem morza, zachwycają mię malownicze skały i tym podobne zjawiska wielkie, na które się codzien nie patrzy; ale trawki, strumyczki, pagórki, nie pociągają wcale mego wzroku, nie dlatego nawet, abym niemi gardził, ale poprostu dlatego, że ich nie spostrzegam, że wzrok mój szuka tylko szczytów, pomijając płaszczyzny, i ogarnia, całość, nie znając jej szczegółów. Odrazu i z wielką bystrością zrozumiała gatunek mojej miłości dla natury.

— Jest to raczej zamilowanie do osobliwości i silnych wrażeń — rzekła z uśmiechem, poczem zaraz dodała:

— Z tym zielonym tłumem jest tak samo, jak z szarym: dopóki nie znamy żadnej z pojedynczych jego twarzy, wydaje się on nam nieznanym i zarazem tak znanym i ciągle widywanym, że aż stał się nudnym. Lecz im więcej rozpoznajemy w nim postaci pojedynczych, tem więcej spostrzegamy, że całość składa się ze szczegółów bardzo zajmujących i że monotonię płaszczyzny sprawiała tylko wady naszego własnego wzroku.

— Masz słuszność, kuzynko — odpowiedziałem — moja miłość dla natury jest niczem innym, jak tylko zamilowaniem w osobliwościach i silnych wrażeniach, czyli jedną z babek z piasku, któremi zatyka się próżnie duszy, aby nie gwizdały w nich wiatry nudy

i melancholji. Ale, co się tyczy tłumów, to jakkolwiek nie znam w szczegółach jednych ani drugich, wolę o wiele tłum trawek niż ludzi.

— Wada wzroku — szepnęła.

— Zapewne nawet nieuleczalna — dodałem — którą ja przecież poczytuję przeciwnie, za wysoki stopień jego wykształcenia.

— W jakim kierunku? — zapytała.

— W kierunku piękna.

— Ograniczonego do zjawisk tylko zmysłowych i powierzchownych — z kolei dookończyła i zaraz, chcąc widocznie uniknąć sprzeczki, zapytała mnie o szczegóły jednego z dalekich i wspaniałych krajobrazów, o których przed chwilą jej wspominałem. Ale uwaga jej dała mi do myślenia. Czyżby istotnie kraina piękna była rozleglejszą niż mnie małem i czyliżby wzrok mój nie sięgał do ostatecznych jej krańców i najdalszych głębin? Może. Może ona zjawiska piękne znajduje i w tłumie ludzi, tak jak w tłumie trawek. Lecz dla dowodzenia tego trzeba żyć się z trawkami i takimi ludźmi, którzy formują tłumy, ażeby zaś z nimi żyć się, trzeba żyć o sto mil od cywilizacji. Myślałem o tem krótko, bo spostrzegając jej żywe zajęcie tem, o czem opowiadałem, a czego ona nie widziała nigdy, wpadłem w werwę i wyobrażałem sobie, że za szereg wdzięcznych obrazków, któremi mię obdarzyła, odpłaciłem jej szeregiem wspaniałych obrazów. Czas schodził przyjemnie, ale zawsze nie tak jak pragnąłem i marzyłem. Odzyskałem ciepło w sercu i werwę w rozmowie, jednak zupełnie samym sobą być nie mogłem. Czy to te fotele wysokie i głębokie, których poręcze przegradzały nas rzeźbionemi łbami jakichś zwierząt? Czy doskonała dziewiczność postaci, spokojnemi zarysami odbijającej się na czerwonym tle starożytności? Ale czułem ciągle, że do czegoś, co mię jednak mocno pociąga nie zbliżam się wcale, że mi czegoś tutaj nie wolno, i że oprócz poręczy fotelów z rzeźbionemi łbami zwierząt, coś jeszcze nas przegradza. Nie był to jednak konwenans. Ona zuchwale i często łamała konwenanse. Ja, owszem, zachowywałem je ściśle i zawsze, lecz nie w okolicznościach, nad którymi panować powinna siła wyższa. Znałem się na takich okolicznościach i wiedziałem, że wśród nich wszystko i zawsze ustępuje przed siłą wyższą. Tu przeciwnie, ta siła cofała się przed czemś tajemniczym i nieuchwytnym, czego nie mogłem ani jasno przed sobą określić, ani przewyciężyć.

Nagle, gdy z największym możliwie ożywieniem opowiadałem jej o zatoce Neapolitańskiej, a ona z największą możliwie ciekawością słuchała, o uszy moje uderzyło jakieś krzyczenie, wycie, śpiewanie, nie wiedziałem dobrze co, ale coś zupełnie okropnego. Było to zbiorowe, z wielu głosów naraz złożone i pochodziło z przeciwległego końca domu, zdaleka, jednak dość zbliżka, aby sto pól naraz przesunęło się po moich nerwach. Instynktowo wyprostowałem się i zawołałem:

— Co to?

Jednocześnie zrozumiałem, że był to śpiew chóralny, z którego doszło mię nawet parę nut znajomej jakiejś pieśni, ale niesforny, gruby, pierwotny, ohydny. Nie mogłem poprostu pojąć, z kąd to pochodzić mogło, od jakich zulusów czy niam-niamów ten chór śpiewacki wtargnąć mógł do tego domu i musiałem mieć minę bardzo przestraszoną i oburzoną, bo po jej ustach przeleciało takie drgnienie, jakby przemocą wstrzymała się od wybuchnięcia śmiechem. Poczem rzekła:

— To nic strasznego, kuzynie, to ludzie śpiewają...

Jeżeli w słowach jej była ironja, tak byłem zdumiony i przerażony, że tego nie spostrzegłem.

— Jacy ludzie? — zapytałem.

Najspokojniej w świecie, jakby w tem nic wcale osobliwego nie było, objaśniała:

— Mieszkańcy Krasowiec: oficjaliści, ogrodnicy i inni.

Nie mogąc jeszcze przyjść do siebie, zapytałem znowu:

— Czegoż oni wrzeszczą? tu? tak blisko ciebie, kuzynko? Czy to dziś „Dziady”, „Sobótka”, lub inny jaki obchód...

Teraz nie mogła już powściągnąć się i parsknęła śmiechem.

— Ależ nie, nie! — wołała śmiejąc się — bądź spokojnym, kuzynie! Widma z mogił dziś tu nie przyleca, ani przez ogień nikt skakać nie będzie!...

Potem znowu najspokojniej w świecie objaśniła mi, że w Krasowcach panuje dawny zwyczaj zgromadzania się w zimowe wieczory oficjalistów i służby do znajdującej się u końca domu wielkiej izby, w której jadają wieczerzę, czytają, śpiewają, gawędzą.

— Słyszałem o podobnych zwyczajach dawnych, ale nie pojmuję, dlaczego nie zniosłaś go tutaj, kuzynko, gdy tylko uczynić to mogłaś?

— Ależ przeciwnie, mój kuzynie, ja go jak najstaranniej podtrzymuję, bo ma on swoje bardzo dobre strony. Te chwile gromadnego zbierania się i odpoczynku z łatwością użytkować można...

Przerwała, umilkła i spuściła powieki. Na twarz jej padł wyraz przymusu i smutku.

— Zużytkować? na miłość boską, kuzynko, na co takie rzeczy użytkować można?

Z przymusem, ale bardzo łagodnie odpowiedziała:

— Pod tym względem jesteśmy, kuzynie, o sto mil od siebie i daremnie którekolwiek z nas... Ale ponieważ zapytujesz, chcesz wiedzieć... więc dla celów wzajemnego zbliżania się i dzielenia się z nimi tem, na co mię stać. Nie są to wielkie rzeczy, ale zawsze... im z tem dobrze i... mnie, a może też to jest także kropelką, malutką kropelką, dolaną do morza...

— Szczęśliwości publicznej... — dokończyłem i głowa na dłoń mi opadła, tak głębokie chwyciło mię zamyślenie. Dziwna, dziwna istota! Pozwalać sobie rozdzierać uszy, szarpać nerwy dla czegoś tak nadzwyczajnie bogatego, abstrakcyjnego! Ależ jabym za królestwo niebieskie nie zgodził się słuchać takiego wycia, choćby tylko raz na miesiąc! Z drugiej strony, to jej ciągle powściąganie, przez wzgląd na mnie, własnych zdań i myśli, łagodność i smutek, z jakimi je czasem tylko wypowiadała, ujmowały mię i rozrzewniały. Po głowie kręciły mi się słowa: „Jestem z rodu aniołów, czy chcesz stać się do mnie podobnym?” Była z rodu aniołów, ale nie zapytywała mię nawet, czy chcę być do niej podobnym? „Pod tym względem jesteśmy o sto mil od siebie!” Nie, ja nie chcę o sto mil znajdować się od ciebie! Przeciwnie... pochyliłem się ku niej tak, jak to czyniłem u Idalki, ale rzeźbione zwierzę na poręczy okropnie mi przeszkadzało. Ach, gdyby tu był ten puf z salonu Idalki, na którym siadywałem prawie u jej stóp! Jednak, pomimo nieznośnej poręczy staroświeckiego fotela, zatopiłem wzrok w jej twarzy dość zblizka, aby dostrzedz, że spuszczone jej rzęsy były trochę wilgotne... Więc tak, więc „sto mil” aż taki ból ci sprawiają, o, moja ty droga! Już chciałem śmiałym ruchem przybliżyć do siebie dwoje rzeźbionych zwierząt, tak, aby zetknęły się twardymi łbami, już śmiało i nigdy jeszcze pomiędzy nami nie wymówione słowa drżały mi na wargach, gdy mały szelest w sąsiednim pokoju zwrócił moją uwagę i przez drzwi, naosćcież otwarte, zobaczyłem coś bardzo pociesznego, czemu, dla lepszego widzenia, przez binokle przypatrywać się zacząłem. Była to kochana niania Bohusia, która i przedtem, w ciągu wieczora, często kręciła się po pokojach bliższych i dalszych, to z kluczami, to z zapaloną lampką, to z niczem. Przechodziła, znikwała, wracała znowu, może gospodarząc, może tak sobie, z upodobania w chodzeniu i spoglądaniu zdaleka na nas. Teraz, weszła do sąsiedniego pokoju i pomimo, że duża lampa dobrze go oświetlała, z zapaloną świecą wspiąwszy się na wysokie krzesło, z niezmierną powolnością i uwagą zaczęła nakręcać wiszący na ścianie staroświecki i piękny zegar. Widziałem ją z profilu i jeżeli kwadratowa jej postać w wielkiej chustce, o łokieć nad ziemię podniesiona i z wyciągniętymi w górę rękoma wyglądała komicznie, to znowu twarz, cała w świetle zblizka trzymanej świecy, w oprawie białego czepka, z wyrazem takiego natężenia wzroku i uwagi, że całe czoło zebrało się w jedną kupę zmarszczek, wyduły się zwiędłe wargi i znieruchomiały ciemne, zapadłe oczy, miała dużo charakteru i malowniczości. Ten motyw do rodzajowego obrazka staruszki, nakręcającej zegar, zajął mię i zabawił. *C'était grotesque*, ale była w tem także charakterystyka i poufałość starej służki, dość sympatyczna. Oprócz tego, w kropelce wilgoci, dostrzeżonej na pewnej spuszczonej rzęsie, roztopiło mi się serce. Więc wstałem, i cichutko zbliżywszy się, gdy ciężka postać ze swego wysokiego stanowiska zstępować już miała, oba ramiona wyciągnąłem w górę. Zdziwiła się ogromnie.

— Co to jest? — zapytała.

— Pomogę z krzesła zejść...

I dłużej nie czekając, objąłem ją w pól i na ziemi postawiłem. Stuknęła jak dobra kłoda drzewa, ale twarz jej zajaśniała jak słońce.

— Dziękuję — rzekła i także nie czekając dłużej, za szyję mię objąwszy, w czoło pocałowała. Było to niespodziane, ale zabawne i wcale nie przykre.

— Czy kochana niania codziennie sama wszystkie zegarki w domu nakręca?

Rozpromieniła się jeszcze słoneczniej, od nazwy, którą jej dałem.

— A jakże! zegarki w domu potrzebne... to grunt... bez tego porządku żadnego nie ma...

I rozumnie swemi oczyma bystro na mnie patrząc, zapytała:

— A na wielkim świecie, czy zegarki zawsze dobrze idą?

— A jakże — odpowiedziałem — trzeba wiedzieć kiedy iść na bal, kiedy z wizytą...

— Kiedy do roboty... — żartowała.

— To... to prawie nigdy się nie zdarza...

Kiedy obejrzałem się, zobaczyłem dwie szafirowe gwiazdy, patrzące na mnie tak promiennie i z taką wdzięcznością, że byłbym za sprawienie tego po raz wtóry schwycił w objęcia kochaną nianię, gdyby w tejże chwili z drugiego końca domu nie ozwało się znowu chóralne wycie, które przez czas jakiś było umilkło. Ozwało się ono z większą jeszcze niż przedtem siłą, na nutę krakowiaka, przeraźliwie... Jak wyżeł przed chłostą pana, którego kocha i którego się boi, skurczyłem się cały, zmaląłem i z błagalnym na Sewerynę wejrzeniem, z dłońmi przy uszach zajęczałem zcicha:

— Oj, oj, oj!

Oczy jej tryskały ciągle radością, sprawioną zyczliwym zbliżeniem się mojem do kochanej niani; śmiała się.

— Moja Bohusiu — rzekła — poproś ich, aby dziś nie śpiewali... niech sobie cokolwiek poczytają...

— Otóż to, niech sobie poczytają! — z westchnieniem ulgi potwierdziłem, a ona, jakby mi doznana przykreść wynagrodzić chciała, natychmiast usiadła przed pianinem. Po paru minutach ohydny wrzask ucichł, a milczący, wielki dom napełnił się cały pięknym sopranem kobiecym, przepysznym śpiewającym pieśń swojską i napozór prostą, lecz kunsztowną i prześliczną.

„Rosła kalina z liściem szerokim,  
Nad modrym w gaju rosła potokiem”.

W godzinę potem byłem już sam na sam ze swoim Wincentym, w pokoju dla mnie przeznaczonym, a umieszczonym na wyższym piętrze domu, w korytarzu, którego drugą stronę zamieszkiwali, jak o tem wiedziałem, starzy państwo Zdrojowscy, a w którego głębi znajdowała się kaplica. Z przerażeniem myślałem, że jest dopiero godzina jedenasta przed północą. W niemowlęctwie tylko układano mię do snu o tej porze. Czulem trochę urazy do Seweryny, że tak wcześniej mię pożegnała, bo pomimo regularności, z którą kochana niania nakręcała domowe zegary, ona o ich istnieniu zapomnieć była powinna. Przecież w raję zegarków nie ma; ale czy dla tej kobiety, pomimo wielu przeciwnych pozorów chłodnej i niektórych stron życia nie zdającej się nawet domyślać, może gdziekolwiek i kiedykolwiek istnieć raj ziemski? Zaczynałem o tem wątpić. Powiedziała poprostu, że musi mię pożegnać, bo codziennie o tej porze udaje się do kaplicy, aby przerwać zbyt długie modlitwy babki i odprowadzić ją do jej pokojów. Dowiedziałem się przytem kilku ciekawych szczegółów o legendowej parze; tego pomiędzy innemi, że pan Adam Zdrojowski, wnet po utracie wzroku, zrzekł się formalnie na syna praw własności nad Krasowcami i że od tego czasu żona stała się dla niego nierozłączną towarzyszką, piastunką, prawie sługą. W życiu odosobnionem i pełnem różnorodnych smutków, które od lat przeszło dwudziestu prowadzi, utraciła siły fizyczne, a nabyła religijności tak żarliwej, że szybko zaprowadziłaby ją do grobu, gdyby nie wpływ wnuczki, któremu jest uległą. Ona jedna posiada władzę przerywania jej nocnych modłów i czyni to codziennie. Idee i cnoty! Dom ten był pełen cnót i idei różnorodnych. To bardzo wzniosłe, ale swoją drogą, kładzenie się spać o godzinie jedenastej w zimie, jest barbarzyństwem nigdzie niepraktykowanym. Na szczęście, panował tu widać zwyczaj dawania gościom na noc książek. Spodziewam się! bo i cóż nieszczęśni robiliby w długie, zimowe wieczory? Z pociechą zobaczyłem na stole kilkanaście większych i mniejszych tomów. Miałem nawet pomiędzy czem wybierać.

W czasie, kiedy Wincenty porządkował i ustawiał moje toaletowe drobiazgi i przybory, stanąłem u okna i patrzyłem na cudną noc księżycową, która dom ten i wszystko dokoła niego objęła ciszą wielką i światłem srebrzystym. Liczne i rozmaite klomby drzew i krzewów zgóry widziane, przybrały pozór czarodziejskiego ogrodu, którym duch północy swój pałac z lodu i śniegu otoczył. Wszystko tam stało białe, nieruchome, tu i owdzie połyskujące srebrem i przez filigranowe rzeźby przepuszczające do miejsc cienistych smugi srebrzystych światła. Po blado-błękitnym sklepieniu płynął księżyc w pełni, zimny, czysty i tułały się gdzieś opary białe, poszarpane. Pod tem niebem i pośród tego ogrodu, ten duży dom wznosił się biały także, milczący, oknami już pozbawionymi światła, jak nieskończenie smutnymi oczyma, zdający się spoglądać na świat nieskończenie smutny. Wyobraziłem sobie, że gdybym wzniołszy się nad ziemię i mnóstwo już miejsc na niej zobaczywszy, *à vol d'oiseau* na to miejsce spojrział, musiałbym zawołać: „ach, jak tu smutno!” i copędzej, jak najdalej od niego odlecieć. Był w niem majestat, któremu można było przypatrywać się z rozkoszą jakiś kwadrans, w drugim już uczuwając chęć — odlececia. Oprócz tego, odkąd stanąłem u tego okna, słuch mój niepokoił jakieś dźwięki, dochodzące z oddali, które same jedne mąciły panującą naokół niepokalaną ciszę. Były to jakby niezmiernie przewlekłe nawoływania, jakby jęki basowe ogromnie przedłużane, z nieskończoności zda się i w nieskończoność płynące: płacz ziemi marznącej, czy uwięzionych żywiołów. Czasem słyhać było głos jeden tylko, czasem wiele naraz głosów i wtedy możnaby mniemać, że gdzieś niedaleko ztąd znajduje się piekło, przynajmniej czyściec, w którym lamentują srodze dręczone duchy. Z początku, zatopiony w myślach, na ten szczególny, w oddali kędyś wydawany koncert nie zwracałem uwagi i tylko mechanicznie go czułem. Ale potem, zaczął mię bardzo niepokoić i drażnić. Zwróciłem się do Wincentego:

— Co to? — wskazując na okno, zapytałem.

Z takim wykrzywieniem wargi, że zaostriżony koniec jednej połowy wąsów znalazł mu się prawie pod okiem, odpowiedział:

— Wilki, jaśnie panie!

I pomagając mi rozbierać się, sam już mówił dalej:

— Tutejsi ludzie opowiadają, że czasem, obudziwszy się zrana, widują wilka siedzącego pod samymi oknami domu, pośrodku którego z klombów...

Teraz już wykrzywił się tak potężnie, że byłem w obawie, aby sobie wąsem nie wykłuł oka. Ale i ja dotknąłem swojego, aby przekonać się, czy znajduje się na przyrodzonym swoim miejscu. Po chwili milczenia, zapytałem:

— Cóż, wesoło ci tu, Wincenty?

Znowu rudy wąs dosięgnął na policzku wysokości zupełnie nienormalnej.

— Dom aktualnie pański... ale... — z pełną uszanowania ostrożnością wyszeptał.

— Jakież tam: ale?

— Ludzie tutejsi, jaśnie panie, jacyś tacy...

Zawahał się nad ścisłym określeniem tutejszych ludzi, ale po chwili dokończył:

— Jacyś... dzicy!

Brawo! oto co znaczy nosić na sercu obraz cywilizacji, chociażby na ścierce do wycierania talerzy wyryty! Niezmiernie pochlebila mi ta zgodność zdań moich ze zdaniem mojego lokaja! Jednak, kiedy przed odejściem, w postawie pełnej uszanowania, ale z dziwnie błagającym mruganiem oczu zapytał, czy odjedziemy ztąd jutro, odpowiedziałem przecząco i popędliwie, jakby mię myśl odjechania ztąd jutro przeraziła. Jutro? już jutro rozstać się z nią, może na zawsze? Za nic! I z czemżebym odjechał? Jednego nawet dobrego słowa jeszcze od niej nie otrzymał. Odjechać już jutro! A ją może na zawsze pozostawić w puszczy, na usypianie przy wyciu wilków i otwieranie ze snu oczów na wilki pośrodku klombów siedzące! Za nic! Trochę czasu, trochę przeciw czasu potrzeba, aby królewicz zbudzić mógł ze snu zaklętego królownę, z takim zwłaszcza uporkiem w ślicznej główce!

## VI

Nazajutrz, o dość wczesnej godzinie — bo nerwy do najwyższego stopnia rozdrażnione, prawie zupełnie spać mi nie pozwoliły — stojąc znowu u okna swego pokoju, zobaczyłem

ją zbiegającą z wielkich schodów ganku i dążącą w stronę jednego z domków, pomiędzy klombami i alejami rozrzuconych. Po śniegu szła jak po posadzce, równo i prędko. Była tak zgrabną, że nawet watowany kaftan dość okropny, który na sobie miała, nie zdołał zepsuć linii jej kształtów i ruchów. Twarzy jej nie widziałem; w zamian miałem przyjemność oglądania z góry grubego, długiego warkocza, który, nie zwinięty, jak zwykle bywało, u wierzchu głowy, na plecy jej opadał. Nie miała na głowie nic, oprócz tego ciemnego, gdziegdzie złotem pobłyskującego warkocza. Chciałbym aby tu był Leon ze swoim sceptycyzmem, co do prawdziwości pięknych włosów kobiecych! Tę pyszną ozdobę głowy i pleć liljowej białości bez żadnej ochrony wystawiała na powiewy zimowego ranka. Pod wpływem wyjątkowego u mnie rozmarzenia, z pełnej piersi zaśpiewałem: „Wiatr codzień czesał jej długie włosy!” I umilkłem natychmiast, przerażony nieprzyzwoitością głośnego śpiewania w czyimś domu, ale myślałem: szczęśliwy wiatr! i do dnia, który miał nastąpić, mocno uderzyło mi serce.

O sto kroków od domu spotkała się z panem Bohurskim; stanęli oboje i zaczęli z sobą rozmawiać. Z gestów wnieść mogłem, że czemuś, co mówiła, zaprzeczał, ona go przekonywała i nawet prosiła. Szło zapewne o jakiś szczegół jakiejś kultury, bo przecież oboje mieli głowy pełne kultur rozmaitego rodzaju. Nie widziałem końca tej małej sceny, bo ktoś do drzwi zapukał i odwróciwszy się twarzą do pokoju, zobaczyłem kochaną nianię, która przez drzwi szeroko otwarte wносиła na tacy kawę i inne składniki śniadaniowe. Tę staruszkę z czarnymi oczyma przy siwych włosach i z dobrodusznym uśmiechem przy rozumnym czole, lubić zaczynałem. Na powitanie kiwnęła mi głową tak poufale, jakbyśmy się znali od lat wielu.

— Dzień dobry kochanej niani? Jakże się spało?...

— Niebardzo dobrze — odpowiedziała — różne myśli przeszkadzały. A panu?

— Zupełnie źle!

— Jezus Marja, a to dlaczego?

— Wilki nie dawały — skarżącym się głosem objaśniłem.

— Wilki! prawda! dzisiejszej nocy bardzo wyły. To często się zdarza... wiadomo, takie lasy i taka wielka puszcza. Ale my czasem tego wycia wcale nawet nie słyszymy. Przyzwyczajenie!

Z zamyśleniem powtórzyłem:

— Przyzwyczajenie!...

Ona bystro na mnie spojrzała, zamyśliła się także i z policzkiem na dłoni stojąc nad umieszczonym na stole śniadaniem, mówiła:

— A jakże! przyzwyczajenie to bardzo ważna rzecz... ajej, jaka ważna! Czasem to i wszystko zależy od przyzwyczajenia...

Mówiąc to, patrzyła na mnie oczyma znowu trochę chmurnemi, a tak uporczywie i przenikliwie, jakby mię do dna przejrzyć chciała. Mądra baba! Ręczę, że odgadywała w tej chwili moje myśli. Do śniadania zasiadając, żartobliwie zacząłem:

— A jakże! przyzwyczajenie może nawet czasem z człowieka wcale dobrego zrobić miłego nicponia.

Aż wzdrygnęła się, tak ją ostatni wyraz przestraszył.

— Jezus Marja! nicponia! Niech Pan Bóg broni... ale ot, czasem to i robi takiego, który żyje nie tak jak Pan Bóg rozkazał i jak innym ludziom potrzeba...

O, mądra baba! Myślałem dotąd, że sztukę mówienia półsłówkami tylko szczupła elita pań naszych posiadać może! Usłyszałem szybkie męzkie kroki na korytarzu i po lekkim zapukaniu do drzwi wbiegł pan Bohurski. W przechodzie przez pokój pocałował matkę w rękę i powiedział jej krótkie: dzień dobry! poczem przywitał się ze mną bez zbytecznej poufności, ale bardzo grzecznie. Miał na sobie ten sam co wczoraj surdut z barankami i te same wysokie buty, ale w nieobecności dam strój ten nie był rażącym, owszem, silnej jego postawie dodawał pewnej dziarskości, dla takiego jak on człowieka bardzo właściwej.

— Panna Zdrojowska — zaczął — w tej chwili bardzo zajęta, prosiła mię, abym panu przez jakąś godzinę towarzystwa dotrzymał, co z największą przyjemnością spełnić jestem gotów. Jeżeli pan wolisz przepędzić ten czas samotnie, odchodzę natychmiast, ale jeżeli na cokolwiek przydać się mogę, służę najchętniej.

Było to zupełnie poprawnie powiedziane. Miał grube rysy i duże, opalone ręce, ale mowę i znalezienie się zupełnie poprawne.

Odpowiedziałem kilku grzeczniemi słowy i zapytałem, czem właściwie kuzynka moja jest w tej chwili tak bardzo zajęta?

— Jest to dzień i godzina, w których przyjeżdżają do niej rozmaici ludzie — odpowiedział. Zazwyczaj przyjmujemy ich razem, ale w nieobecności mojej panna Zdrojowska wybornie sobie radzić umie, zastępować zaś siebie w tym wypadku nie pozwala nigdy nikomu.

— I te recepcje zdarzają się często?

— One się nie zdarzają — objaśnił — ale są prawidłem, niejako prawem, od lat przeszło dwóch przez pannę Zdrojowską ustanowionem. Jeden dzień w tygodniu wyznaczyła na widzenie się z każdym, kto tylko widzieć się z nią chce i potrzebuje.

— Ale jacyż to ludzie zgadzają się na przybywanie w ściśle oznaczonych terminach? Wyobrażam sobie, że najlepiej nawet usposobionych musiałyby one zrażać do odwiedzania Krasowiec.

Z krótkim uśmiechem, który o lat dziesięć go odmładzał, zawołał:

— Bo też tu nie o odwiedzinie idzie, tylko o interesy!

Jakież znowu interesy tak liczne i widywania się z różnymi ludźmi wymagające, mieć ona może?...

Idalka utrzymywała i w Mirowie mówiono, że Krasowce nie mają żadnych długów, a trzeba mieć chyba mnóstwo długów, aby potrzebować widywania się w celach interesowych z mnóstwem ludzi!

Nie mogłem powściągnąć ciekawości i zapytałem jeszcze:

— Jacyż to ludzie bywają tu w tych dniach oznaczonych?

— To trudno powiedzieć. Różni. Zdaje się, że oprócz bogatych i szczęśliwych, wszyscy!

A! teraz dopiero zrozumiałem. Niebogaci i nieszczęśliwi przyjeżdżali tu, naturalnie, nie dla jej interesów, ale dla swoich. Pan Bohurski zresztą nie robił wcale tajemnicy z natury tych interesów. Były one istotnie najrozmaitsze. Potrzebowanie pracy i zarobku, gniotące długi, rodzicielskie troski, pogorzele, głody, mory i wszelkie inne kłęski, dawały tu sobie co tydzień *rendez-vous* daleko więcej budujące niż pociągające. Agora! pomyślałem, i z tym wyrazem spoił się zaraz drugi. Agoromanja! Dowiedziałem się teraz, co było przedmiotem jej rozmowy z panem Bohurskim, którą tylko co przez okno widziałem. Prosiła go o przyjęcie na praktykanta, przy gospodarstwie krasowieckiem, młodego Zwirkiewicza.

— Wahalem się trochę, bo dwóch już mamy, ale wkrótce przyszedłem do przekonania, że w takim majątku jak Krasowce, pracy i nauki wystarczy i dla trzeciego. Panna Zdrojowska powiedziała mi, że pragnie koniecznie zastąpić w tym wypadku pana Donimirskiego. Ona pragnęłaby zastąpić wszystkich, we wszystkich podobnych wypadkach. Na nieszczęście, Krasowce, będąc fortuną znaczną, nie są przecież kopalnią złota.

— I tak dziwić się trzeba, że na tyłu starczą — zauważyłem.

— Dochody są znaczne, a maksymalnej cyfry swojej jeszcze nie dosięgają — odpowiedział — właścicielka zaś ma wydatki osobiste tak małe, że można ich prawie nie brać w rachunek. Zresztą, jak pan wie, nie poczytuje się nawet za właścicielkę i to do tego stopnia, że wszystko się tu robi w imię jej zmarłego brata. On tu, za jej tylko pośrednictwem, daje, pożyczka, uczy, leczy, doradza. Wprowadza to w błąd ludzi, mniej świadomych stosunków i wydarzeń, którzy mniemają, że Adaś Zdrojowski żyje, tylko kędyś daleko i dysponuje siostrze, to co ona czyni. Są tacy, którzy z płaczem i modlitwą błogosławią jego imię i sercem przyrastają do wszystkiego, do czego on był przywiązany więcej niż do życia.

Mówiąc to, nagłym ruchem twarz spuścił, a ja swoją w podobny sposób ku oknu zwróciłem; ale manewr ten na nic się nam nie przydał, bo pomimo niego spostrzegliśmy dokładnie, że mamy obaj wilgotne oczy. Ale też przyznać trzeba, że był to oryginalny i wcale nie brzydki sposób budowania grobowca bratu, nad którego mogiłą wznosić się nie mógł żaden grobowiec.

Zresztą, rozporządzanie się środkami było dość rozumne. Takie naprzykład pomoce jak ta, którą otrzymał Zwirkiewicz, nie były darowiznami, lecz pożyczkami, tylko w warunkach dla pożyczającego niezmiernie dogodnych i nad których uiszczaniem, jak nad wszystkim, co tyczyło się stosunków prawnych i tym podobnych, czuwał pan Bohurski.

Ta historia ze Zwirkiewiczem stanowiła tylko szczegół obszerne i niesłuchanie naiwnego planu, który zapanował był w głowce mojej kuzynki, ale, naturalnie, w praktyce upaść musiał. Rysunek planu był ni mniej ni więcej, tylko taki, aby własność wielka, do której w tych stronach Krasowce i Mirów należały, stanęła na straży interesów własności średniej, przez takich Zwirkiewiczów reprezentowanej, i za pomocą skierowywania w tę stronę swoich znacznych środków, dopomagała jej do przebycia momentu krytycznego nie tylko w całości, ale jeszcze w stanie postępu i rozwoju. Tak na gruncie swojskim przytrzymywana i dźwigana własność średnia, miała z kolei w ten sam sposób oddziaływać na zupełnie małą, ażby wytworzył się z tego spójny łańcuch pomocy otrzymywanych i dawanych, snop ściśle spojonych z sobą ludzi i obywateli, pokojowa liga pracy i walki. Kiedy przed dwoma laty Donimirszy, po długiej nieobecności, powrócili do Mirowa, panna Zdrojowska ucieszyła się tem bardzo i zaraz pojechała do nich, w celu podzielenia się tym planem z tymi krewnymi i zaproponowania, aby wraz z nią przystąpili do jego wykonywania. Wróciła ztamtąd zadziwiona i smutna. Naturalnie. Dotychczas jeszcze zadziwiała ją, że są tacy, którzy inaczej myślą i czują niż ona. Wówczas mniemała, że to jest niepodobieństwem, że jednostajne losy jednostajnie rzeźbią wszystkie ludzkie mózgi i serca. Dziecko wspaniałomyślne i niedoświadczone! Donimirskim proponować, aby dla jakichkolwiek przyczyn i względów, odjęli sobie od ust piątą potrawę obiadu, albo jedną mniej parą białych rękawiczek okryli ręce swoich lokajów! Proponować żywienie ludzi i gleby tym, którzy sami jedni zjadając Mirów, czuli się jeszcze często głodnymi. Było to niepodobieństwem, o którym ja miałem przeświadczenie głębokie, ale którego ona zrozumieć nie mogła. Pomimo to przecież, że zrozumieć nie mogła, nigdy już odtąd do Mirowa nie wróciła. Przedstawiała myśl swoją, ale jej nie narzucała. Proponowała, ale nie nawracała. Była na to zbyt młodą i skromną. Przytem, działając daleko więcej pod wpływem uczucia niż teorii, nie miała głowy wypchanej perorami. Tylko może znowu to uczucie i szczerość wrodzona sprawiły, że oddaliła się od krewnych i sąsiadów, wyodrębniła się od rodzinnej sfery swojej i, co za tem idzie, ze zwiększoną szybkością przybliżyła się do innych.... Co za utopja! jakie nagromadzenie marzeń i pomysłów z innego świata! Agoromanja!

Im dalej, pod przewodnictwem pana Bohurskiego, postępowałem w głębie tej dziwnej, drogiej duszy, tem więcej śmiać mi się chciało i jednocześnie tem więcej drugi człowiek we mnie chciał upaść przed nią na klęczki. Przed duszą chciał upaść na klęczki; abstrahując pyszny warkocz, liljową cerę, kibić mającą linję i mowę wyraźnie: przed duszą!

— Czy nie należy obawiać się — zauważyłem — aby wszystkie te trudy, prywatnie i konieczne niezadowolenia, nie oddziaływały w sposób szkodliwy na zdrowie mojej kuzynki?

Z wyrazu twarzy towarzysza mego poznałem, że to, o czem mówiłem, nigdy jeszcze na myśl mu nie przyszło.

— Wątpię — rzekł — dotychczas przynajmniej panna Zdrojowska ma się zupełnie dobrze... A resztą...

Podniósł na mnie oczy, w których gorący płomień zamigotał.

— Czy nie myślisz pan — dokończył — że są rzeczy, dla których można bez żalu poświęcić nawet zdrowie?

Tak... zapewne... tylko, że... jakże? no!... co tam! Jednak, *ce qui se ressemble, s'assemble*. Dziwna rzecz, że... Z jej wyobrażeniami i różnemi tam wspólnościami, które pomiędzy nimi zachodziły, z pomocą kochanej niani, która była przecież i mamą, szanse były liczne, aby się tak stało. Jednak nie stało się... Kochana niania była widać kobietą zupełnie uczciwą, a jego serce, nie ulegało to dla mnie wątpliwości, podbiły wdzięki czy przymioty panny Zwirkiewiczówny. *Amor flat ubi vult*. O Sewerynie mówił z uwielbieniem i przywiązaniem bardzo naturalnem, ale nie więcej. Idee i uczucia jej podzielał zupełnie, tylko doświadczwszy i oprócz puszczony kawał innego świata znający, mniej od niej łudził się i miał nawet w mózgu robaczki zwątpienia, których robocie przypisywać zapewne należało, że gdy nie uśmiechał się — a uśmiechał się rzadko i krótko — niktby przypuścić nawet nie mógł, że był niespełna trzydziestoletnim młodzieńcem. Kiedy potem dość długo mówiliśmy z sobą o rozmaitych rzeczach książkowych i światowych, ciągle mię w nim uderzało coś niezupełnie zwyczajnego, ale nie umiałem określić sobie jasno, co to było. Bo, że razem z Adasiem Zdrojowskim ukończył uniwersytet i że lat parę przewędrował



po szerokim świecie w poszukiwaniu, jak się zdaje, kawałka chleba, nie było to niczym szczególnym. Wiele umiał i niemało widział, ale i to nie było jeszcze tem, co mi się w nim wydawało cechą nieułowioną, ale stanowczo czyniącą go wyższym nad jego położenie towarzyskie. Nic prawie o sobie nie mówił, więc trudno mi było dojść, co właściwie nadaje temu człowiekowi tę jakąś cechę wyższości...

Dowiedziałem się o tem wkrótce od Seweryny, którą spotkałem niespodzianie, kiedy po złożeniu wizyty państwu Zdrojowskiemu, schodził ze schodów. Pan Bohurski towarzyszył mi jeszcze i mieliśmy w oczekiwaniu na jej powrót zagrać partję bilardu, gdy zobaczyłem ją wbiegającą na schody, całą różową od mrozu i jakiejś radości, od której oczy jej niezwykle błyszczwały. Myślała zapewne, że znajduję się jeszcze w swoim pokoju i niespodziewanie mię zobaczywszy, zmieszała się zrazu tak bardzo, że stanęła pośród schodów, o przywitaniu się zapominając. Pierwszy raz widziałem ją zmieszaną z powodu ubrania, które na sobie miała, bo biegnąc prosto z Agory, była jeszcze w watowanym kaftanie i z warkoczem na plecach opadającym. Niktby domyśleć się nie mógł, że kobieta, w której głowie powstawały zuchwałe aż do naiwności plany społeczne i mieściły się troski o wszelkie możliwe kultury, była tą dziewczeczką, która karminowo zapłoniona, z ręką na poręczach schodów, stała w postawie zawstydzonej i niepewnej, czy witać się, albo odwracać, iść dalej, lub uciekać. Podając jej rękę na powitanie, powiedziałem, że widzę już ją dziś po raz drugi.

— Dom ten ma okna — rzekłem — a ja miałem oczy dla widzenia młodej gosposi, gdy zrana szła po śniegu i mroźnemu, brzydkiemu wiatrowi pozwałała, aby cesał jej cudne włosy...

Jeszcze głębiej zarumieniła się, ale prędko przewyciężyła zmieszanie.

— To nie dla gospodarstwa... — zaczęła.

— Wiem, wiem — przerwałem — dla dobrych uczynków...

— I to nie! — zaprzeczyła z żywością.

— Może... dla przyjemności? — zapytałem.

— Żartujesz, kuzynie — odpowiedziała — a jednak, bliższym jesteś prawdy, niż przypuszczasz.

Biegła była do dziadostwa, ale wróciła i zstępowała z nami ze schodów, bardzo ożywiona, niby jakimś świeżo otrzymanym bodźcem do życia zagrzana. Prędko opowiedziała panu Bohurskiemu jakieś zajście, które pomimo ciekawego słuchania wydało mi się wcale nieciekawem i poprosiła go, aby poszedł je załatwić, bo ona sama poradzić mu nie może. Odszedł zaraz, mnie zaś zdawało się ciągle, że od ubrania jej zalatywał trochę zapach tych kozuchów, któremi przez cały ranek otoczona być musiała. W bawialnym pokoju wskazała fortepian.

— Zagraj, kuzynie, coś pięknego i bardzo pięknie, a ja, niedaleko ztąd ubierając się, muzyki twojej słuchać będę.

Grałem i bezwątpienia pięknie, gdyż wiedząc, że ona słucha mojej muzyki, pragnąłem tonami powiedzieć jej mnóstwo rzeczy, na których wypowiedzenie słowami zdobyć się tu nie mogłem, tak zupełnie, jak gdybym był nowicjuszem w tym kierunku. Dość długo potem siedzieliśmy sam na sam w bibliotece, rozmawiając o rzeczach rozmaitych, ale zawsze nie o tych, o których rozmawiać z nią pragnąłem. Przeszkody do tego znajdowały się w sprzętach, w atmosferze domu, w niej, we mnie samym. W sobie samym czułem wahania się i niepewności, niby kropelki zimnej wody, kiedyniekiedy na żar padające; gdy przy wspólnem przeglądaniu ilustrowanych książek i dzienników głowy nasze pochylały się nieco ku sobie, wzrok mój, pomimo wiedzy i woli, biegł ku jej włosom, które już teraz tworzyły jak zwykle u wierzchu głowy koronę lśniącą połyskiem ciemnego brązu. Prześlizgnięte włosy i od dzisiejszego poranku przysięgą stwierdzić mógłbym, że, jak sama prawda, prawdziwe. Ale z pomiędzy tego bogactwa, wychylały się gdzieś spinające je śpilki wprost ohydne: takie proste, grube, pozginane druty. Przypomniałem sobie złoty sztylcik we włosach Idalki. Czegożbym nie dał za to, aby mi wolno było własnoręcznie przyozdobić takim cackiem ten pyszny, choć sielankowo upięty warkocz! Pragnąłem wypowiedzieć jej przynajmniej to pragnienie i nie mogłem. Dokładniej, niż przedtem, wiedząc o pobudkach, dla których takie śpilki szpeciły jej włosy, miałem uczucie prawie instynktowe, że głośnie ich krytykowanie byłoby bluźnieniem jakiejś rzeczy świętej. Pomimo to, krytykowałem je pocichu. Po obiedzie, który jedliśmy w kompanji o tyle

mniej licznej, że panna Zwirkiewiczówna obecną przy nim nie była, siedzieliśmy w jednym z bawialnych pokojów, prowadząc rozmowę bardzo ożywioną i którą głównie ciocia Leontynka podtrzymywała. Była dziś w humorze prawdziwie różowym, może z powodu małych ustępstw, które, zapewne wskutek powtarzanych jej nalegań, Seweryna zgodziła się uczynić na rzecz gastronomicznej i estetycznej strony obiadu, może też dlatego, że przedłużający się mój pobyt w tym domu karmił ją różowemi, choć przyznać trzeba, że nieszczególnie uzasadnionemi nadziejami; bo gdyby nawet i stało się to, o czym nie bez słusznych podstaw przypuszczała, że stać się może, czyliżby szczątek pięknego niegdyś okrętu miał koniecznie wypływać znowu na morze szerokiego świata? Ale jej się zdawało, że musiałyby tak być koniecznie i ta pewność z jednej strony zbawiennie wpływała na jej humor, a z drugiej zachęcała do jak najgorliwszego bawienia mię, abym wypadkiem z nudy, przed czasem nie uciekł. Więc odzyskując cały swój takt, wdzięk, wprawę konwersacyjną, nawet blask oczu i grację ruchów, mówiła o swoich dawnych podróżach, stosunkach, wrażeniach, w sposób, który mnie także do mówienia o przedmiotach tej samej natury zachęcał. Zagranica, teatry, opery, koncerty, góry, morza, zatoki, magazyny, niektóre salony w niektórych stolicach, był to teren, któryśmy oboje, z pewną różnicą dat, lecz jednostajnie od brzegu do brzegu zdeptali i poznali. Pan Bohurski, który parę razy był zagranicą i znał parę stolic, mieszał się do rozmowy naszej, biorąc czasem rzeczy z innego punktu widzenia, co było bardzo naturalnem, bo oglądał je z innego wcale środowiska i w innych warunkach tak wewnętrznych, jak zewnętrznych. Seweryna odzywała się bardzo rzadko, ale wzajemnych naszych opowiadań i przypomnień słuchała z ciekawością żywą i wcale nie ukrywaną. Nieraz już spostrzegalem, że różne bożki tego świata, których nie znała, albo od których odwracała się wzgardliwie, obudzały w niej przecież uczucia ciekawości i pociągu. Wszak z prawdziwie kobiecem zajęciem przypatrywała się któregoś dnia pięknej toalecie Idalki! Obce zaś kraje, których nigdy nie widziała, to wszystko szczególnie, co w opowiadaniu o nich tyczyło się sztuk pięknych, albo natury, rozciekawiało ją namiętnie. Ztąd wnosilem, że pod tym czarnym, wiecznie jednostajnym stanikiem kipi coś, co trzeba studiować, wyrывa się ku bożkom, coś, co w imię przysięgi złożonej jednemu trzeba powściągać...

Wtem, kędyś w domu, tam i owdzie, parę razy drzwi stuknęły tak mocno, że aż podskoczyłem na krześle, i do pokoju, w którym siedzieliśmy, jak wiatr w postaci dziewczyny zdyszanej, rozczterwiononej i od radości nieprzytomnej, wpadła panna Zwirkiewiczówna. Zaledwie ją poznać mogłem, tak była zmienioną w swoim rozpromienieniu i zapomnieniu o wszystkim, cokolwiek mogło być dokoła. Wracała widać z jakiejś wycieczki, bo szalik do okręcania głowy zsunął się jej na plecy, odkrywając włosy, które wiatr przemienił w furkę złotego siana, a jakaś gałąź osypała śniegiem, topniejącym teraz w mnóstwo błyszczących kropel. Więc jak wiatr w postaci dziewczyny, ze złotą furką włosów, topniejącym śniegiem przysypanych, przeleciała przez pokój i przed Seweryną na ziemi przysiadając, mową przez przyspieszony oddech utrudnioną, ale nadzwyczaj prędko trzepać zaczęła:

— Tatko bardzo dziękuje... nie wie jakimi słowami dziękować... łzami dziękuje, bo płacze z radości... za parę dni sam Bronka tu przywiezie... To dla Bronka takie szczęście! Tatko był o niego taki niespokojny, tak gryzł się, i jedną już tylko nadzieję pokładał w panu Donimirskim, ale pan Donimirski odmówił, aż tu ja przyjeżdżam i mówię niech tatko daje mi Bronka, to go do Krasowiec zawiozę! A kiedy tam już dwóch uczy się gospodarstwa! No, to on będzie jeszcze trzeci! Myślałam, że tatce nie wiem co się stanie z radości. I Bronka taki rad, rad! tylko powiedziałam mu, żeby nie myślał sobie, że będzie próżnował, bo ja go sama będę napędzała do wszystkiego i pana Władysława poproszę, aby napędzał. O rok młodszy odemnie, musi mię słuchać, musi wszystko robić, co tylko pan Władysław każe, uczyć się, czytać, ale on i sam zechce, przecież to jego cała przyszłość, za którą tatko już teraz pani dziękuje, ach, jak dziękuje!

I z wielkiej radości rozplakała się. Śmiała się, płakała, czarne jej oczy, pod złotą furką włosów, płonęły z za łez jak żuźle, Sewerynę całowała frenetycznie w twarz i w rękę. Spostrzegłem teraz, że była wcale nieszpętną i że z atakiem entuzjazmu było jej bardzo do twarzy. Mrugnąłem ku panu Bohurskiemu, który w milczeniu przypatrywał się tej scenie.

— Teraz niech pan o zielone zapyta! — szepnąłem.

— To prawda! — uśmiechnął się i głośno zagadnął:

— Panno Malwino, zielone?

Zmieszała się ogromnie, wstała z klęczek, drobnymi, czerwonymi rękoma prędko, prędko sięgać zaczęła za skórzany pasek, do kieszeni sukienki, do dwóch kieszeni fartuszka, aż opuszczając ręce i podnosząc na pytającego oczy mokre jeszcze od łez, zafrasowane, trochę też śmiejące się, szepnęła:

— Nie ma!

Naturalnie, gdzieżby mogła, lecąc do ojca z tak ważną nowiną, pamiętać o wsunięciu za pasek lub do kieszeni zielonego listka! Przegrała i może nawet coś ważnego, bo ponsowa jak piwonja, raz jeszcze Sewerynę ucałowawszy i szepnąwszy, że wielka już pora iść do zajęcia, jak spłoszona sarna wybiegła. Na tego, który tryumf nad nią odniósł, nie spojrziała ani razu, ale on poszedł za nią, wprawdzie oświadczając, że wróci wkrótce, aby grać ze mną w bilard. Ciocia Leontynka, oczyma wskazując na odchodzącą parę, trochę filuternie, a trochę złośliwie szepnęła:

— *Couple d'amoureux...*

— *A ce qu'il parait* — dodałem i pytając spojrziałem na Sewerynę.

— Bardzo być może — odpowiedziała — i zdaje mi się, że tak jest, znał ją i lubił od dzieciństwa, a teraz...

— Polubił jeszcze więcej — dokończyłem.

— Pragnęłabym bardzo, aby to było dla niego nagrodą za ofiarę, którą czyni, zamieszkując Krasowce.

— Ofiarę? — zdziwiłem się.

— Egzagerujesz, Sewerko — zawołała pani Brożkowa; ciekawam, do czego większego pan Bohurski pretendować miałby prawo.

— Miałby on prawo, moja ciociu — odpowiedziała żywo — pretendować do rzeczy, pod niektórymi względami, daleko większych. Człowiek z taką nauką i świeżą, ale już znaczną sławą pisarską, mógłby...

— Sławą pisarską! — powtórzyłem, ale gdy powiedziała, że on to właśnie był autorem całego szeregu rozpraw treści ekonomiczno-społecznej, które przed rokiem i jeszcze trochę później zrobiły w świecie wielką wrzawę, o mało z krzesła nie spadłem. Nie były to roboty byle jakie, ale jedne z tych twórców nauki i talentu, które jak tarany uderzają w umysły ludzkie i twórcom swoim drogi torują. Niektóre z nich sam czytałem lub przerzuciałem, mając zwyczaj czytania lub przynajmniej przerzucania wszystkich rzeczy wybitnych, w jakimkolwiek kierunku byłyby napisane, i zapamiętałem, że uczyniły na mnie wrażenie myśli oryginalnych, z prawdziwym talentem wypowiedzianych. Przez czas jakiś bardzo wiele mówiono o tych broszurach i artykułach, nad odgadnięciem pseudonimu, którym podpisane były, nadaremnie, lecz zawzięcie łamano sobie głowy. A! więc to stanowiło tę cechę wyższości, którą w nim spostrzegałem, a z której natury nie mogłem dotąd zdać sobie sprawy! Bo rzecz prosta kto miał nieszczęście źle się urodzić, musi przynajmniej napisać dobrą książkę, albo wymalować dobry obraz, aby wyróżnić się — z tłumu trawek. Jeżeli jednak to uczyni, zdobywa to wyróżnienie — najpewniej, w moich przynajmniej oczach. Talent jest także szlachectwem i człowiek, który sam nie należy do gminu, zawsze go w drugim człowieku odgadnie. To pachnie. Uczułem w panu Bohurskim zapach jakiejś wyższości i chociaż samoistnie nie odgadłem jej gatunku, wieszowałem sobie przenikliwości i tego także, że losy zbliżyły mię — nie byle z kim. Ale istotnie, skoro tak jest, po cóż on tu siedzi? Człowiek takiej miary, może istotnie rościć prawo do rzeczy większych, niż zarządzanie Krasowcami. Jeżeli nie w kraju, to zagranicą, doszedłby niezawodnie do kariery, fortuny i — trochę miłszego miejsca pobytu, niż ten kąt zapadły i smutny. Gdyby moje chwilowe przypuszczenie było trafne, biorąc przytem w rachunek przyzwyczajenia, które mieć musi, rozumiałbym jeszcze to jego siedzenie w Krasowcach, ale ponieważ okazało się ono zupełnie mylnem, więc co go tu przytrzymywać może? Przecież nie panna Malwina, bo w ostateczności mógł ją z sobą zabrać w świat szeroki, i nie ta pensja, którą otrzymuje rządca Krasowiec. To, aby ktoś, mogąc spędzać życie na szerokim świecie, tu je spędzał i posiadając oręż do zdobywania złota i laurów, pozwalał mu tu rdzewieć, było dla mnie tak niepojętem, a człowiek, który

to czynił, przedstawiał zagadkę psychologiczną tak ciekawą, że z najżywszą ochotą skorzystałem ze sposobności dłuższego z nim mówienia, którą mi gra w bilard nastręczyła.

Kiedyśmy przez bibliotekę przechodzili, jeden z praktykantów siedział przy stole i pilnie ze wzoru coś przerysowywał, a jedna z panienek (tamta druga), na wysokiej drabince zawieszona, zdejmowała jakieś książki z najwyższej półki szafy. W innym znowu pokoju, dwaj mali tokarze, pod przewodnictwem starego, zawzięcie toczyli. Przedtem jeszcze spostrzegłem był jakąś figurę rodzaju męzkiego, opuszczającą bibliotekę z książkami, zapewne od panienki, na drabince stojącej, otrzymanemi. Oto, co w znaczeniu pełnem nazywać się mogło napuszczaniem do domu ludzi obcych i dobrowolnem robieniem dookoła siebie rynku! Ogromnie tego nie lubilem. Dom, podług mego zdania i gustu, to mała świątynka, do której ołtarza zbliżyć się ma prawo tylko ściśle określona garstka wybranych. Ale, w pokoju bilardowym nie znaleźliśmy nikogo i pomiędzy dwiema partjami mogłem swobodnie oświadczyć panu Bohurskiemu moje wielkie zadowolenie z poznania autora sławnych broszur i rozpraw, jako też zdziwienie nad tem, że tu go poznałem.

— Spodziewałbym się raczej — mówiłem — spotkać pana w wielkim mieście, na stanowisku odpowiedniem dla człowieka z nauką tak gruntowną i talentem tak niezwykłym. Wyobrażam sobie, że musi tu panu ogromnie brakować odpowiedniej atmosfery umysłowej i towarzyskiej.

Oświadczenie moje przyjął uprzejmie, ale tak spokojnie, jak gdyby mógł codzień spotykać się z podobnemi, a na ostatnią uwagę bez namysłu odpowiedział:

— Ma pan słuszność. Uczuвам nieraz chęć odświeżenia umysłu u źródeł, które tu nie istnieją. Minąłem się też z najgłębszem powołaniem mojem, którem było nauczanie w zakresie wyższym. Kiedyś był jeszcze prawie dzieckiem, już koledzy szkolni i inne blizkie mi osoby, z powodu tego wyraźnie objawiającego się powołania, nazywały mię panem profesorem.

Uśmiechnął się po swojemu: krótko i młodzieńczo. Nadaremnie też badałem wyraz jego twarzy, nie było w nim żalu, ani goryczy. Ta wczesna rezygnacja zaciekała mię ogromnie.

— Jak pan może tak spokojnie i nawet wesoło mówić o takich rzeczach! — zawołałem. Przecież, jeżeli nie mylę się, nazywa się to złamanem życia, a złamane życia zawsze okropnie jęczą!

Tym razem nietylko uśmiechnął się, ale zaśmiał się głośno i serdecznie.

— Ależ ja wcale swego życia za złamane nie uważam! Owszem, odkąd jestem w Kra-sowcach, znajduje się ono w stadjum pełnego kwitnięcia!

— Przecież tylko co słyszałem, że uczuwasz pan pewne braki...

— Naturalnie; ale czy znasz pan człowieka w jakimkolwiek położeniu, któremu by z żadnej strony niczego nie brakowało?

To pytanie zadając, bystro i uważnie na mnie popatrzył. Spojrzenie to uzupełniało słowa, zdawało się zapytywać: a ty? Czy ci niczego z żadnej strony nie brakuje?

Oj, oj! brakowało! i ze strony najważniejszej, bo tej, po której powinno znajdować się szczęście. Prawda, ale zkądnąd, jeżeli szczęście jest kwiatem mitycznym, lub napojem tylko bogów, to jeżeli można zdobyć sobie takie jego surogaty jak tryumfy miłości własnej, wesołe przepędzanie czasu, rozkosze zmysłów i umysłu, szalonym chyba być trzeba, aby zrzekać się ich zdobywania.

— Zawsze jednak — rzekłem — stokroć lepiej byłoby dla pana, gdybyś zajmował w świecie odpowiedniejsze dla siebie stanowisko.

— To, które zajmuję — odpowiedział — uważam nietylko za odpowiednie, ale nie-spodziewanie wysokie. Prawdą jest jednak, że przez lat parę pragnąłem i usiłowałem osiąść takie, do jakiego byłem podówczas najlepiej uzdolnionym i najskłonniejszym.

Zwięźle, ale szczegółowo opowiedział mi historję tych lat paru, w ciągu których, z młodzieńca zaledwie rozpoczynającego życie, przemienił się był na takiego dziadka kościelnego, który w każdej bramie i na wszystkich schodach wyciąga rękę po jałmużnę. We wszystkich bramach i na wszystkich schodach żebrał właśnie o to stanowisko, którego że nie zajął, pojąć nie mogłem. Teraz, zaczynałem rozumieć. Ach, tak! Przyczyny, dla których musiał żebrać i nic nie wyżebrał, znałem przecież dobrze, tylko że niepodobna zawsze o takich rzeczach myśleć i pamiętać. Tak, to prawda! Przepowiednie kolegów szkolnych i innych osób blizkich, nie mogły spełnić się dla niego. Teraz, kiedy sobie to

przypomniałem, po czole przemknął mi płomień i w sercu uczułem coś niedobrego. Ale, cóż robić? Skoro się miało nieszczęście urodzić w dniu feralnym! Świat przecież jest rozległym, a człowiek, taki zwłaszcza jak on, nie jest grzybem, któryby musiał w jednej tylko kępcie mchu wiecznie siedzieć. Przytoczyłem parę znanych mi wypadków, w których takie dziady kościelne, do jakich on przez lat parę należał, ulegali nowej metamorfozie, stając się ludźmi sławnymi i możnymi na dalekim wschodzie lub zachodzie.

— To prawda — rzekł — znam także podobne wypadki, ale ten sposób radzenia sobie był mi antypatycznym i nie wiedziałem już dobrze, ani co, ani jak czynić, gdy otrzymałem od panny Zdrojowskiej wezwanie, które stało się dla mnie światłem w ciemnościach, za które nigdy dość wdzięcznym jej być nie zdołam, które też i przyjąłem z większą radością, niż to kiedykolwiek wyrazić mógłbym.

Nie jestem pewny, czy nie miałem w tej chwili ust szeroko otwartych od zdziwienia. Wdzięczność! radość! Jezus Marja! Cóż to za osobliwa radość dla człowieka z nauką i talentem, zostać rządcą czyjegoś majątku i gnić w zapadłym kącie!

— Podziwiam skromność pańską — rzekłem — ale racz mię z łaski swojej oświecić, czym właściwie propozycja panny Zdrojowskiej mogła tak czarownie uśmiechnąć się do pana?

Pochmurne zazwyczaj rysy jego promieniały.

— Trafnie wyraziłeś się pan — odpowiedział — czarownie uśmiechnęła się do mnie: najprzód możliwość nieuczynienia tego, do czego czułem wstręt i czego nigdy potem nie przestałbym sobie wyrzucać!...

— To jest?

— To jest, korzystnego może sprzedania się za górami i morzami, zamiast wypłacenia długów naturalnych i świętych.

Aha! Zrozumiałem, i nie mogłem odmówić mu słuszności. To prawda, bywają długi naturalne i święte, które wypłacać koniecznie należy, tylko że znowu bywają i okoliczności, w szczególny sposób wypłaty te utrudniające, a wtedy możemy sobie z pewnych nieakuratności zlekka rozgrzeszać. I po co to zresztą rozciągać wszystko tak szeroko i daleko? Czy cokolwiek na świecie warte jest takich skrupulatnych ważeń i namysłów?

Ale on, zazwyczaj dość powściągliwy i chłodny, rozgrzał się teraz i na dobre rozgadał.

— A potem — mówił — warsztat do pracy. Panie! jaki to wspaniały warsztat i jakie mocne rzeczy wyrabiać na nim można!

— To jest... co takiego? Krasowce?

— Tak, Krasowce; ziemia i wszystko co na niej rośnie, żyje, czuje, myśli...

Boże kochany! przecież i ja miałem majątek, może nie mniejszy od Krasowiec, ale nie myślałem nigdy, aby to był warsztat; jeźlibym zaś kiedy i obdarzył go tą nazwą, to przecież nie w zastosowaniu do swojej osoby. Nie mogłem sobie nigdy wyobrazić warsztatów inaczej, jak w połączeniu z grubością skóry i ciemnotą mózgu; dlatego też nigdy nie zastanawiałem się nad żadnymi. Teraz jednak, nie bez zajęcia słuchałem ich pochwały. To można robić na tym warsztacie, tamto, trzecie, dziesiąte, tak, że zdawałoby się w nieskończoność wzrastały w liczbę, długość i szerokość, te roboty, z których jedne wydawały mi się rzeczywiście ważnymi, inne — błahemi, ale wszystkie razem nieskończenie trudnymi i nudnymi. Towarzysz mój także nie twierdził bynajmniej, aby one były łatwe, ale utrzymywał, że są nieskończenie zajmujące, przeciw czemu ja z całej siły protestowałem, lecz tylko w duchu, bo najprzód, mówił on bardzo ładnie, więc wolałem słuchać aniżeli mówić, a potem, coś takiego, jakieś nieokreślone uczucie wstydu, czy zażenowania, powstrzymywało mnie od głośnego wypowiedzania moich myśli o tych przedmiotach. Nic złego zresztą o nich nie myślałem, owszem, wszystko to było może bardzo dobre i ważne, tylko, że sam nie czułem się wcale do tego stworzonym. Nie wszyscy przecież są do jednych rzeczy stworzeni, a raczej urodzeni, no, i także przygotowani.

— Panna Zdrojowska — mówił — jedna w tych stronach... może w wielu stronach, rozumiała, a raczej wybornie czuła te zadania, które pełnić mogą i powinny wszelkie podobne warsztaty. Ale gdyby więcej było pełniących, gdyby tak wszystkie razem wzięły się do takiej roboty, coby z tego wyniknęło! Panie, coby wyniknęło z tego za parę, za kilka dziesiątków lat! Jakie ślady pokolenie dziś żyjące i, jak pan mówisz, w feralnym dniu urodzone, pozostawiłoby po sobie? Panie, jakie ślady pozostałyby na drodze, którą dziś

idziemy? Za parę, za kilka dziesiątków lat, będą tacy, którzy zapytają: dlaczego ci, którzy szli przed nami, nie zostawili po sobie takich śladów?

Nie wiedziałem jak i kiedy w czasie tej rozmowy oddaliliśmy się od bilardu i prowadziliśmy ją dalej, siedząc u okna blisko i naprzeciw siebie. Zbliżka więc widziałem oczy jego utkwione we mnie z płomieniem namiętnego żalu, pragnienia, wyrzutu i — spuściłem swoje. Gdyby wszystkie takie warsztaty wzięły się do roboty! Jakże to być może! to niepodobna! Niepodobna wymagać od wszystkich ludzi, aby z zawiniętymi rękawami stawali do reperacji świata! Do tego trzeba się urodzić! I te ślady także... Jakie tam ślady zostawić może po sobie drobna jednostka, a choćby i jedno pokolenie, gdy od lat tysięcy cała ludzkość nieustannie ten swój świat reperuje i nie może tak zrobić, aby ranami nie świecił! Jednak, ten człowiek ma w sobie jakiś ogień święty... jednak piękną istotnie byłoby rzeczą zostawiać po sobie ślady inne, niż te, które kotyljon pozostawia na kurzu posadzki i które, gdy skończy się noc balowa, lokaje razem z kurzem wymiatają za drzwi! Jednak... w tym, który posiada taką otuchę i ambicję, może myt staje się prawdą i szczęście rozkwita!

Wstałem.

— Jeżeli pan nic przeciw temu nie ma, możebyśmy zagrali jeszcze jedną partję...

Czułem sam, że mówię ciszej jak zwykle i że głos mój wydobywa się z pod jakiegoś ciężaru, który mi leżał na piersi. Grałem z takim roztargnieniem, że aż towarzysz mój parę razy ze zdziwieniem na mnie spojrział, a po skończonej partji, znowu przybliżyłem się do niego.

— Panie kochany — zacząłem — racz mi też z łaski swojej powiedzieć, do czego wszystko to, według zdania pańskiego, prowadzi?

— Jaktó? zadziwił się, co?...

— A te wszystkie warsztaty, roboty, kultury, ofiary i różne inne morderstwa... Spodziewam się przecie, że pan nie wierzysz, tak jak stary pan Zdrojowski, w możliwość urzeczywistnienia rajy na ziemi?

Zaśmiał się.

— Wątpię istotnie, aby ziemia mogła stać się kiedykolwiek rajem; ale pewny jestem, że stan ludzkości fizyczny i moralny ogromnie polepszyć się może...

— Ale tyczyć się to będzie zawsze tylko cząstki ludzkości, najwyższego jej wykwit, tych, którzy dzięki urodzeniu albo wyjątkowym zdolnościom, zajmą miejsca naczelne i znajdą się u szczytu cywilizacji. Prawda?

— Nie — odpowiedział — myślę przedewszystkiem, że zajmować w ludzkości miejsca naczelne i znajdować się u szczytu cywilizacji, są to dwie rzeczy różne i które bardzo często połączone z sobą nie bywają.

— Jaktó! przypuszczasz więc pan, że pastuch może być wyżej ucywilizowanym od księcia?

— Nietylko przypuszczam, ale wiem, że tak bywa...

— *Nom du ciel!* w jakichże to wypadkach?

— We wszystkich tych, w których pastuch jest więcej uspołecznionym od księcia?

— Ale cóż to takiego, według pana, być uspołecznionym?

— Życ nie tylko dla siebie, ale także i dla innych, krócej mówiąc: być dobrym i pożytecznym dla innych. Oto wszystko. W tem znaczeniu, pastuch, który zasadza drzewo, mające dawać cień i owoce wtedy, gdy jego na ziemi już nie będzie, jest wyżej ucywilizowanym od księcia, który dla zwiększenia sumy swoich przyjemności wycina lasy.

W milczeniu przez parę sekund na niego patrzyłem.

— Więc niby — rzekłem — moralne polepszenie się stanu ludzkości upatrujesz pan w jak największem możliwie rozmnożeniu się uspołecznionych pastuchów?

— Tak, panie.

— A fizyczne, w daniu tym pastuchom mięsa do zupy i butów na nogi?

— Wraz z niektórymi innymi rzeczami w tym rodzaju. Do tych też dwóch wyników prowadzą te, jak pan mówi, warsztaty, roboty, kultury, ofiary i różne inne morderstwa.

Przymrużył oko i zmierzył kijem do kuli.

— Jeżeli pan życzy sobie — zaproponował — możebyśmy jeszcze jedną partję zagrali!

Zgodziłem się prawie automatycznie, bo prawie nie wiedziałem sam co robię, ale po kwadransie, ze zniecierpliwieniem kij na bilard rzuciłem.

Byłem dziś stanowczo niezgrabnym niedźwiedziem i nieznośnym gapiem. Ale towarzyszył mi widać ogromnym tej gry amatorem, bo grać przestawszy jeszcze o niej mówił i właśnie wykladać mi zaczął jakiś jej odcień kunsztowny i zawikłany, kiedy przybliżyłem się do niego i zacząłem:

— Przepraszam pana, że mówię mu przerywam i ciągle pytaniami go atakuję. Ale ciekawość jest wybitną cechą mego charakteru. Mówiliśmy dotąd o ludzkości i wyraziłeś pan nadzieję, wierzenia, które dla niej żywisz. Bardzo dobrze, ale użyjmy teraz pojęcia i wyrazu mniejszego. Powiedzmy: społeczeństwo, to społeczeństwo, któremu pan, siedząc w Krasowcach, dług swój wypłacasz. Czy pan, tak jak względem ludzkości i względem niego masz pewność, że cokolwiek do czegoś prowadzi?

Mówiąc to, przenikliwie w twarz mu patrzyłem i widziałem jak te grube, ale wysoką inteligencją oświecone rysy mętniały, zasępiały, aż z oczu trysnął błysk zupełnie ponury, powieki w dół opadły i wargi przybrały wyraz prawie bolesny.

— A, panie — zawołałem — chwytam pana na gorącym uczynku... a raczej, na robocie tych robaczek wątpliwości, którą już parę razy w panu spostrzegłem! Jesteś pan zbyt rozumny, abyś nie był sceptykiem wogóle i w tym przedmiocie najszczególniej. A jeżeli tak jest, jeżeli robaczki wątpliwości mózg pana gryzą tak, że aż czoło pana robią o dziesięć lat starszym niż być powinno, po cóż samego siebie oszukiwać, po cóż wszystkie środki i korzyści życia rzucić pod nogi — temu w co się mało wierzy?

Słuchał ze spuszczonej powiekami, ale gdy przy ostatnich wyrazach podniósł wzrok na mnie, ogromnie się zdziwiłem, bo wyraz jego był prawie groźnym; głos też jego miał głuche i przytłumione dźwięki, gdy odpowiadać zaczął:

— Mylisz się pan, że dla społeczeństwa nie mam tej samej wiary i nadziei, którą żywię dla całej ludzkości. Gdybym ich nie miał, czyżbym panu mówił, że życie moje znajduje się w stanie rozkwitu? Byłoby ono uschłem, jak uschła jest roślina, z której gruntu skwary wypłynęły wszystkie soki. Ale co do robaczek wątpliwości, spostrzeżenie pana jest trafne. Mam je w mózgu i mogę pana upewnić, że praca ich nie należy do najmniej dobrze obmyślanych i wykonywanych tortur. Lecz uprzedzić pana muszę, że daremniebyś pan mnie pytał, z jakich przyczyn powstają te robaczki. Panu mniej, niż komukolwiek, i w tym domu mniej, niż gdziekolwiek, powiedzieć to mogę.

Zastanowiłem się chwilę i zrozumiałem dlaczego to mnie i w tym domu mniej, niż komukolwiek i gdziekolwiek mógł otwarcie mówić o przyczynach swoich wątpliwości. Ach, ja i mnie podobni... naturalnie! Cha, cha, cha! Więc niby ja i mnie podobni jesteśmy czemś, zachwiewającym wiarę i nadzieję! Pochlebnie! Zaszczycenie! Gniew oblał mnie od stóp do głowy, ale powściągnąłem się.

W tym domu, mniej niż gdziekolwiek, wypadało mi puszczać wodze gniewowi. Nie mogłem przecież powstrzymać się od spojrzenia trochę zgóry na tego syna kochanej niani, który mi powiedział niedobrze nawet zamaskowaną impertyncję.

— Ponieważ jednak są tacy, którzy mają wątpliwości, i tacy, którzy je budzą... — powoli, cedząc wyrazy, zacząłem.

Ale on przerwał:

— Więc są i tacy, którzy usiłują tak czynić, aby, jeżeli przeznaczeniu podoba się kiedy nakreślić straszne słowa: *tout est perdu!* móz, jak ów król po bitwie przegranej, dodać: *sauf l'honneur!*

Francuzkie *u* wymawiał jak *ju*, ale miał rację. Jeżeli *tout est perdu*, niechże będzie *sauf l'honneur!* Przy końcu rozmowy zdradził się z tem, że był prostakiem, ale powiedział prawdę, którą miałem sam głęboko w sobie wrytą. Honor, rzecz najważniejsza. Pytanie tylko: kto i na jakich drogach społeczeństwu swojemu honor przynosi? Już nie pierwszy raz dnia tego stanęło przedemną to pytanie, bo gdym pana Adama Zdrojowskiego odwiedzał, chciał on koniecznie dowiedzieć się, co właściwie robiłem, gdym po razy wiele znajdował się we Francji? Kiedy mnie o to zapytał, uczułem się zakłopotanym i zręcznie sprawę zagadałem, bo wydało mi się trudnym opowiadać temu starcowi o rozmaitych sposobach, w jakie spędzałem czas we Francji, właściwie w Paryżu. Dla niego, który najszczerzej wyobraża sobie, że spełniał zamlodu apostołską misję, roznosząc po świecie idee, wzięte z Francji, opowiadanie to nie byłoby kroplą eliksiru przedłużającego życie. Ale potem namyśliłem się i powiedziałem, że ja i przyjaciele moi reprezentujemy przed Europą

wogóle społeczeństwo nasze, utrzymujemy w niej przekonanie, że jest ono wysoce ucywilizowanym, jesteśmy niejako okazami, które mu dają pochlebne świadectwo.

— Oprócz tego, zadaniem naszym jest zawiązywać i utrzymywać stosunki pomiędzy najbardziej ucywilizowaną sferą społeczeństwa naszego i takimiż sferami krajów innych, zadanie, które spełniamy, zmuszając Europę do porzucenia tak często jeszcze względem nas stosowanej nazwy dzikich.

Zdaje się, że legendowy starzec niebardzo tę moją obszerną odpowiedź zrozumiał, albo może przez grzeczność nie okazał, że wcale innej się spodziewał, ale to już nie moja wina. Panuje przecież na świecie podział zadań i ja w wypadku, o którym była mowa, spełniałem swoje. Każdy na swojej drodze i według swoich środków przynosić może honor społeczeństwu, a kto go więcej przynosi? to już rzecz zdania i punktu widzenia. Tak jest, nawet niezawodnie, jednak po rozmowie z panem Bohurskim czułem się wprost zgnębionym. To branie wszystkiego ze strony rozległej, albo tragicznej, z którym tu spotykałem się ciągle, fatygowало mię i razem niepokoiło. Myśl moja, nieprzyzwyczajona do takiego orania, potrzebowała lotu, swobody, sfer promiennych i jak najbardziej oderwanych od tej ziemi, która tu dla wszystkich zdawała się być bożyszczem. Ta proza, jakkolwiek może i wzniosła, nużyła mię, ostudzała, ale zarazem, jak już wspomniałem, i niepokoiła także. Coś mi dolegało, coś mi takiego około serca chodziło, iż mógłbym myśleć, że się we mnie glisty zagnieździły. Sprawiało mi to taką przykrość, że pomyślałem sobie: trzeba to jednak raz skończyć! Czego ja tu właściwie siedzę? Tak, czy inaczej, trzeba to koniecznie i jak najprędzej skończyć! Takimi myślami zajęty i nie wiedzieć dlaczego, ale formalnie zgryziony, zaledwie wiedziałem o czym i jak rozmawiam z panią Brożkową, która przyszła do bilardowego pokoju, aby, jak mówiła, porwać mię panu Bohurskiemu zupełnie dla siebie samej, bo Seweryna była jeszcze na chwilę czemś pilnem zajęta. Ona wiecznie musiała być zajęta. W dacie jej urodzenia zaszła omyłka, bo powinna była urodzić się w średnich wiekach i zostać benedyktynek. To powtórne już dnia tego opuszczenie gościa dla zajęć, było też dobrze skrzypiącymi wrotami! A ta znowu moja siostrzana dusza, po kilka razy na dzień, jak widzę, odmienia na twarzy warstwę pudru i wszystko co mówi wydaje mi się po rozmowie, którą przerwała, świegotaniem czeczotki po muzyce basowej i górą płynącej. Nie, stanowczo, nie mam tu żadnej pociechy i muszę raz z tem skończyć, aby więcej jeszcze glist do środka mi nie nalazło. Wtem, uwaga moja obudzoną została przez kilka słów przez towarzyszkę moją wypowiedzianych, a więcej jeszcze przez dający do myślenia sposób, w jaki je wypowiedziała. O czym innem myśląc i mechanicznie tylko czasem odpowiadając, piąte przez dziesiąte słyszałem, że mówiła przedtem o swojej przeszłości i wielkich stratach, które poniosła przez to, że była zawsze bardzo szczerą i sztuki udawania nie posiadała. Teraz jednak jest przekonaną, że nie należy wahać się przed włożeniem na chwilę maski dla dopięcia celu, szczególnie jeżeli cel jest wzniosłym. Powiedziała to w taki sposób i z takim wyrazem wpatrzonych we mnie oczu, że uczułem kamuszek do mego ogrodu rzucony. Zaciekało mię to trochę, ale nie byłem jeszcze pewnym trafności swego domysłu.

— Masz słuszność, kuzynko — odpowiedziałem. (Samoistnie i bez żadnego przyczynienia się mego zaczęła nazywać mię kuzynem). Nie jestem także absolutnym nieprzyjacielem maski i znajduję...

— Bywają wypadki — podchwyciła — w których ona być może narzędziem ratunkowym.

— To prawda — potwierdziłem — idzie tylko o dobre wybieranie pomiędzy wypadkami... Wynajdźmy naprędce taki, w którym godzi się działać z maską na twarzy.

— Patrzyłem na nią, tak jak i ona na mnie, przeciągle i znacząco.

— Nic łatwiejszego — odpowiedziała. Przypuśćmy na przykład, że ktoś tonący nie zgadza się być wyratowanym przez... człowieka rasy białej.

— Trzeba w takim razie przebrać się co najprędzej za murzyna. Naturalnie. Ale przebrać się i ratować... to wielka fatyga i nie przychodzi mi na myśl przedmiot, dla którego zadać ją sobie chciałbym. Jeżeli ktoś jest tak kapryśnym, że woli utonąć niż być wyratowanym przez człowieka białego, niech sobie tonie.

— Tak, ale może pociągnąć za sobą w otchłań przedmiot niezmiernej ceny...

— Zanim zdecydowałbym się zamienić choćby na chwilę skórę swoją na cudzą, musiałbym wiedzieć jakim jest ten drogocenny przedmiot...



— A jeżeliby tym przedmiotem była — miłość?

— O, dla miłości bezwarunkowo przebrałbym się za murzyna i — wdzięczny byłbym temu, ktoby mi to przebranie pod rękę nasunął.

Tak ucieszyła się, że zaledwie radość swoją ukrywać umiała. Była przytem trochę wzruszoną, bo mowa o miłości choćby postronnej, zawsze trochę wzrusza.

— Bo przyznaj, kuzynie — rzekła — że życie tyle tylko ma wartości, ile w niem jest tego uczucia, że dla niego można nietylko włożyć maskę...

— Ale także i koturny! — przerwałem. Starożytność była mądrą. Aktorowie jej występowali na scenę w masce i z koturnami...

— I role swoje odegrywali z zadowoleniem, swoim i publiczności — z rozbłyśnięciem od radości oczyma dokończyła.

Oto, jak szczątki okrętów, które po szerokich morzach pływały, dają siebie ciągnąc za język! O, siostrzana duszo moja, jesteś — gąską!

— Jednak — po chwili niby namyślenia się zacząłem — jednak proceder o którym mówimy, posiada swoją niebezpieczną stronę. Cóż nastąpić musi, gdy przed oczyma uratowanego i... oszukanego, z twarzy zbawcy zsunie się maska i od nóg odpadną mu koturny?

Zagadnienie to nie sprawiło jej kłopotu najmniejszego. Z lekkim gestem białej rączki i uśmiechem trochę filuternym, a trochę rzewnym odpowiedziała:

— O, wówczas wszystko będzie odkupione, uniewinnione, wynagrodzone przez miłość. Miłość wszystko uświęca i wynagradza.

Nawet oszustwo — pomyślałem. Fi, ciociu Leontynko, jesteś kobietą nieuczciwą!

To tylko tłómaczyło tę niesłychanie zuchwałą rozmowę, że niesłychanie pragnęła wraz z zamezną siostrzenicą wypłynąć znowu na szerokie morza. Jestem pewny że mniemała, iż byleby tylko wychyliła się z Krasowiec na świat Boży, ta miłość, dla której doradzała mi abym został histrjonem, sama wsunie się jej do ręki. Możeby nawet za mąż poszła i to za świetną partję. Sliczne marzenia, ale rada szpetna!

Za domem i w domu zbliżał się ku schyłkowi dzień nierównie od wczorajszego posępniejszy. Z drzew za oknami stojących wiatr strząsał od rana śniegi i szrony, krusząc tu i owdzie alabastrowe rzeźby, aż pod wieczór zniknęły one całkowicie, a zastąpiła je płatanina szarych i suchych gałęzi, przez które przeglądało niebo grubemi chmurami zawieszono i którymi co chwila, wiatr wstrząsał, jak piszczelami szkieletów.

Wstrząsane i na wszystkie strony rozmiotywane, wydawały też one suche klekoty i niekiedy z małym dzwonieniem bębniły w szyby okien: akompanjamentem zaś do tych przyjemnych instrumentów były basowe szumy wiatru, tak, że chwilami zdawać się mogło, że wszystko co istnieje na niebie i ziemi zanosi się od płaczu i lamentu. Jakie nerwy, jakie potężne nerwy mieć trzeba, aby mózg przez całe szeregi lat żyć sam na sam z taką posępną naturą i — nie zwarjować! Dobrze to jeszcze żyć z naturą, kiedy słońko świeci, strumyki szmerzą i kwiatki kwitną, ale żeby mi jakieś suche palce grobowo bębniły w okna, a wiatr od rana do wieczora nad samemi uszami wzdychał i lamentował, niech mię Pan Bóg miłosierny od tego zawsze bron! Trzeba być, bądź co bądź, w znacznej mierze jeszcze dzikim, aby tę dziką surowość natury bezpiecznie znosić. Może dlatego są oni tutaj tak skłonni do brania wszystkiego ze strony tragicznej, że im ziemia, niebo i powietrze wiecznie nad uszami wzdychają i płaczą? Wtem, w domu i trochę zdaleka, bo w oddaleniu dwóch, czy trzech pokojów, coś westchnęło i zaśpiewało, lecz wcale inaczej niż wichry i piszczele, smętnie też wprawdzie, ale melodyjnie i dla mnie swojsko. Były to akordy brane na pianinie, znajdującem się w jej pokoju, powolne, przewlekłe, podobne do wołania, którego tęskna i trwożna namiętność drży w tonach, jak czasem lzy powściągane w głosie. Machinalnie wstałem z krzesła, zupełnie nie wiem jak i kiedy zgubiłem towarzyszkę, która mi przed chwilą zbawiennych rad swych udzielała, i na palcach wszedłszy do pokoju pachnącego miętą i żywicą, cicho obok grającej usiadłem.

— Czy wołałaś mię? — zapytałem prawie szeptem.

Ręce jej opadły z klawiszów i obróciła ku mnie twarz, która w zmroku wydała mi się bladą i znużoną.

— Tak — szepnęła bardzo cicho, po ustach jej przemknął uśmiech przemocą snadź wyzwany, bo zniknął natychmiast, chciała mówić dalej, lecz usta jej drgnęły i zdjęta jakby znużeniem, czy upojeniem nieprzezwyciężonem, plecami oparła się o poręczę krzesła.

Milcząc wziąłem jej rękę i nisko schylony do ust ją przycisnąłem. Lecz bardzo prędko ta szczupła, chłodna rączka wysunęła się z mojej dłoni i z drugą splecioną, spoczęła na czarnej sukni.

— Dlaczego? — szepnąłem — dlaczego?... i nic więcej mówić nie mogłem. Miałem w głowie mnóstwo słów, które wypowiedzieć jej pragnąłem, i tak jak ona mówić nie mogłem. Przeszkadzało mi silne wzruszenie i jeszcze jakaś nieśmiałość, której przedtem nigdy w podobnych wypadkach nie doświadczałem. Prawda, że ta kobieta nie była podobną do innych i, co najważniejsze, do mnie, że też słowa do niej wyrzeczone, musiały mieć wagę wcale inną... Po chwili, szepnąłem tylko:

— Moja ty droga!

Cichy ten wykrzyk sprawił na niej takie wrażenie, jakby był czemś, co przeszło jej serce. Pochyliła głowę i oczy zakryła dłońmi.

— O, nie — zawołała — nie, nie!

Położyłem ramię na poręczy jej krzesła, tak, że prawie dotykało jej ramion.

— Co: nie? — zapytywałem — dlaczego: nie? Od jakich brzydkich myśli pochodzi to brzydkie słowo...

W tej chwili klamka u drzwi stuknęła i oblało nas nagle wielkie światło wnoszonej lampy. Niech djabli wezmą stare sługi, które wiecznie kręcą się po całym domu i wchodzi wszędzie bez wołania! To też są dzikie prawdziwie porządki, aby do każdego pokoju każdy kto chce i kiedy chce włąził! Kochana niania szła powoli, w obu rękach niosąc lampę, w której obfitem światłem wszystkie zmarszczki jej wielkiego czoła nabierały wyrazistości najsubtelniejszej rzeźby, a czarne oczy, ku nam zwrócone, migotały rzewnym i razem trwożnym płomykiem. Postawiła na stole lampę i zaraz odeszła, ale myśmy już zeszli na grunt, że tak powiem, obiektywny, którego potem Seweryna zdawała się trzymać umyślnie i uporczywie. Mówiliśmy o Idalce, małym Arturku, teatrze, książkach, graliśmy poosobno i na cztery ręce, przyczem ona była tak ożywiona, że aż małe rumieńce wybiły się na jej bielsze, niż kiedykolwiek, policzki, a ja tak usiłowałem ją zajmować, że czyniłem to gorączkowo. Wogóle, dla kogoś patrzącego ze strony, musieliśmy wyglądać na ludzi, którzy mają trochę gorączki; bo też i przenikała nas ta atmosfera dziwna, bolesna i razem rozkoszna, którą wytwarzają wzruszenia z wielką siłą wydzierające się na zewnątrz i z całej siły powściągane. Daremnie usiłowałem zapanować nad sytuacją, dokonać tego nie umiałem. Coś było w niej, a co dziwniejsza, że i we mnie samym, co przy każdym spojrzeniu wymowniejszem i słowie śmielszem zdawało się chwycić mię za ramiona, lub kłaść na piersi dłoń odporną i wołać: „nie pójdziesz dalej!” Spodem rozmowy nieustannej i ożywionej biegły mi w głowie myśli sztydzące z jej niepojętej odporności i mego własnego niedołęztwa; na dnie wzruszeń miłosnych zapalał się głuchy gniew przeciw temu sprzeciwieniu popędów i pragnień, które mię tu przywiodło i na żaden krok stanowczy dotąd ważyć się nie pozwoliło. Tak; zawstydzającym jest to wyznanie, ale odwagi brakowało mi co chwila i dla przyczyn różnych. Lękałem się usłyszenia z ust jej wyrazu: „nie!” ale głucho czułem, że w jej „tak!” mieściłoby się dla mnie jakieś utajone, dalekie nieszczęście. Zdaje się, że jej uczucia podobnymi do moich być musiały. Czasem wyglądała na istotę, która z uniesieniem wyciągnęłaby ku czemuś ramiona, gdyby ich nie cofała jakaś siła tajemna i można. Zkąd to wszystko? po co? dlaczego? Młodym, wolnym, równym sobie, po co ta walka, ten przymus? Coś tu było w szczególny sposób skomplikowanego i wysubtelizowanego; coś w niej i we mnie było potężniejszym, konieczniejszym nad samą miłość.

Chwilami, pomimo woli i nawet wbrew woli, wybuchał pomiędzy nami spór zawsze krótki, bo przecinany zniechęceniem obustronnem i obustronnem przekonaniem o jego zupełnej bezowocności. Były to jakieś siły nieprzyjacielskie, wydzierające się do boju z głębin dwu istot, potężnie przeciw pociąganych ku sobie przez siłę inną. Raz, pod wpływem tej głuchej irytacji, tej goryczy nieokreślonej, lecz piekającej, która na dnie wszelkich innych wzruszeń i uczuć pracowała we mnie coraz głębiej i nieustannie, rzekłem tonem lżejszym może, lub bardziej gryzącym, niż chciałem i wiedziałem:

— Przyznaj jednak, kuzynko, że wcale dobrze bawiłaś się w naszym mieście i że jedną przynajmniej z przyczyn twego nagłego wyjazdu była obawa, aby nie przykuły cię do siebie uroki — porcelanowych bożków.

Podniosła na mnie swoje wielkie, szczerze oczy i bez wahania, bez uśmiechu także, odpowiedziała:

— To prawda.

— A więc — uśmiechnąłem się — pozwól, abym cię przestrzegł, że to dobrowolne martyfikowanie nie już ciała, lecz ducha, wydzierającego się do zjawisk naturze jego pokrewnych, temuż duchowi nie może wyjść na dobre. Trapizm prowadzi trapistów do zbawienia wiecznego, ale wysusza im wyobraźnię i — serce.

Teraz uśmiechnęła się.

— Jeżeli jednak źródło swoje ma w sercu...

— O? w sercu? jakim sposobem?

Pomyślała chwilę, a potem, ze zwiększonym na twarzy rumieńcem i ciszej jeszcze niż mówiła zwykle, zagadnęła:

— Gdyby ci, kuzynie, powiedziano, że muzyka, malarstwo, cóż więcej?... mile towarzysstwo... dowcip... cóż więcej?... cała... słowem, estetyka i cała wesołość świata znikną z jego powierzchni, czy dla wyratowania i zachowania ich na ziemi nie zgodziłbyś się zostać — trapistą?

Rozśmieszyło mię, ale i zastanowiło to pytanie.

— Tak, rzeczywiście — po chwili myślenia odpowiedziałem — dla wyratowania estetyki i wesołości mógłbym zostać, nawet z pewnością zostałbym trapistą.

— Bo je kochasz — zakończyła krótko i zmieniając natychmiast przedmiot rozmowy, zaczęła mi pokazywać nuty, które staroświecką serwantkę obciążały, i wzywać rad moich co do wykonywania niektórych kompozycji, zarówno instrumentalnych, jak i wokalnych.

Trochę później mówiliśmy o Donimirskich. Irytowała mię obojętność, zlekka nawet wzgardliwa, z jaką mówiła o tych ludziach, którzy, bądź co bądź byli jej i moimi krewnymi, na których honorze nie było właściwie żadnej plamy, do których na koniec — i to może najgłębiej mię piekło — ja mnóstwem podobieństw zbliżony byłem. To też zauważyłem:

— Zdaje mi się, kuzynko, że nawet dla planów, celów, zadań i tym podobnych bożków swoich, uczyniłabyś lepiej, gdybyś tak całkowicie nie zrywała z Donimirskimi i do nich podobnymi ludźmi. Z czasem, powoli, mogłabyś może choć trochę ich przekonać.

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie — rzekła — nie umiem przekonywać, nie wiem dlaczego, ale nie umiem...

A potem dodała:

— Zdaje mi się, że w tych rzeczach nikt nikogo przekonać nie może. Te rzeczy trzeba czuć!...

Tym razem ja zacząłem mówić o czym innym, bo prawdziwość słów jej ogromnie mię uderzyła i — zabolęła. Te rzeczy trzeba czuć! tak, niezawodnie, trzeba je czuć i bez tego, czołem nawet przed niemi uderzając, na zawsze o sto mil od nich zostaniesz. A ja... Boże, Boże!... ja ich nie czułem! Doświadczyłem namiętnego porywu, aby upaść na klęczki, ukryć twarz w jej czarnej sukience i załkać: nie czuję! masz słuszność, nie czuję i na zawsze o sto mil pozostanę od tych rzeczy, których nie czuję i — od ciebie! Lecz ten poryw namiętny powściągnąłem. Po co? cóż z tego? skoro nie czuję! Zacząłem mówić o czym innym; spodem mózgu myślałem:

— Nie czuję — i nie skłamię! Nie powiem jej, ani okażę niczem, że jest we mnie cokolwiek z tego, czego nie ma. Oszukiwać wogóle — rzecz szpetna; oszukać tę kobietę — zbrodnia. Dla tych szczerych oczu wkładać maskę, dla tej szczytnej duszy przypinać do nóg koturny, byłoby brudem, którego nie mógłbym z siebie zmyć niczem i nigdy, jak lady Macbet krwi z morderczej ręki!

Tymczasem, godziny upływały i ogarniało mię coraz większe uczucie pewności, że są to właśnie godziny stanowcze, że tak powiem, wyrokowe, które zdarzają się w każdym życiu i o całym życiu rozstrzygają. Czułem coraz mocniej, że dziś, tego wieczora, zapaść musi wyrok na jej i moją przyszłość. Z nią lub bez niej; tak jak dotąd było, lub całkowicie inaczej. Trzeba wybierać, bo godziny upływają, wiem, że ostatnie, że to co one złamią, zerwą, jutro nie naprawi już, ani nawiąże. Ale, czyż sam jeden wybierać miałem? i czy mogłem wybierać? Ona tu jeszcze wybierała i — nie czułem, a kłamać, że czuję, nie chciałem nawet za cenę przyciśnięcia do piersi tej kibici harmonijnej jak akord, spokojnej jak linja, która jednak przy końcu wieczora gięła się i czasem chwiała, wzruszeniami

i walką znużona nad siły. Zaczęłam bardzo cierpieć. Opuściłam ją na chwilę i zbliżywszy się do okna, z czołem opartem o zimną szybę, patrzyłem czas jakiś na burzliwą noc zimową, której chmury zakryły księżyc, a wiatry ponure, pełne szumu, westchnień i pogwizdów, miały gałęzi drzew, jak ramionami szkieletów, od powszechnej ciemności czarniejszemi.

Wśród szumu, westchnień i pogwizdów, rozróżniałem jeszcze z oddali dochodzące niby jęki przewlekłe, niby lamenty zawodzące, i mniemałem chwilami, że wnet ujrzę w gęstwinie miotających się za oknami szkieletów, fosforycznie błyszczące pary punktów: oczy wilcze. Ach, gdyby kochała, czyżby tego królestwa smutku nie opuściła dla mnie, ze mną, z uniesieniem radości, w upojeniu rozkoszy. Gdyby kochała, czyżby mogła pomiędzy mną i sobą wznosić mur najosobliwszy ze wszystkich na świecie, bo zbudowany z abstrakcji? Gdyby kochała, czyżby jej zdania, gusty, dotychczasowe życie, nie pierzchy bez śladu, jak ciemność przed słońcem, albo mgła przed wichrem? Gdyby kochała, czyżby mogła mieć nad sobą takie panowanie straszne i czyżbyśmy, zgubieni w tej pustyni, we dwoje w tym pokoju dzikimi woniami przejętym, w taki jak teraz sposób przepędzali te stanowcze, te wyrokowe godziny? Pomimo niejakich wzruszeń istotnych, nie kocha. Pomimo pozorów przeciwnych, jest naturą zimną. Nie chce miłości w złym gatunku! Ach, któż kochając, zdolnym jest ważyć, oceniać te materję z ognia i pajęczyny, którą jest szal serca? Jednak, jeszcze jedna próba, jeszcze jedno usiłowanie... Opuściłem okno i znowu obok niej usiadłem.

Siedzieliśmy blisko siebie, na kanapie, której dna, po kilkakrotnych próbach, nauczyłem się już szczęśliwie plecami dosięgać.

— Czy pozwolisz, kuzynko — rzekłem — abym ci wypowiedział myśl, może szaloną, która w tej chwili przysłała mi do głowy. Może to szalona myśl, ale twoje zdanie o niej, dla mnie będzie tak ważnem — jak życie.

Pod wpływem nie tyle tych słów, ile wyrazu twarzy mojej i zmienionego dźwięku głosu, pobladła i zwróciła na mnie oczy szerzej niż zwykle otwarte, przelękłe.

— Proszę cię, kuzynie... jaka to myśl — szepnęła.

Ogarnęło mię zuchwałstwo rozpaczy.

— Wiesz co? Krasowce i wszystko co w nich jest rozdaj... rozdaj wszystko Zwirkiewiczom, Apsikowskim i jakim tylko chcesz figurom... zrób z tem wszystkim co tylko chcesz... zbuduj z tego fundamenty, filary, świątynie, jakie tylko na myśl ci przyjdą... nic nie posiadaj, nic zupełnie... ale wróć do posiadania samej siebie... opuść państwo tragedji, wejdź w świat powszedniejszy zapewne, ale ten, którego ja... opuścić... dla twego...

Nie mogłem mówić dalej, wyrazy więzły mi w gardle, drżałem. Ona milczała, aż drżąc także, z chwilowem wzniesieniem w górę twarzy pobladłej, cicho wymówiła:

— Nie...

A potem, z większą mocą powiedziała:

— Nigdy.

Przesunąłem chustkę po czołe, które płonęło.

— O, proszę cię — rzekłem — nie bierz mię za idjotę. Rozumiem cię wybornie. Duszy swojej nie chcesz odebrać Zwirkiewiczom i Apsikowskim. Gdybyś oddała im Krasowce, ale nie oddała duszy, pracy, życia, nie mogłabyś zaznać szczęścia. Prawda?

W pół odwrócona odemnie, z rękoma kurczowo na sukni splecionemi, odpowiedziała:

— Nie mogłabym żyć...

Wstałem. Ależ ta kobieta ani pojęcia nie ma o miłości!

Wszystko czego się domyślałem, co zdawało mi się, że spostrzegam, było złudzeniem mojem, lub zresztą jej wzruszeniem, ale tak lekkim, tak powierzchownem, jak zmarszczki na wodzie, gdy padnie w nią drobny kamyczek!

Na staroświeckim zegarze, którego, nie wiem dla jakich przyczyn, kochana niania dziś nakręcać nie przysłała, wybijała godzina jedenasta, gdy składając przed nią najgrzeczniejszy w świecie ukłon, powiedziałem, że jest to pora, w której spełnia ona zazwyczaj pewne obowiązki rodzinne, że zatem, przeszkadzać nie chcąc, składam jej życzenie dobrej nocy. Jak w przeddzień nagłego swego wyjazdu ze stolicy, kiedym przed odejściem żegnał ją w jadalnej sali Idalki, wstała zmieszana i powoli, nieśmiała, z zawieszonymi na ustach lecz niewymawianemi słowy, z taką prawdziwie kobiecą miękkością we wdzięcznej linii pochylonej głowy, jakby z czegoś uniewinniać się, a więcej jeszcze, jakby za coś

o przebaczenie prosić chciała. Powolnym ruchem wyciągnęła ku mnie rękę. Z powtór-  
nym ukłonem dotknąłem jej zlekka i odszedłem.

Trzeba raz z tem skończyć! W głębi korytarza, w kaplicy, zegar bijący nietylko godzi-  
ny, ale i kwadrans wybijał pół do dwunastej, gdy przerywając gorączkową przechadzkę  
po pokoju, zbliżyłem się do drzwi, z zamiarem przywołania Wincentego, którego przed  
chwilą z gniewem prawie odprawiłem; czułem się tak zdenerwowanym, rozżalonym, nie-  
szczęśliwym, że gdyby teraz ten człowiek we właściwy sobie sposób usta wykrzywił, po-  
wiedziałbym mu co niedobrego, albo rozplakałbym się jak dziecko. Kazałem mu tedy iść  
sobie precz, ale teraz zapragnąłem gwałtownie powiedzieć, aby polecił stangretowi mieć  
jutro rano konie w pogotowiu i zakładać je zaraz gdy tylko wstanę i panie domu poże-  
gnam. Wiedziałem, że znajduje się on w przyległym pokoju i w celu przywołania go drzwi  
otwierałem, gdy w same oczy rzucił mi się widok, który zmusił mię do takiego ich przy-  
mknięcia, abym niewidziany mógł patrzeć i widzieć. Przez drzwi, zlekka niedomknięte,  
zobaczyłem Sewerynę, która z kaplicy wyprowadzała babkę. Miała na sobie już nie swoją  
zwykłą czarną sukienkę, ale jakieś ranne może ubranie białe, bardzo proste, z wijącą się  
tu i owdzie pajęczyną wazkiej koronki. Warkocz, z pęt uwolniony, znowu swobodnie na  
plecy jej opadał. Pierwszy to raz widziałem ją w bieli. Jedną ręką otaczała kibić niższej  
od siebie starej kobiety, w drugiej trzymała coś, czego zrazu rozpoznać nie mogłem, ale  
w czem po chwili odgadłem więcej niż rozpoznałem czerwony stoczek, z wymalowaną  
na nim lilją. Światelko drobne, ale czyste, płonęło u końca świeczki z czerwonego wosku  
i oświetlając twarze obu kobiet, krzesła srebrne i złote połyski w ich białych i ciem-  
nych włosach. Gdy tak wspierając chwiejące się kroki staruszki i do nich stosując swoje,  
szła powoli, w śnieżnej bieli, jak w snopie łagodnej światłości, wysmukła i wątła raczej  
niż silna, ze słodkim profilem w zamyśleniu pochylonym, z lilją zapaloną w rękę, obie-  
gły mię tłumy jasnych, świętych, przezczystych przypomnień. Anioły pokoju i słodczy,  
dziewice ewangeliczne z pochodniami schodzące w głębie ciemnych katakumb, ofiarnice  
wiary z palmami stąpające ku ukochanym ołtarzom, kasztelanki w cichej lecz niedostęp-  
nej dumie cierpiące na wyżynach swoich zamków... Pyszny motyw do obrazu religijnego,  
może też historycznego... Kiedy zniknęła mi z oczu, cicho drzwi zamknąłem i pośrodku  
pokoju, w kamiennem zamyśleniu stojąc, prawie głośno rzekłem:

— Pani! nie jestem godzien rozwiązać rzemyka i tam dalej!... Poczem wielki śmiech  
mię ogarnął. Jakim sposobem, z kąd ja się tu wziąłem, tu, gdzie po milczącym jak grób  
domu przesuwały się święte dziewice, gdzie jeszcze panuje zwyczaj palenia stoczków, obia-  
dy składają się z trzech zupełnie nieosobliwych potraw, za oknami wiatry gwizdzą, wilki  
wyją?... Po co ja przyleciałem jak szalony, po co siedzę tu, gdzie bezpodzielnie panu-  
je Agora, rzecz dla człowieka ucywilizowanego najprzykrzejsza, gdzie miłość jest tylko  
przelotnem wzruszeniem, niegodnem, aby złożyć mu w ofierze mały, malutki, maluteńki  
choćby dobry uczyneczek?... Ta zdolność życia ideą oderwaną, zdolność wiary w rze-  
czy napozór wątpliwe, zdolność kochania przedmiotów różnych z nami formą, zdolność  
identyfikowania się z przedmiotami postronnemi, aż do zatracania pamięci o sobie —  
z jednej strony, a z drugiej strony ja! ja! cha, cha, cha!

Ona jest wyznawczynią i gotowa zostać męczennicą religii, równie mocnej jak ta,  
która niegdyś skłaniała ludzi do zamykania się w murach klasztornych, religii — której  
nic z niej wydrzeć nie zdoła, bo ciecie wprost z serca, z takiego w dodatku serca, które  
zranione i przerażone, w niej znalazło ukojenie i bezpieczeństwo. A moja religja jaka? No,  
niech sobie będzie, że mam jakąś, ale inną... inną! Wszystko pomiędzy nami inne... więc  
nic naturalniejszego, że powiem jej jutro: dzień dobry i razem *adieu!* Niechże ją zimowe  
wiatry pieszczą i lamenty wilcze do snów o planach, celach, zadaniach, kołyszają! Myśląc  
tak śmiałem się, śmiałem się aż do łez, któremi zmoczyłem trzymaną przy oczach chust-  
kę. Potem, o ile pamiętam, wcale prawie nie spałem, może godzinę, albo dwie zaledwie,  
wcale prawie, a po wstaniu z pościeli spojrzawszy w zwierciadło przeląknęłem się samego  
siebie: bardzo źle wyglądałem, oczy miałem zapadłe, cerę pociemniałą. Nikt nie może  
bezkarnie wypadać ze środowiska swego i właściwych mu warunków życia. Odbija się to  
na powierzchowności i na zdrowiu. Nerwy moje były formalnie chore, ale usiłowałem  
w garść je wziąć i spokojnie, poprawnie z tem skończyć... Dnia tego już kochana niania  
nie przyniosła śniadania do mego pokoju, ale zostałem na nie zaproszony do sali jadal-

nej, gdzie znalazłem przy stole tylko pannę Zdrojowską i panią Brożkową. Powitaliśmy się z uśmiechem uprzejmem uściśnieniem ręki i, pijąc kawę, prowadziliśmy rozmowę o kwiatach cieplarnianych, ogrodowych i innych, której początek dała datura, pysznie pod oknem jadalnej sali rozkwitła. Panna Zdrojowska źle wyglądała, oczy miała podkrążone i nawet usta trochę blade, co z powodu ich zwykłej świetnej barwy, szczególnie uwagę moją zwróciło. Ale była tak jak i ja dość wesołą, bardzo uprzejmą i zupełnie, zupełnie poprawną. Zapewne oboje czuliśmy, że coś pomiędzy nami zerwało się i skończyło raz na zawsze. Byliśmy i na zawsze mieliśmy pozostać dla siebie obcymi, więc tem ściślej obowiązani do grzeczności wzajemnej i jak najściślej. Pomiedzy dwoma haustami kawy powiedziałem, że z żalem, ale muszę odjechać natychmiast, gdyż przyrzekłem Konradowi dzisiejszy wieczór w Mirowie przepędzić, a jutro, niezawodnie i dla przyczyn ważnych, udam się z powrotem do stolicy. Wysłuchała tego z oczyma utkwionemi w stojącą przed nią filiżankę i objawionego przezemnie zamiaru ani jednym słowem nie komentując, poprosiła abym zawiózł od niej Idalce i paru jeszcze innym osobom najprzyjaźniejsze pozdrowienia. Poczem, wstaliśmy od stołu i idąc obok siebie przez trzy duże bawialne pokoje, rozmawialiśmy o niezwyklej surowości tegorocznej zimy i wybornej konstrukcji starych domów wiejskich, które w zimy najcieplejsze bywają zupełnie ciepłe, aż przez okno jednego z pokojów zobaczyłem stojące w pobliżu ganku sanie, w dwa rosłe taranty zaprzężone — a przez otwarte drzwi tegoż pokoju zapuściłem wzrok w głąb innego, gdzie pod ścianą stało pianino, pośrodku był stół otoczony starymi fotelami o poręczach rzeźbionych w zwierzęce głowy, na ścianach wisiały złotawe, srebrnawe, rdzawo-czerwone snopy, i nie wiem jakim sposobem nerwy nagle wymknęły mi się z garści.

— Kuzynko — rzekłem — przed rozstaniem bądź raz jeszcze na mnie łaskawą... Zaśpiewaj... du-du!

Po jej czole, policzkach, ustach przebiegły szybkie, drobne drgnienia; ale uśmiechnęła się i swoim równym, cichym, prędkim chodem do pianina poszła. Ja rzuciłem się w róg kanapy i oczy ręką zakrywając, słuchałem:

— Du-du,  
Kozioł brodaty,  
Du-du,  
Sprzedał drzwi chaty,  
Du-du...

Monotonna jak pustynia, w paru swych nutach bezdennym smutkiem nabrzmiała kołysanka wieśniacza, razem z zapachami ziół leśnych i żywicy, napełniła mi pierś taką falą, że dłoń na oczach miałem mokrą. Przy ostatnich akordach końcowej przygrywki wstałem. Trzeba raz skończyć! Zbliżyłem się do panny Zdrojowskiej, która z wolna podniosła się z krzesła i schylony w niskim ukłonie, złożyłem na jej rękę pocałunek, najgłębszego uszanowania pełen.

— Kiedyż pozwolisz nam mieć nadzieję zobaczenia cię znowu pomiędzy nami? — zapytałem.

— Nie wiem — odpowiedziała z uśmiechem — może na przyszłą zimę.

I zaraz dodała:

— Życzę ci, kuzynie, abyś jak najweselej przepędził tę, która się kończy...

— Tak — potwierdziłem stojąc przed nią — już się kończy. Mamy jej przed sobą zaledwie kilka tygodni.

— Na wieś wyjedziesz, kuzynie, zapewne w maju zaledwie lub w czerwcu.

— Tak, w maju, albo w czerwcu... potem zagranicę...

— Dokąd? Czy do Szwajcarii, którą tak lubisz?

— Nie, sprzykrzyła mi się Szwajcaria... może wyjadę do Afryki... Australji... nie wiem gdzie... gdyby była możliwość dostania się na jakąkolwiek inną planetę...

— Na inną planetę?

— Tak; na taką planetę, gdzie ludzie mniej cierpią...

— Gdzie mniej cierpią... Czy jest taka...

— Mogłaby nią być ziemia, gdyby... Żegnaj cię, kuzynko! Może mi polecisz załatwić cokolwiek w mieście... interes... sprawunek...

- Dziękuję... nie... Idalkę... Arturka...
- Tak, powiem im... Żegnam cię... Może też wystawę obrazów od ciebie pozdrowić...
- Tak... Czy będziesz dalej tłumaczył *Kaina*?
- Zapewne... może... pewno nie. Nic wcale już robić nie będę. Do siostry teraz wprost pojedę... Żegnam cię, kuzynko!
- Żegnam cię, mój kuzynie. Na długo do siostry pojedziesz?
- Na cały koniec zimy... A ty, kuzynko, czy wcale Krasowiec tej zimy nie opuścisz?...
- Nie... do kogoż, nie mam nikogo...

O, Boże! twarz jej zmaciła się, jak do dna wzburzona woda, usta zbladły jak umarły koral, podniosła obie dłonie do czoła i oczu i z wielkim płaczem osunęła się na krzesło. Ja u kolan jej klęczałem. Spełniło się niejednokrotne, namiętne pragnienie moje; klęczałem u jej kolan, całowałem jej ręce, twarz w czarną jej suknię tuliłem i błagałem aby moją na zawsze została, aby wzięła odemnie wszystko co mam, imię, życie, serce, aby powierzyła mi swoją przyszłość, abyśmy razem ulecieli ztąd daleko, na tę planetę ognistą i promienną, gdzie cierpień nie ma, w ten kraj zaczarowany, gdzie panuje wiosna i słońce, w śpiewy słowicze, pomiędzy róże szczęścia... Błagałem. Mówiłem wszystko, co tylko czułość i namiętność mówić mogą i tego tylko nie powiedziałem, że będę czuł i żył tak jak ona, że stanę się do niej podobnym, bo nawet w uniesieniu ogromnym wiedziałem, że to być nie może, a przed nią kłamać, ją oszukiwać, nawet za cenę jej samej, nie chciałem. A ona? kochała mię! kochała mię więcej, niż w najśmielszych marzeniach przypuszczać mogłem. Zdaje się, że przez chwilę trzymałem w ramionach tę wiotką, bólem zniemożoną kibić, że te usta niepokalane miłośniczo, rozpacznie wymawiały moje imię... że do umarłego koralu podobne zapaliły się znowu koralową purpurą pod moimi bezpamiętnymi ustami; zdaje się, że po raz drugi nikogo już i nigdy kochać nie miała tak, jak mnie kochała! Jednak, z niepojętym panowaniem nad sobą, z mocą taką, z jaką zapewne męczennice wiary stawiały naprzeciw lwom rzymskiej areny, mówiła ciągle: nie! Żadnym wyrzutem ani zarzutem mię nie obarczyła, nie dała szerokich tłumaczeń i wyjaśnień, niczem nie wywyższyła siebie, ani mnie poniżyła, tylko blada jak najbledszy promień księżyca, albo cała we łzach i ogniach mówiła stanowcze i nieodwołalne: nigdy!...

...Cóż dalej? A cóż? Bardzo zbliżka przecież znasz, kochany synowcze, stryja swego i jego życie. Na majątku nie miałem nigdy długów, ani na honorze skazy żadnej. Dużo bawiłem się, jeździłem, widziałem; wrażeń i wzruszeń doznałem wielu najrozmaitszych, nie rozbiłem ani razu głowy i pomyślności o żaden mur.

Wszystko, mniej więcej, sprzyjało mi na ziemi. Utyłem. Najlepsza siostra moja, wpływami swemi połączyła mię dozgonnym związkiem z osobą ładną, majątną, bardzo dobrze wychowaną... Znasz zresztą wdzięki i przymioty swojej stryjenki... słowem, niczego nigdy mi nie brakowało — oprócz szczęścia. Ono nigdy we mnie nie rozkwitło i dotychczas mniemam, że jest albo mytem, albo napojem tylko bogów. Surogatów jego miałem i używałem bardzo wielu, ale czym jest ono samo? nie wiem i z tą niewiadomością już, naturalnie, położyłem się do grobu.

To jedno. A drugie, że ta dzika zajęła mi we wspomnieniach miejsce bardzo znaczne. Jakkolwiek bowiem od wczesnej młodości praktykowałem zasadę, że nic nie uwielbiać, jest to składać dowody wykuintności towarzyskiej i inteligencji wyższej; jakkolwiek uznaję prawdę, że w podróży życia najcenniejszym przedmiotem są łyżwy, sporządzone z dowcipu i żartu; jakkolwiek życie uprzednie i późniejsze wyśmienicie mię nauczyło, że każde złotogłowie ma swoje rdzawe plamki i każdy śpiew słowiczy swoje nutki ochryple, albo fałszywe: obraz tej kobiety staje często przedemną, odbity niby w kropki zupełnie od całego życia mego odosobnionej, dziwnie czystej, dziwnie podobnej do łyzy i przed którą chce mi się zawsze uklęknąć i zapłakać.

Po widnokregu pamięci ludzkiej błędzą czasem takie obrazy zakłęte we łzach. Myślę, że w wieniec połączone tworzą one żyrandol, który oświetla ciemną salę życia. To nic, jeżeli nawet odbywają się w niej częste bale; jest ona ciemną i tyle tylko w niej światła, ile go pada od tych łyż, odbijających w sobie święte obrazy.

A ona? Co się z nią stało? W szczególności zapuszczać się nie będę i tego tylko możesz być pewnym, że nic dobrego, nic wcale bardzo dobrego stać się z nią nie mogło. Śmiało

zaprzeczaj tym, którzy utrzymują, że utopja jest wyrazem cudzoziemskim: wyraz to nasz, najzupełniej swojski i oznacza, że ktokolwiek nosi go w głowie i w sercu, topi w nim swoje osobiste szczęście. Była to, mój kochany, utopistka, kobieta z innego świata; cóż więc ją na tym świecie bardzo dobrego spotkać mogło?

Tylko, czy czujesz jak tu gdzieś blisko zapachniały zioła leśne i płuca rozszerzająca żywica? Czy spostrzegasz mleczną drogę, wysoko, daleko rozciągniętą na czarnym sklepieniu dlatego, aby pątnicy nie wierzyli w wieczne trwanie ciemności i mieli odwagę żyć do rana? Czy widzisz także, że mam oczy mokre tak samo jak wówczas, gdy przed tyłu już laty po raz ostatni drogi jej głos, razem z woniami ziół leśnych nappełniał mi pierś i pamięć?

Cóż więcej? aha, te ślady! Od czasu pewnego słyszę rozlegające się tu, tam, owdzie zapytania: dlaczego na drodze, którąście przeszli, pozostały takie nikłe, płytkie, prawie żadne ślady? A no, dlaczego? Był raz taki anioł, który mię zapytał: czy chcesz stać się do mnie podobnym? Uderzyłem przed nim czołem, ale rzekłem, że to, co mi wskazuje, przewyższa moje siły, chociaż nie przewyższa mojego pojęcia. Oto dlaczego. Nie byłem idjotą, ani nikczemnikiem, ale byłem pod niektórymi względami niemowlęciem, a pod niektórymi innymi, pomimo wysokiego ucywilizowania, dzikim, tak, mój kochany, *c'est le mot*, dzikim. Stało się. Po raz drugi żyć nie można...

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dwa-bieguny/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Dwa bieguny*, Księgarnia Br. Rynowicz, Petersburg 1893.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0612-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).